



Przełożyła Małgorzata Grabowska

Wydawnictwo Da Capo Warszawa

Serdeczne podziękowania składam

Johnowi Kettleyowi meteorologowi

Feliksowi Francisowi fizykowi

Merrickowi Francisowi znawcy koni i

Normie Jean Bennett

Ethel Smith

Frankowi Roulstone'owi

Caroline Green

Alanowi Griffinowi

Andy'emu Hibbertowi

Pilar Bush Gordon

Steve'owi Pickeringowi

Narodowemu Archiwum Wysp Kajmana oraz

Anne Francis za tytuł

Prolog

Delirium przynosi ulgę umierającym.

Żyłem w uporządkowanym świecie. Myślałem o pensji, pilnowałem rozkładu dnia. Do tego świata należała także, wraz ze swymi obawami, moja babunia.

- Czy to nie jest niebezpieczne? Jasne, że tak.

- Nie - odparłem. - Nie jest niebezpieczne.

- Ależ to musi być niebezpieczne tak lecieć prosto w huragan.

- Wrócę zdrów i cały - zapewniłem.

Ale teraz byłem o trzy ćwierci od śmierci, rozszalałe pod batem wichury morze miotало mną jak bezwolnym kawałkiem drewna, wzbierało z głębin niewyobrażalnymi masami wody i pędziło płynnymi górami szybciej niż galopujące w derbach konie. Ogromne fale porywały mnie co chwila bezlitośnie i zatapiały, pękające z bólu płuca domagały się ulgi i gotowe były wchłonąć cokolwiek, nawet wodę, choć tylko powietrze podtrzymywało pracę silnika.

Połąknąłem dławiące ilości karaibskiej soli.

Otaczała mnie ciemna noc bez żadnego rozbłysku światła. Traciłem rozeznanie gdzie góra, gdzie dół. Gdzie jest powietrze! Ręce i nogi zaczynały odmawiać mi posłuszeństwa. Coraz gorzej pracujący mózg tworzył wielobarwne migotliwe wizje istniejące jedynie w mojej głowie.

Wyraźnie widziałem babunię, bezpieczną na suchym lądzie. Jej wózek inwalidzki. Jej srebrne pantofle. Zatroskane oczy. Słyszałem zrodzoną ze złych przeczuć żalosaną prośbę.

„Nie jedź, Perry. Ciarki mnie przechodzą, kiedy myślę o tej wyprawie”. A kto by tam słuchał babci.

Kiedy mówiła te słowa w mojej głowie, ruch jej warg rozmiął się z głosem.

Tonę, pomyślałem. Fale są coraz większe. Sztorm się nasila. Zaraz zasnę.

Delirium przynosi ulgę umierającym.

Rozdział 1



Na początku zapowiadała się niezła zabawa.

Kris Ironside i ja - dwaj kawalerowie po trzydzieści jeden lat, obaj meteorologowie, których praca polegała na interpretowaniu niewidocznych ruchów i zderzeń około-ziemskich mas powietrza dla potrzeb telewizjów i słuchaczy radiowych - stwierdziliśmy bez entuzjazmu, że przyznane nam urlopy częściowo się na siebie nakładają.

Pracowaliśmy w Centrum Meteorologicznym BBC, skąd na zmianę z kilkoma innymi synoptykami obwieszczaliśmy narodowi dobre lub złe wieści z frontów atmosferycznych. Od śniadania do północy nasze głosy rozbrzmiewały znajomo, a nasze twarze uśmiechały się bądź pochmurniały w milionach domów, co doprowadziło do tego, że dokądkolwiek poszliśmy, wszędzie nas rozpoznawano.

Krisowi nawet to odpowiadało i mnie kiedyś też, ale od dawna nie odczuwałem satysfakcji, a czasem wręcz przeszkadzało mi, że jestem natychmiast rozpoznawany.

- Czy pan jest...?

- Na to wygląda.

Na wakacje jeździłem do krajów, gdzie mnie nie znano. Tydzień w Grecji. Słonie w Serengeti. W górę Orinoko wydłubaną w pniu łódką. Małe przygody. Żadnych wielkich, zapierających dech w piersi niebezpieczeństw. Prowadziłem uporządkowane życie.

Kris dźgnął palcem wywieszony na tablicy ogłoszeń grafik urlopów.

- Październik i listopad! - burknął ze złością. - A prosiłem o sierpień.

Był wtedy styczeń - sierpniowe urlopy dawano na ogół tym, którzy mieli dzieci w wieku szkolnym. Realnie rzecz biorąc, szanse Krisa na urlop w sierpniu równały się zeru, lecz jego nadzieje często zagłuszały głos rozsądku.

Właśnie dzięki tej dzikości, nieprzewidywalnym zachowaniom - objawom wpisanym w maniakalną stronę jego charakteru - był świetnym kompanem do kielicha, ale kiedy raz spędziłem w jego towarzystwie tydzień u podnóży Himalajów, cieszyłem się, stanąwszy znów na ojczystej ziemi.

Moje nazwisko, Stuart, zgodnie z alfabetycznym porządkiem widniało u dołu listy, wyprzedzając jedynie Williamsa i Yatesa. W końcu października mogłem wziąć należne mi dziesięć dni roboczych, a na ekran miałem powrócić przed Nocą Fajerwerków piątego listopada. Wzruszyłem ramionami i westchnąłem. Rok w rok wybierano właśnie mnie, można więc powiedzieć, że zaszczycono mnie obowiązkiem poprowadzenia wielkiej loterii „będzie padać czy nie” w ten wieczór, kiedy niebo rozjaśniało się wielobarwnymi fajerwerkami wystrzeliwanymi na pamiątkę Guya Fawkesa, który chciał wysadzić w powietrze parlament. Rok w rok, jeżeli trafnie przewidziałem ulewne deszcze, wzdrygałem się na widok znoszonych workami listów od rozczarowanych dzieci, które uznały mnie za winnego niepogody i robiły mi gorzkie wyrzuty.

Kris podążył za moim spojrzeniem na dół listy i postukał w moje nazwisko.

- Październik i listopad - powiedział bez zdziwienia. - Niech zgadnę! Znów zmarnujesz połowę urlopu na babcię.

- Tak zapewne będzie.

- Przecież widzisz się z nią co tydzień.

- Mhm.

Kris miał rodziców, braci i gromadę kuzynów, natomiast ja tylko babunię. Wyciągnęła mnie, małego berbecia, z ruin domu zawalonego po wybuchu gazu, osuszyła łzy rozpaczy po moich zabitych rodzicach i wzięła mnie na wychowanie.

Koledzy meteorologowie mieli żony, partnerki na stałe albo na jedną noc, natomiast ja - z rzadka - zbliżałem się do pielęgniarek babuni. Nie byłem kawalerem z rozmysłu, raczej nie odczuwałem pilnej potrzeby ożenienia się ani nie natrafiłem na odpowiednią kandydatkę.

Im bliżej jesieni, tym bardziej pogłębiało się maniakalno-depresyjne przygnębienie Krisa. Rzuciła go dziewczyna, odziedziczony po matce - wraz z bladą cerą, wydłużoną szczęką i kościstą twarzą - norweski pesymizm kazał mu częściej niż zwykle przy spadku ciśnienia o jeden hektopaskal przewidywać niż atmosferyczny.

Niewielkie sektory szerokiej publiczności, mające specjalne potrzeby, ciążyły ku poszczególnym meteorologom. Na przykład koleżanka Beryl Yates obsługiwała wesela, Sonny Rae w wolnych chwilach doradzał budowniczym i malarzom pokojowym, a pompatyczny George, nasz senior, mówił urzędnikom władz lokalnych, kiedy będą mogli na sucho odkopać rury wodociągowe.

Właściciele małych i dużych włości mieli takie zaufanie do Krisa, że gotowi byli na jego polecenie zacząć sianokosy z dokładnością do pół godziny.

Ponieważ głównym hobby, któremu oddawał się z maniackim zapamiętaniem, było prowadzenie własnej awionetki, w wolne dni latał na lunch w różne zakątki kraju, gdzie farmerzy witali go z otwartymi ramionami. Zganiaли owce z pól, przygotowując lądowisko, a nawet przycinali rząd wierzb, żeby umożliwić bezpieczny niski start.

Poleciałem z nim ze trzy razy na taki wypad w teren, chociaż moi zwolennicy, nie licząc dzieci czekających na przyjęcia urodzinowe w ogrodzie, rekrutowali się spośród koniarzy. Zwracali się do mnie po radę - mimo że podawaliśmy osobne komunikaty poświęcone poszczególnym zawodom - zwłaszcza trenerzy koni wyścigowych, którym zależało na idealnym podłożu dla szybkonogich wychowanków.

Trener nagrywał na automatycznej sekretarce na przykład: „Mam upatrzonego konia na środę wieczór w Windsorze, jakie są szanse na twarde grunto?” albo „Zgłoszę najlepszego konia na trzy mile na jutrzejszy bieg, jeżeli przysięgnie pan, że w nocy popada”. Zwracali się też do mnie organizatorzy obozów z kucykami, pokazów końskich, a nawet zawodów polo, błagając o obietnicę słonecznej pogody. Mógł też zadzwonić wybierający się do Irlandii przewoźnik klaczy, który martwił się, czy będzie miał spokojną przeprawę, ale przede wszystkim dzwonili menedżerowie torów wyścigowych, pragnący porady, czy w najbliższych

dniach podlać ziemię, żeby koniom lepiej się biegło. Dobrze przygotowany tor zachęcał trenerów do przysyłania koni. A wyścigi z udziałem wielu zwierząt ściągały tłumy widzów. Dobry, szybki tor był złotodajną żyłą w branży wyścigowej; biada meteorologowi, który źle odczytał pismo chmur.

Ale żaden synoptyk, choćby posiadał rozległą wiedzę i miał świetną intuicję, nie może zawsze trafnie odgadywać przyszłych stanów nieba - zwłaszcza nad Wyspami Brytyjskimi, gdzie kapryśne wiatry zmieniają kierunek bez uprzedzenia - i utrafienie z prognozą osiemdziesiąt pięć razy na sto graniczy z cudem.

Wczesnojesienna depresja Krisa wzmagala się z każdym dniem, więc, powodowany chęcią podniesienia przyjaciela na duchu, zgodziłem się polecieć z nim do Newmarket na niedzielny lunch. Zapewnił mnie, że nasz gospodarz będzie przyjmował co najmniej dwadzieścioro gości, więc moje przybycie nie sprawi mu kłopotu.

- Poza tym przywieziesz skarb, swoją słynną twarz - dodał z lekkim sarkazmem. - Caspar będzie ci nadskakiwał.

- Caspar?

- Caspar Harvey, to on wydaje lunch.

- Ach tak.

Caspar Harvey był nie tylko jednym z najbogatszych znajomych farmerów Krisa, lecz także właścicielem kilku koni wyścigowych, których trener wwiercał mi się do uszu nerwowym ćwierkaniem od poniedziałku do soboty. Oliver Quigley, trener nienadający się do żadnego stresującego trybu życia, nie mówiąc już o codziennym szarpiącym nerwy kołowrocie z folblutami, odnosił się do Caspara Harveya z pełnym lęku respektem - czytelnym w poczcie głosowej - a na takim podłożu naprawdę trudno zbudować zdrowe relacje między właścicielem a trenerem.

Nigdy nie widziałem pana Harveya i niezbyt miałem ochotę go poznać, ale dzień proszonego lunchu zbliżał się, a ja co rusz natrafiałem na wzmianki: „Ta perła wśród koniarzy, Caspar Harvey”, „Caspar Harvey w czołówce zwycięskich stajni”, „Caspar Harvey wydaje miliony na targach roczniaków, obstawiając przyszłych zwycięzców derbów”, więc w miarę jak rosła moja wiedza i zainteresowanie, miałem także coraz więcej zrozumienia dla tremy Quigleya.

Tak się akurat złożyło, że w tygodniu poprzedzającym lunch u Harveya podawałem co wieczór dwie najważniejsze prognozy - o wpół do siódmej i o wpół do dziesiątej - codziennie wyliczając prawdopodobny kierunek ruchu mas powietrza i stając przed kamerami w godzinach największej oglądalności, żeby wystawić swoje domysły na ryzyko rozminięcia się

z rzeczywistością. Wielu ludzi sądziło, że Kris, ja oraz nasi koledzy tylko czytamy coś, co napisał ktoś inny - nieraz okazywali zaskoczenie, kiedy wyjaśnialiśmy, że jesteśmy prawdziwymi meteorologami, że to my sami przewidujemy pogodę, korzystając ze zgromadzonych przez odległe stacje meteorologiczne informacji, które omawiamy z kolegami. Potem każdy z nas wchodzi „na żywo”, bez scenariusza i zwykle sam do maleńkiego studia, gdzie własnoręcznie umieszcza generowane komputerowo symbole pogodowe na tle mapy Wielkiej Brytanii.

Na Wyspach Brytyjskich jest rozsianych przeszło dwieście stacji meteo, z których każda podaje lokalną prędkość i kierunek wiatru oraz ciśnienie barometryczne do dużego centralnego komputera mieszczącego się w głównym Biurze Meteorologicznym w Bracknell, w pobliżu Ascot, na zachód od Londynu. Do tego komputera przychodzą też dane z całego świata i można z niego wyciągnąć wszystko, co prawdopodobnie będzie wyczyniała pogoda na całym świecie w ciągu najbliższych dwóch dób. Nic jednak nie jest stuprocentowo pewne i mała zatoczka wysokiego ciśnienia może wpuścić arktyczny powiew mrozący nasze radosne oczekiwania i zmuszający do nieprzekonujących wyjaśnień.

Jednakże w tę wrześniową niedzielę, kiedy Caspar Harvey wydawał lunch, świt rozjaśnił pogodne niebo, od wschodu wiał chłodny wiatr i warunki te miały się utrzymać przez cały dzień, jakby na zamówienie farmerów ze wschodniej Anglii, zbierających późno dojrzewający jęczmień.

- Idealna pogoda do latania - rzekł Kris.

Jego samolot, jednosilnikowy piper cherokee z nisko osadzonymi skrzydłami, miał około trzydziestu lat. Kris zaś był, jak szczerze przyznawał, jego czwartym właścicielem po aeroklubie, gdzie nieraz wpisywano w dzienniku pokładowym (główny temat utyskiwań Krisa) po sześć godzin lotu dziennie i gdzie wytarto popękaną starą skórę na fotelach.

Kiedy parę lat wcześniej zobaczyłem stare przyrządy, w pierwszym odruchu powiedziałem „nie, dziękuję, zostanę na ziemi”, ale potem w niosącym echa hangarze macierzystego lotniska poznał mnie z mechanikiem, który widział związek między obluzowanymi śrubkami a nagłą i niespodziewaną śmiercią. Gotów byłem złożyć swój los w ręce Krisa, mając zapewnienie mechanika, że wiekowy piper jest sprawny i sprawdzony do ostatniego nitu.

Mój kolega okazał się zaskakująco dobrym pilotem. Spodziewałem się, że w powietrzu będzie równie beztroski jak gdzie indziej, ale on zachowywał za sterami odpowiedzialną powagę i dopiero potem robił się lekki jak balon z radiosondą.

Wielu naszych wspólnych znajomych uważało, że trudno jest z Krisem wytrzymać, i pytało mnie ze zdziwieniem, jak ja sobie radzę z tym, że on tak do mnie łąnie. Zazwyczaj odpowiadałem zgodnie z prawdą, że mam frajdę, wysłuchując jego dziwacznych poglądów na życie, i nie wspominałem, że w okresach depresji mówi o samobójstwie tak swobodnie, jakby omawiał mało ważny życiowy wybór, na przykład, który krawat włożyć do porannej prognozy pogody.

Głównie przez wzgląd na rodziców, a zwłaszcza ojca, powstrzymywał się od rzucenia się pod pociąg (najbardziej mu odpowiadający sposób zejścia z tego świata), więc uważałem, że znacznie mniej nienawidzi siebie i wykazuje więcej hartu ducha niż wielu z tych, którzy ulegli pragnieniu śmierci.

W owym czasie, gdy został zaproszony na przyjęcie u Harveya, trzydziestojednoletni Kris Ironside przetrwał makabryczne instynkty szeregu młodych kobiet, przelotnie zafascynowanych myślą o samobójstwie, i zaczynał się godzić z możliwością dożycia wieku średniego.

Był wysoki i szczupły, zdecydowanie przystojny, miał bladoniebieskie oczy, sterczące kapryśnie jasne włosy, które nie poddawały się fryzjerskim zabiegom, gęste wąsy i pojawiający się najczęściej na ekranie lekko wyzywający półuśmiech, który oznaczał „tylko spróbujcie mi nie uwierzyć!”.

Trzymał ukochaną latającą maszynę na lotnisku White Waltham i przeznaczał na jej utrzymanie znaczną część swoich dochodów, radośnie oznajmiając każdemu, kto chciał słuchać, że latanie pozostawia daleko w tyle aerobik jako zdrowo stresujące ćwiczenie serca. Kiedy witał mnie na lotnisku, poznałem, że rozpiera go radość. Cherokee stał przy pompach i nabierał paliwo, które było nie bardziej stabilne niż mój przyjaciel. Oba zbiorniki napełniano aż do przelania się, żeby wypchnąć wodę, powstałą w wyniku skraplania się stygnącego powietrza po ostatnim locie.

Kris, który nigdy nie pozował na pilota w starym stylu i nie nosił gogli ani białego szalika, miał na sobie kraciatą wełnianą koszulę i norweski sweter. Obrzucił spojrzeniem moje ciemne spodnie, białą koszulę, granatową marynarkę i kiwnął głową z uznaniem - uważał, że mój ze wszech miar konwencjonalny wygląd pozwala mu poniekąd na rozwinięcie własnych ekscentrycznych upodobań.

Skończył tankować, upewnił się, czy zakrętki na zbiornikach przy skrzydłach są dokręcone, a potem z moją pomocą odepchnął mały biały samolot na pewną odległość od pomp (drobna uprzejmość wobec innych tankujących) i obszedł go metodycznie, recytując kolejne pozycje z listy rzeczy do sprawdzenia i dotykając każdej ważnej części. Na koniec jak

zwykle odpiął i odgiął do tyłu dwie połówki maski silnika, sprawdził, czy mechanik nie zostawił w środku szmaty (jakby mógł to zrobić!), wytarł wskaźnik poziomu oleju i włożył go z powrotem do miski, żeby się upewnić, czy jezioro oleju jest dostatecznie głębokie i wystarczy do naoliwienia silnika. We wszystkim, co dotyczyło latania, Kris nie podejmował głupiego ryzyka.

Kiedy zajął miejsce w fotelu kapitana po lewej stronie, z taką samą powagą przeprowadził kontrolę przed startem - sprawdził, czy wszystkie przełączniki są we właściwej pozycji i tak dalej - a wreszcie zapalił, wpatrując się w skupieniu we wskaźniki silnika.

Przyzwyczajony do tych starannych przygotowań, siedziałem i czekałem spokojnie, aż z zadowoleniem rozluźni napięte mięśnie pleców i rąk. Wreszcie odchrząknął, włączył radio i poprosił niedzielnego kontrolera w szklanej wieży o pozwolenie na start, informując, że Ironside za sterem cherokee zamierza odbyć lot do Newmarket i wrócić około godziny siedemnastej miejscowego czasu. Kris znał dobrze kontrolera i rozmawiał z nim nie tyle z obowiązku, ile przez grzeczność. Dostał zgodę na kołowanie. „Dzięki, stary” - powiedział.

Dzień rzeczywiście był wymarzony na latanie. Cherokee oderwał się lekko i beztrudnie od ziemi, nie odczuwając obciążenia, i wykręcił na północ, nabierając wysokości w miarę oddalania się od bazy. Warkot i brzęczenie silnika znacznie utrudniały normalną rozmowę, która zresztą wydawała się zupełnie zbędna tam, gdzie nie dolatywały nawet orły. Wypełniało mnie jak zwykle uczucie przyjemnej lekkości, z niezmaconym zadowoleniem sprawdzałem tor lotu na rozłożonej na kolanach mapie. Może kiedyś, kto wie, nauczę się latać?

Kris narysował dwie proste linie na ścieralnej mapie powietrznej - łamaną trasę lotu na lunch. Sterował według wskaźnika kursu, biorąc poprawkę na pole magnetyczne i boczny wiatr, a ja odnosiłem małe triumfy, rozpoznając dwa tysiące stóp pod nami drogi i rzeki, które mu wskazywałem, czym wywoływałem uśmiech i skinienie głową.

Z lotniska White Waltham poleciliśmy na północ, żeby ominąć Londyn, i skręciliśmy na północny wschód w tym miejscu, gdzie biegnąca na północ wielopasmowa autostrada M 1 zbliżała się do przedmieść Luton i jego ruchliwego lotniska po wschodniej stronie.

Kris marzył o drogich pakietach awiacyjnych, dzięki którym miałby dostęp do najnowszego, ułatwiającego nawigację sprzętu. Niestety, samo utrzymanie maszyny wyciągało mu z kieszeni wszystkie wolne pieniądze, więc polegał na obliczeniach i bystrookich pasażerach, a mimo to - jak sam przyznał - tylko raz kompletnie się zgubił.

Dokładne obliczenia doprowadziły nas całych i zdrowych w okolice Newmarket, gdzie Kris wypatrzył duży dom na południe od miasta, zeszedł na wysokość tysiąca stóp i okrążył go dwa razy, aż do ogrodu wybiegli ludzie i zaczęli do nas machać.

- Dom Harveya! - krzyknął Kris niepotrzebnie.

Kiwnąłem głową; kiedy krążył w prawo, z opuszczonym po mojej stronie skrzydłem, żebym lepiej widział, wyjąłem mały aparat fotograficzny, z którym się nie rozstawałem, i zrobiłem tyle zdjęć, ile powinno wystarczyć, żeby sprawić przyjemność gospodarzowi i podziękować mu za gościnę.

Kris przestał krążyć, wzbil się kilkaset jardów wyżej i pokazał mi widok „z lotu cherokee” na zbudowane według z góry założonego planu miasto, które w światku wyścigów konnych nazywano Kwaterą Główną. Setki razy rozmawiałem z Kwaterą Główną przez telefon albo kontaktowałem się przez pocztę głosową. Wysyłałem i otrzymywałem elektroniczne góry e-maili. Znałem głosy i charaktery, nie tylko dręczonego niepokojem Quigleya, błagającego o zapewnienia, których nie mogłem udzielić.

Ani Kris, ani ja - rozmawialiśmy o tym przed startem - nie wiedzieliśmy, które z licznych wybiegów w Newmarket można rozpoznać z powietrza, a kiedy znaleźliśmy się na miejscu, pędząc z szybkością stu dwudziestu węzłów, stwierdziłem, że mam pewność tylko co do dwóch największych.

Oliver Quigley mówił mi nieraz, że jego konie mogą przebiec z wybiegu bezpośrednio na Warren Hill, ale przy tej szybkości, oślepiającym słońcu i mojej oddolnej i odgórnjej nieznajomości topografii miasta nie byłem pewien, na którym z prostokątnych padoków stoją końskie inwestycje Caspara Harveya, nie mówiąc już o klaczy, która miała biec w piątek. Na wszelki wypadek, żeby sprawić przyjemność trenerowi, pstrykałem tyle wybiegów, ile się dało.

Nigdzie nie było widać koni - ani na dobrze oznakowanych torach do galopu, ani na wybiegach, ani na oplatających miasto specjalnych drózkach dla koni. Gdzieś tam w dole było sto kilkadziesiąt arystokratycznych folblutów, ale w niedzielę w porze lunchu beczynn timer oddawały się marzeniom.

Kris spojrział na zegarek, skierował się na południe od miasta i wylądował gładko na trawiastym pasie biegnącym obok toru używanego w środku lata - toru lipcowego. Klub Dżokejów nie tylko na to pozwalał, ale - ku oburzeniu Krisa - pobierał opłatę.

Zawrócił i podjechał szybko do czekającego land-rovera, o który opierała się dziewczyna w superkrótkiej mini.

- Cholera! - przeklął Kris.

- Dlaczego cholerujesz?

- Przysłał córkę. A zapewnił mnie, że jej tu nie będzie.

- Na moje oko wygląda w porządku.

Kris mruknął z politowaniem, kwitując tym swoją niewiedzę, zwolnił, wykręcił zręcznie, żeby ładnie zaparkować, i zgasił silnik.

- Ma na imię Belladonna - rzekł. - To trucizna. Odpiąłem pas, otworzyłem drzwi, wydostałem się przez nie na skrzydło i zeskoczyłem. Kris najpierw sprawdził przełączniki, a potem podążył za mną. Nie byłem pewien, czy z tym imieniem to nie żart, ale krótka prezentacja rozwiała moje wątpliwości.

- Bell, to jest Perry. Perry. Belladonna. Mów jej Bell. Podaliśmy sobie dłonie.

- Czy ty jesteś...? - zaczęła, unosząc brwi.

- Na to wygląda - odparłem.

Wyglądała jak sama słodycz, bez śmiercionośnych własności. Jasne włosy, niedbala fryzura. Niebieskie, niewinnie przymrużone oczy. Podkreślone różową szminką wargi, z których nigdy całkiem nie schodził uśmiech. Nawet bez przestrogi Krisa wyczułbym czarodziejską moc.

- Wsiadajcie - zaprosiła nas, wskazując land-rovera. - Tata usłyszał, jak krążycie, i wysłał mnie po was. Doprawia cynamonem grzane wino. W takiej chwili nie odstąpi go na krok.

Kris, najwyraźniej głuchy na zaproszenie, obchodził samolot i poklepywał go z uznaniem, wsłuchując się w trzaski stygnącego metalu. Pomalowany na białą kadłub połyskiwał w słońcu wraz z osobistymi insygniami - błyskawicą i zarejestrowanym oznaczeniem literowym - po których poznawano Krisa na całym świecie, a latał po tyłu krajach, że przyłgnęło do niego pełne szacunku określenie „ten drobiazgowy Anglik”. Po ostatnim lądowaniu w deszczowy dzień zmywał i wycierał do sucha skrzydła nie tylko z góry, ale i od spodu, starannie usuwając rozchlapane przez koła błoto.

- Proszę cię, wsiadaj - ponagliła Bell, otwierając zachęcająco drzwi od strony pasażera. - Przyjęcie nie odbywa się jutro, tylko dzisiaj.

Dzielący ich antagonizm był słabo wyczuwalny, ale niewątpliwy. W drodze do odległego o pięć mil domu Harveya siedziałem na tylnym siedzeniu, przysłuchiwałem się na poły uprzejmej rozmowie i zadawałem sobie w duchu pytanie, czy wzajemna niechęć powstrzymałaby u nich odruch ratowania tego drugiego z narażeniem siebie.

Domowi Caspara Harveya niewiele brakowało do epitetu okazały, lecz zdecydowanie nie można go było nazwać ostentacyjnym. Fronton ozdobiony małymi palladiańskimi kolumnami wyglądał wprawdzie imponująco, ale wchodzących nie witała amfilada sal. Hol wejściowy łączyły z salonem łukowate przejścia i dzięki nim w jednym miejscu mogło się swobodnie pomieścić przeszło trzydzieści osób, które popijały na stojąco grzane czerwone

wino, przegryzały je orzeszkami i rozmawiały o głównym źródle dochodów Newmarket - koniach wyścigowych.

Caspar Harvey, gdy tylko zauważył przybycie Krisa, zaczął się przeciskać przez tłum, unosząc wysoko kieliszek, aż zbliżył się na tyle, żeby pozdrowić gościa okrzykiem.

- Słyszałem, jak nad nami przelatywałaś - rzekł, witając Krisa skinieniem. - Witam serdecznie - dodał w moją stronę. - Mój trener święcie wierzy w twój nos do deszczu. Gdzieś się tu kręci. Czy mam wystawić klacz w piątek? Żona wierzy w horoskopy. Napij się.

Skosztowałem wina, które miało melodyjny posmak cynamonu i cukru, i podążyłem spojrzeniem za palcem wyróżniającym w tłumie trenera, Olivera Quigleya, roztrzęsionego i zagubionego.

- Powiedz mu, że do piątku będzie sucho - polecił Harvey. - Powiedz, żeby wystawił konia do biegu.

Odniosłem wrażenie, że z przyjemnością wciela się w rolę gościnnego gospodarza. Pomyślałem nieładnie, że ta rola więcej znaczy dla niego niż dla gości. Szerokie gesty, podobnie jak ich oprawa, świadomie wyrażały bogactwo i sukcesy, lecz bez ostentacji.

Kiedy powiedziałem, że zrobiłem z samolotu zdjęcia jego domu i zamierzam mu je przesłać, wyraźnie zadowolony, zachęcił mnie, bym obfotografował ze wszystkich stron gości.

Postury był nie mniej masywnej niż majątek - szeroki w barach, o byczym karku i przystrzyżonej siwiejącej brodzie. Mimo że - podobnie jak ja - ustępował na jakieś trzy cale smukłej sylwetce Krisa, Caspar Harvey rzucałby się w oczy niezależnie od wzrostu, otaczała go bowiem trudna do określenia, lecz bardzo silna aura człowieka sukcesu. Zrobiłem mu zdjęcie. Przybrał pozę i łaskawym skinieniem zaaprobował błysk flesza.

Kris popijał colę, jak przystało na grzecznego pilota, i utrzymywał w ryzach maniacką skłonność do wybryków. Był to zdecydowanie różowy dzień jego psychiki; sprzyjający żartom i śmiechom, nie dopuszczający myśli o ponurej wędrowce wzdłuż torów kolejowych.

Nietrująca Belladonna, która wyrosła u mego boku i nappełniła mój kielich z parującego dzbana, spytała bez ogródek, dlaczego tak sensownie wyglądający człowiek jak ja zadaje się z takim niezrównoważonym osobnikiem jak Ironside.

- Jest inteligentny - odpowiedziałem spokojnie.

- Czy to wystarczy?

- Czemu go nie lubisz? - spytałem.

- Ależ ja kiedyś tego drania kochałem.

Nadała uśmiechowi więcej głębi i wzruszyła ramionami, po czym zaczęła dolewać wina innym, a ja, jak to bywa na takich imprezach, po jakimś czasie znalazłem się w gawędzącej grupce razem z wiecznie zatroskanym trenerem Quigleyem. Koniecznie chciał wiedzieć, co mam do powiedzenia na temat wiatru.

- Jest zimny - odparłem.

Moja obecność, nieszkodliwa, lecz namacalna, w dodatku połączona z obecnością aparatu fotograficznego, wyraźnie go deprymowała. Przywykłem do agresji i niedowierzania ze strony koniarzy, którym wydawało się (jak dzieciom), że w jakimś sensie jestem sprawcą złej pogody. Przywykłem też do roli niepopularnego posłańca przynoszącego złe wieści o przegranych bitwach i nieraz przeklinano mnie za to, że z uśmiechem zapowiadałem zamiecie śnieżne; z reguły jednak nie wywoływałem tak nieoczekiwanej pełnej lęku reakcji.

Widocznie źle odczytuję jego zachowanie, pomyślałem. Znałem go tylko jako nerwowego trenera koni, z obsesją na punkcie pogody, a przecież mógł mieć - kto wie - różne inne problemy.

- To zależy od Uralu - powiedziałem łagodnie.

- Co znowu? - spytał zdumiony.

- Wiatr od wschodu. Wczesna pora jak na taki polarny kontynentalny podmuch, ale jeżeli będzie wiało do piątku, klacz Harveya doczeka się pogodnego suchego dnia do biegu.

- Ale czy będzie wiało? - Pytanie zadała kłótliwym, z amerykańską brzmieniem głosem siwowłosa imponująca pięćdziesięciolatka, która dołączyła do nas wraz z trzema sznurami pereł i zażenowanym mężem.

- Evelyn, kochanie - wymamrotał cierpliwie.

- I co to znaczy Ural? - nie przestała pytać.

Mąż, niski i krępy, z okularami w szerokich ciemnych oprawkach, udzielił gładkiej odpowiedzi.

- Evelyn, kochanie, Ural to góry w Rosji. W prostej linii od Uralu do Londynu nie ma żadnych wzniesień. Niczego, co mogłoby odwrócić albo zmienić kierunek wschodniego wiatru z Syberii. - Obrzucił mnie przenikliwym, lecz przyjaznym spojrzeniem brązowych oczu zza grubych szkielec. - Czy to nie pan jest tym młodym człowiekiem, który przyleciał razem z meteorologiem?

Nim zdołałem przytaknąć, Quigley szybko i z naciskiem powiedział, że ja także przepowiadam pogodę, a nawet jestem bardziej znany szerokiej publiczności niż Kris, co podkreślił energiczną gestykulacją.

- Robin i Evelyn są Amerykanami - zwrócił się do mnie, pragnąc wszystko dokładnie wyjaśnić. - Ponieważ większość czasu spędzają na Florydzie, rzadko oglądają brytyjską telewizję.

- Darcy - dopełnił prezentacji przysadzisty Amerykanin, przekładając kieliszek wina do lewej ręki, żeby podać mi prawą. - Robin Darcy. - Salonowe rozmówki prowadził ze stłumionym bostońskim akcentem. - Poleci pan z Krisem na wakacje?

Nic o tym nie wiedziałem.

- Raczej nie - odparłem. Robin, jak się domyślałem, chciał delikatnie wybadać moje seksualne upodobania. Ciekawe, jakie miał sam? Evelyn, wyraźnie starsza od męża, wyglądała jak matrona w czerni i trudno było sobie wyobrazić, żeby spełniła czyjekolwiek marzenie o atrakcyjnej i niezbyt mądrej żonie.

- Koniecznie do nas wpadnij - powiedziała odruchowo i nieszczerze.

- Z przyjemnością - odparłem z fałszywą ochotą, jak to jest w zwyczaju.

Jej mąż zaczął się kołysać z pięt na palce i z powrotem, założywszy ręce pod brzuchem. Jego zainteresowanie moją osobą, od początku nikłe, szybko słabło i po chwili, pociągając za sobą Evelyn, oddalił się w poszukiwaniu żywiej reagujących umysłów.

Belladonna znów pojawiła się z dzbanem, patrząc za państwem Darcy.

- Jeżeli lubisz inteligentnych ludzi, to ktoś w sam raz dla ciebie.

- W jakiej dziedzinie przejawia się jego inteligencja? Bell zamrużyła bladymi powiekami.

- To jak z urodą. Urodził się z tym. Po prostu jest inteligentny.

Darcy krążył między gośćmi, wyglądając niepozornie, jak mało ważna osoba. Słychać było natomiast wybijający się ponad inne, towarzyski głos Evelyn.

- Nie daj się zwieść pozorom - ostrzegła Bell.

- Dobrze.

- Kris mówił, że parę razy uratowałeś mu życie. Nie odpowiedziałem od razu.

- Lubił się bawić pociągami - przyznałem.

- Ale już przestał?

- Coraz mniej go to pociąga.

- Nie chciałam z nim latać - powiedziała. - Kłóciliśmy się o to. - Po chwili milczenia dodała: - To był nasz koniec. Czy on cię nie przeraża?

Zaledwie rok temu niewiele brakowało, a zwyciężyłyby pociągi - raz przesiedziałem z nim całą noc, a on zwijał się w kłębek i jęczał z bólu. Wyrzucił z siebie wtedy z rozpaczą jedno słowo: „trucizna”.

Kilka kroków od nas Kris, w różowym humorze, opowiadał dowcip o lotnikach, pobudzając towarzystwo do radosnego śmiechu.

- Na to hostessa odpowiada: „Tak, panno Greer, może pani udać się podczas lotu do kokpitu i porozmawiać z panią kapitan i z panią pierwszym pilotem, jest tylko jedno ale, ponieważ całą załogę tworzą kobiety, my już tego nie nazywamy kokpitem...”*

* Gra słów: „cockpit” to kabina pilotów, a jedno ze znaczeń słowa „cock” to penis.

- Boże - jęknęła Bell. - Opowiedziałam mu ten feministyczny dowcip wieki temu.

- Dobre dowcipy są nieśmiertelne.

- Wiesz, że on pisuje wiersze?

- Mmm. Głównie naukowe.

- Widziałam, jak je darł i wyrzucał do kosza.

Ja też. To rodzaj samobójstwa, ale lepiej zabić wiersz niż siebie.

Bell odwróciła się plecami do Krisa i powiedziała, że w jadalni można coś zjeść. Stały tam przykryte białymi obrusami stoły i złote krzesła dostarczone przez firmę cateringową, był jesienny bufet odpowiedni dla milionerów i głodnych meteorologów. Nałożyłem sobie nieprzyzwoicie dużo na talerz i przyjąłem zaproszenie Evelyn Darcy, która nalegała, żebym zajął wolne miejsce przy stoliku, gdzie jej mąż i czwórka innych gości w skupieniu zajadali pieczone głuszce.

Przeszedłem z czwórką nieznanymi procedurę bycia rozpoznany jako znajoma twarz z telewizyjnego ekranu i obiecywania, że do wieczora nie będzie padać; uśmiechałem się i odpowiadałem spokojnie, ponieważ w gruncie rzeczy lubiłem swoją pracę, a nigdy nie zaszkodzi pokazać się od jak najlepszej strony.

Z rozmowy wynikało stopniowo, że dwoje nieznanymi to George Loricroft, zasłużony czterdziestopięcioletni supertrener koni wyścigowych, i jego młoda żona Glenda, blondynka o bujnych kształtach. Za każdym razem, kiedy się odezwała, dominujący mąż albo przerywał, albo zaprzeczał. Nerwowy chichot Glendy musiał kryć jakieś ostre pretensje i urazy.

Evelyn Darcy miała nie tylko trzy sznury pereł, czarną suknię i polakierowane na sztywno srebrne włosy, lecz także wścibski nos, a przy tym żadnych zahamowań przy zadawaniu pytań. Chciała się na przykład dowiedzieć - nie żałując donośnego głosu - czyja i Kris dużo zarabiamy, skoro tak często pojawiajemy się na ekranie. Bo niby skąd byłoby stać mojego kolegę na utrzymanie samolotu?

Wszyscy ją usłyszeli. Kris w głębi pokoju spojrzał na mnie rozbawiony, zakrztusił się ze śmiechu i zawołał:

- Na państwowych posiadach płacą nam jak pracownikom służby cywilnej! Wszyscy nam płacicie, a nam nie starcza na miesięczny zapas kondomów!

To intymne i niezbyt ściśle wyznanie wywołało różne reakcje - od śmiechu do niesmaku i zażenowania. W spokoju ducha spożywałem głuszca. Byłem przyjacielem Krisa, a zatem musiałem akceptować go ze wszystkimi przyzwarami. Mógł powiedzieć coś znacznie gorszego. Już mu się zdarzało.

Evelyn Darcy napawała się wywołanym przez siebie zamieszaniem. U jej boku siedział z udręczoną miną Robin. George Loricraft, niezmordowany tłumiciel żony, spytał mnie, czy rzeczywiście płacą nam jak pracownikom służby cywilnej, więc spokojnie potwierdziłem, bo właściwie czemu nie, służyliśmy społeczeństwu.

W tym momencie Oliver Quigley wsunął krzesło między Evelyn a mnie, gdzie nie było dla niego miejsca, zachowując się tak, jakby żandarmeria wojskowa ściagała go za niewyobrażalne przewinienia. Czy ten człowiek nie potrafił się odprężyć?

- Chciałem panu powiedzieć - zaczął jąkać się z nosem prawie w moim talerzu - że dostałem wczoraj z pocztą taką broszurkę z nowej organizacji, która oferuje... hm, wydaje mi się, że warto spróbować.

- Co oferuje? - spytałem bez zainteresowania, gdy głos uwiązł mu w gardle.

- Hm... zindywidualizowane przewidywanie pogody.

- Dla prywatnej firmy, czy tak?

- No... tak. Ktoś podaje... hm, oczywiście e-mailem, czas i miejsce, na temat którego chciałby znać prognozę pogody, i od razu dostaje odpowiedź.

- Fascynujące - odparłem z ironią.

- Nie słyszał pan o takiej usłudze? Mała konkurencja pod bokiem, prawda?

Gdyby miał więcej odwagi, jego wypowiedź trąciłaby sarkazmem. Ale tak nie było, więc dokończyłem wyśmienitego głuszca z obrumienioną tartą bułką i uśmiechnąłem się bez irytacji.

- Śmiało, niech pan podpisze z nimi umowę, panie Quigley - zachęciłem. - Proszę bardzo.

- Nie spodziewałem się, że pan to powie! - wykrzyknął. - Nie ma pan nic przeciwko temu?

- Nic.

Robin Darcy nachylił się i, omijając przeszkodę w postaci żony i rozdygotanego trenera, spytał:

- He każe pan sobie płacie za udzielenie rady panu Quigleyowi, żeby zgłosił klacz Caspara do piątkowego biegu?

Trener był nerwowy, ale nie głupi. Wysłuchał skierowanego do mnie pytania i zrozumiał. Otworzył i zamknął usta - wiedziałem, że nadal będzie doił ze mnie informacje, za które nie musiał płacie.

Następnie Darcy z niekłamaną ciekawością spytał mnie, od kiedy interesuję się pogodą, na co odpowiedziałem, chyba po raz setny w życiu, że już jako sześciolatek chłopczyk lubiłem patrzeć na chmury i niczym innym nie chciałem się w życiu zajmować.

Był przyjazny, jak się domyślałem, ponieważ w głębi ducha żywił przekonanie o swojej umysłowej wyższości. Dawno temu nauczyłem się nie naruszać w nikim takiego przekonania, dzięki czemu doczekałem się kilku awansów. Tylko sam przed sobą mogłem przyznać się do tak nagannego cynizmu. I tylko sam przed sobą mogłem z pokorą przyznać, co nieraz robiłem, że ktoś mnie intelektualnie przerasta. Uśmiechnąłem się słabo do Darcy'ego, nie wiedząc, gdzie kończy się jego bystrość - czy też gdzie się zaczyna.

- Gdzie się pan uczył meteorologii? - spytała Evelyn. - Czy jest szkoła o takiej specjalności?

- To jest szkoła pod chmurką.

Kris sunął właśnie do bufetu i, usłyszawszy pytanie i odpowiedź, rzucił przez ramię:

- Niech go pani nie słucha. Jest fizykiem. Doktor Perry Stuart, nie byle kto.

Robin ziewnął i przymknął krótkowzroczne oczy, ale jego przenikliwy umysł przyśpieszył obroty. Dostrzegłem to i wyczułem, lecz nie wiedziałem, dlaczego się z tym kryje.

Trzęsący się Quigley zapewnił mnie, że nie chciał mnie urazić i tamta prywatna firma na pewno nie jest lepsza, ale obaj wiedzieliśmy, że otarł się o zniewagę. Różniliśmy się tylko tym, że on bardzo się tą sytuacją przejął, ja natomiast wcale. Byłbym zachwycony, gdyby Quigley uwolnił mnie od swoich roztrzęsionych nerwów i zapukał do innych drzwi.

Caspar Harvey bezbłędnie odgrywał rolę serdecznego gospodarza, aby goście zachowali mile wspomnienia. Zabrał mnie od stołu i pociągnął za sobą, przedstawiając wszystkim po kolei i namawiając, żeby pozowali mi do zdjęcia. Jeżeli ktoś się wzbraniał, Caspar dolewał mu wina i przełamywał opór.

Zrobiłem zdjęcie Quigleyowi i Loricroftowi - dwaj trenerzy koni wyścigowych, częstujący się chipsami i wykorzystujący przelotne spotkanie na fachową rozmowę. Usłyszałem, jak Quigley się skarży - „on nigdy nie płaci w terminie” - a potem Loricroft - „mój koń w Baden-Baden przegrał na starcie.”

Kształtna żona Loricrofta z dumą oznajmiła towarzystwu przy stole: „George często jeździ do Niemiec i wygrywa tam wyścigi, prawda, George?” Ale Loricroft zgasił jej entuzjazm, poprawiając „często” na „tylko raz w ostatnim sezonie”.

- Wygrywam o wiele więcej wyścigów we Francji, ale mojej kochanej żonie wszystko się myli.

Rozejrzał się z uśmiechem wyższości, spodziewając się współczujących min. Pomyślałem, że wprawdzie z Glendą trudno byłoby wytrzymać, ale kochany George jest wprost nie do zniesienia.

Wspaniały lunch zawęził się do kawy i smacowego portu, po którym goście z żalem zaczęli się rozchodzić. Kris i ja potrzebowaliśmy kierowcy, który podrzuciłby nas do samolotu, a Bell nigdzie nie było widać.

Kiedy wspinałem się na palce i rozglądałem, stanął przede mną Harvey i oznajmił stanowczo:

- Skoro już jesteś w Newmarket, mógłbyś zerknąć na moją klaczkę. Zrobić jej zdjęcie. Wtedy będziesz wiedział, zastanawiając się nad piątkiem, o jaką stawkę idzie.

Pociągnął mnie za rękę tak, że byłoby niegrzecznie z mojej strony się wrywać - nie miałem powodu odmawiać obejrzenia klaczkę, skoro tego właśnie chciał, gotów zresztą byłem odwdziżyć mu się w ten sposób za lunch, gdyby Krisowi nie śpieszyło się, żeby dolecieć do bazy przed zmrokiem.

Okazało się, że Kris nie martwi się, czy zdążymy, ponieważ najbardziej przejął się tym, że znów będzie musiał jechać land-roverem razem z Bell. Nie widziałem powodu, dla którego mielibyśmy jechać we czwórkę dwoma samochodami, żeby obejrzeć klacz, ale tego najwyraźniej pragnął Harvey, a kiedy pomachał serdecznie na pożegnanie ostatniemu odchodzącemu gościowi, Quigleyowi, jego życzeniu stało się zadość.

Przejechał przez główną bramę tuż za niebieskim volvo Quigleya, zostawiając Krisa, żeby zabrała go land-roverem córka.

Mając przed sobą jakieś sześć mil drogi, Harvey od razu przeszedł do rzeczy i powiedział to, co chciał mi powiedzieć na osobności.

- Czy twój przyjaciel Kris jest bardzo rozchwiany psychicznie?

- Hm... - mruknąłem niezdecydowanie.

- Nie chcę go na zięcia - oświadczył Harvey.

- W tej chwili to mało prawdopodobne - odparłem.

- Bzdura! Dziewczyna jest zakochana. Rok temu darli koty i przyznam, że bardzo mnie to cieszyło. Nie powiem, że nie jest znakomitym synoptykiem, bo jest. Dzięki jego prognozom zyskałem tysiące, grube tysiące funtów.

Umilkł na chwilę, bo widocznie nie było mu łatwo o to poprosić, jednak poprosił.

- Czy mógłbyś mu powiedzieć, żeby zostawił moją córkę w spokoju?

Najprościej byłoby odrzec: „Nie, nie mogę”. Wydawało mi się jednak, że pytanie zostało źle postawione. Ponieważ nie odpowiadałem, Harvey zaczął wyjaśniać:

- Rok temu była wściekła jak diabli. Pojechała do Hiszpanii i tam znalazła pracę. A sześć tygodni temu wróciła i poprosiła, żebym zorganizował dzisiejszy lunch, nie uprzedzając Krisa, że ona także na nim będzie, więc zrobiłem to dla niej, sam nie wiem po co. Sądziłem, że wybiła go sobie z głowy, ale się myliłem. Wciąż czuje do niego miętę. - Popadł w ponure milczenie. Duże auto z cichym pomrukiem połykało drogę. - Spytał, czy mógłby przyjść z przyjacielem, który będzie jego nawigatorem, a kiedy zobaczyłem ciebie... wyglądasz na rozsądnego, nie to co on, postanowiłem za twoim pośrednictwem przekonać Krisa, żeby dał spokój Bell i nie szarpał jej nerwów... ale tobie się pewnie ten plan nie spodoba...

- Sami się między sobą ułożą - powiedziałem niepewnie. Nie to chciał ode mnie usłyszeć, więc kończyliśmy sześciomilową jazdę niezadowoleni i pogrążeni w milczeniu.

Stajnia Quigleya, jak się okazało, znajdowała się po drugiej stronie miasta, gdzie sklepy i hotele ustępowały najważniejszej lokalnej branży, boksom dla lśniących koni i rozległym wybiegom Heath, na których konie mogły ćwiczyć zwycięski galop i przekazywać połysk potomstwu.

Trener Quigley wjechał niebieskim volvo do swojego królestwa, lecz nawet tutaj wyraźnie czuł się nieswojo. Po dużym czworokątnym dziedzińcu kręcili się stajenni, którzy nosili koniom siano i wodę i podkładali na noc świeżą ściółkę. Kierownik stajni - starszy stajenny - wydzielał porcję paszy dla każdego zwierzęcia. Niektóre boksy były otwarte, w innych świeciło się światło, a jeszcze inne były zamknięte naглуcho i ciemne. Atmosfera panowała taka, jakby wszyscy chcieli jak najszybciej wypełnić obowiązki niedzielnego popołudnia i wyrwać się do przyjemniejszych zajęć.

Harvey zatrzymał się obok auta Quigleya i już więcej ani słowem nie wspominał o uczuciach córki dla Krisa.

Stajenni zaczęli ruszać się jeszcze zwawiej na widok dwóch najpotężniejszych ludzi w swoim życiu - Olivera Quigleya, trenera (pozory mylą, mimo nerwowego zażenowania to przecież on wypłacał im tygodniówki), i Caspara Harveya, właściciela czterech supergwiazd, które przysparzały chwały nie tylko stajni Quigleya, ale wyścigom w ogóle.

Klacz, która mogła pobiec w piątek, stała za zamkniętymi drzwiami, jeszcze nieoporzadzona przed nocą.

Harvey z radosnym ożywieniem podszedł do rzędu sześciu boksów, oddzielonych od pozostałych z jednej strony dróżką prowadzącą z dziedzińca na wybieg Warren Hill, a z drugiej ścieżką do dużego domu, gdzie mieszkał Quigley.

- Klacz trzymamy w tym boksie - rzekł, zapraszając mnie gestem, żebym podszedł, i odsuwając zasuwę w górnej połowie podzielonych stajennych drzwi. - Jest tutaj.

No i była. Ale nie wyglądała, jakby miała pobiec w piątek.

Zobaczyłem, jak dumna mina Harveya zmienia się w grymas przerażenia. Gardło mu się ścisnęło, zaczął się dusić z braku powietrza. Jego skarb, dwuletnia klacz szykująca się do sięgnięcia po koronę w piątkowym biegu, potencjalna faworytka przyszłorocznych gonitw Tysiąc Gwinei i Oaks w Epsom, w przyszłości mająca być kryta przez czempionów, piękna kasztanka o złotawej sierści z białą gwiazdką na czole, słynąca z szybkości ulubienica klęczała na słomie z pociemniałymi od potu bokami i stękała.

Staliśmy oszołomieni - Harvey, Quigley i ja - płynęły długie sekundy i nagle, na naszych oczach klacz przewróciła się, rżąc z bólu.

Wyglądała, jakby lada chwila miała zdechnąć, lecz tak się nie stało.

Rozdział 2



Głęboko poruszony i wzburzony Harvey przejął ster, odsuwając od dowodzenia Quigleya, i osobiście wezwał weterynarza, którego dobrze znał, proponując mu podwójne honorarium, jeżeli przerwie niedzielną sjęstę i natychmiast przyjedzie do stajni.

Sam nic nie mógł zrobić dla swojej klaczy, ponieważ nie wiedział, co jej jest; znał jednak potęgę pieniędzy i nie zamierzał ich żałować, jeżeli mógł dzięki temu osiągnąć swój cel.

- Kolka? - zastanawiał się. - Oliverze, czy nie powinienes z nią pochodzić? To chyba najlepszy sposób na kolkę?

Quigley przykucnął przy końskim łbie i pogłaskał klacz po chrapach. Powiedział, że jego zdaniem chodzenie może bardziej zaszkodzić niż pomóc, nawet gdyby udało mu się postawić klacz na nogi, dlatego woli poczekać na weterynarza. Spostrzegłem, że w sytuacji

naprawdę krytycznej, kiedy zagrożone było życie konia, wstrząsające nim bezustannie nerwowe dreszcze osłabły i prawie zupełnie ustały.

Harvey zapanował nad emocjami i wybiegł myślą w przyszłość.

- Ty... - zwrócił się do mnie. - Chciałem powiedzieć, Stuarcie, masz aparat?

Wyjąłem aparat z kieszeni. Skinął głową.

- Obfotografuj ją. Dla ubezpieczenia. Obrazy przemawiają silniej niż słowa.

Zrobiłem, o co prosił, błyskając fleszem w ciemnym boksie.

- Prześlij mi te zdjęcia - polecił, więc zapewniłem go, że to zrobię.

Belladonna, która przywiozła Krisa land-roverem na dziedziniec stajni, okazała chorej klaczy pełną troski czułość, a ratowanie jej uznała za sprawę pierwszorzędnej wagi. Kris wywołał jej wściekłość, kiedy powiedział, że ważniejsza od czekania na weterynarza jest pora naszego odjazdu, ponieważ nie mogliśmy lecieć ani bezpiecznie wylądować na White Waltham w zapadającym zmroku. Niezależnie od tego, co działo się z klaczą, musieliśmy wystartować wpół do piątej. Bell odparowała, że wystarczy wpół do szóstej. Kris uprzedził ją, że jeżeli nie podwiezie nas do samolotu wtedy, kiedy on chce, to dzwoni po taksówkę. Słuchając ostrej wymiany zdań, pomyślałem, że niepokoje Harveya dotyczące zięcia były mocno na wyrost.

Weterynarz zapracował na podwójne honorarium, podjeżdżając z piskiem opon. Kiedy osłuchiwał klacz przez stetoskop, wyglądał, jakby miał ochotę podrapać się w głowę.

- Wydaje mi się, że to nie kolka - rzekł. - Co jadła? Starszy stajenny i pozostali od razu dostali po głowie za zaniedbanie obowiązków, chociaż zaklinali się, że tego dnia klacz nie jadła nic prócz owsa, otrąb i siana.

Kris wyklócał się z Bell, aż wreszcie dopiął swego. Wściekła dziewczyna powiedziała ojcu, że jakiś czas jej nie będzie, bo musi odwieźć naprzykrzającego się Krisa do samolotu. Ojciec, pochłonięty myślami o cierpiącym zwierzęciu, kiwnął głową, jakby nie słuchał jej uważnie, na mnie zaś spojrzał półprzytomnie, kiedy na odchodnym podziękowałem za lunch i ponowiłem obietnicę, że prześlę zdjęcia.

Bell, zła i naburmuszona, przewiozła nas przez miasto, zahamowała gwałtownie przy samolocie i z pochmurną miną wysłuchała Krisa, który jeszcze raz tłumaczył, że obaj występujemy tego wieczoru przed kamerą, dlatego musimy wrócić na czas. To prawda, że mieliśmy tego dnia dyżur, ale nie musieliśmy koniecznie wylecieć z Newmarket przed wpół do piątej. Jednakże lojalność wobec starego przyjaciela związała mi język.

Przyglądała się, jak Kris obchodzi swojego cherokee przeprowadzając obowiązkową przed każdym lotem kontrolę techniczną.

- Doprowadza mnie do szału - rzuciła. Pokiwałem głową ze zrozumieniem.
- Zajmę się nim. Wracaj do ojca. Popatrzyła na mnie z uwagą niebieskimi oczyma.
- Ja wcale nie chcę być jędzą - powiedziała.

Pomyślałem, że skoro ma do czynienia z dwoma apodyktycznymi mężczyznami, a przy tym sama jest nieustępliwa, to choćby nie wiem jak kokieteryjnie mrużyła oczy, nie doprowadziłaby do trójstronnej równowagi bez wulkanicznego wybuchu i pokazu siły.

Kris skończył kontrolę, więc oboje z Bell wysiedliśmy z land-rovera. Bell i Kris stanęli naprzeciw siebie w milczeniu tak naelektryzowanym, że aż trzeszczało.

- Dostałam pracę asystentki trenera u George'a Loricrofta - rzekła dziewczyna. - Będę teraz mieszkała w Newmarket.

Loricroft jadł lunch przy tym samym stoliku, przy którym siedziałem razem z Evelyn (perły) i Robinem (okulary) Darcy.

Kris z gniewnym marsem na czole zastanowił się.

- Będę miał niedługo miesiąc urlopu - powiedział. - Część chcę spędzić na Florydzie.
- To miło.
- Mogłabyś pojechać ze mną.
- Nie.

Obrócił się raptownie i wsiadł do swojej latającej maszyny, przy czym ani trochę nie przypominał uwiecznionych w filmie wspaniałych mężczyzn.

Czując się niezręcznie, pożegnałem się z Bell i wyraziłem nadzieję, że klacz wyzdrowieje.

- Daj mi swój numer, to się dowiesz.

Miałem pióro, ale nie miałem kartki. Wzięła pióro i zapisała numer na wewnętrznej stronie lewej dłoni.

- Wsiadaj, wsiadaj, Perry! - zawołał Kris. - Bo polecę bez ciebie.
- Gówniarz - powiedziała Bell.
- On cię kocha - podsumowałem.

- Pędzi jak tornado i rozbija wszystko na swojej drodze. Kris zapalił silnik, a ponieważ nie chciałem ryzykować, że naprawdę mnie zostawi, czym prędzej wdrapałem się do kabiny, zatrzasnąłem drzwi, zamknąłem zasuwkę i zapiąłem pas. Bell odpowiedziała niemrawym skinieniem na moje znacznie bardziej energiczne machanie przez okno, natomiast nieprzejednany Kris wpatrywał się zawzięcie przed siebie, aż zrobiło się za późno choćby na mały gest. Kiedy jednak znaleźliśmy się w powietrzu, a Bell jeszcze stała przy samochodzie i

odprowadzała nas wzrokiem, wykonał pokazowy zwrot, przeleciał przed nią i na pożegnanie pomachał skrzydłami.

Z Newmarket do White Waltham nie było daleko. Wylądowaliśmy z dużym zapasem czasu, przy pełnym świetle dziennym, i mój pilot odzyskał dobry humor, z jakim powitał mnie rano.

Zimny wiatr wiał aż do piątku, ale niedzielne słońce przygasło i nastąpiła smutna szarość. Klacz Harveya trzymała się życia. O symptomach choroby i postępach w leczeniu dowiadywałem się z pierwszej ręki, czyli od Bell, która w ostatniej chwili, kiedy już wycisnęła na dłoń mydło w płynie, przypomniała sobie o zapisanym na niej numerze telefonu i przeniosła go na materiał trwalszy od własnej skóry.

- Biedaczka cały czas przyciska łeb do ściany i tak trwa, nic tylko przyciska. Nigdy nie widziałam, żeby koń tak się zachowywał, opiekujący się nią stajenny też czegoś takiego nie widział, a weterynarz mówi, że naciskanie łbem jest objawem zatrucia, więc wszyscy okropnie się przejęli. Wpadli w panikę.

- Co to za trucizna? Chyba nie belladonna? - spytałem prowokująco.

- Nie. Dziękuję bardzo. Bardzo śmieszne. Przez całe życie muszę znosić docinki, bo dostałam imię po wilczej jagodzie. Weterynarz był łaskaw powiedzieć, że belladonna pewnie by ją zabiła.

Dwa dni później Bell znowu zadzwoniła z najświeższymi wiadomościami. Była środa.

- Tata i Quigley starają się nie dopuścić, żeby ta historia trafiła do prasy, Bóg jeden wie dlaczego, to nierealne. Każda nowina rozchodzi się po Newmarket jak dzuma. Klacz jest w szpitalu dla koni, pobierają jej próbki krwi, mierzą temperaturę, grzebią w łajnie, co tylko chcesz, pomyśleli o wszystkim. Oglądałam południową prognozę Krisa. Wydaje się taki zrównoważony, że aż się wierzyć nie chce, jaki jest naprawdę. Tylko mu nie mów, że go oglądam.

Bell miała rację, że w Kwaterze Głównej niczego nie można było utrzymać w tajemnicy, nic nie było święte - na ostatnich stronach brukowców i poważniejszych gazet klacz na całe dwa dni zepchnęła piłkę nożną na dalszy plan.

Na drugi dzień po przyjęciu zaniósłem do wywołania film z niedzielnych wydarzeń i przesłałem Harveyowi w prezencie komplet odbitek. Bell doniosła, że ojciec był przerażony, oglądając zdjęcia klaczy, ale w sumie wdzięczny, natomiast Quigley jęczał, że nie jest winien temu, w jakim stanie się znalazła.

- Tata jest taki wściekły, że nie zdziwiłabym się, gdyby wniósł sprawę do sądu - rzekła Bell. - Wyklócają się całymi godzinami.

Moje dni upływały jak zwykle w sekcji meteorologicznej Centrum Telewizyjnego BBC Wood Lane. Każdego popołudnia o drugiej ja i inni synoptycy pracujący w tych samych godzinach przeprowadzaliśmy telefoniczną konferencję, dowiadując się o najnowsze trendy w świecie pogody, i naradzając nad interpretacją nieraz zupełnie rozbieżnych danych.

Umiejętność, która nieoczekiwanie odmieniła moje życie, kiedy miałem dwadzieścia dwa lata, polegała na rozbudzonym darze prezentacji. Któregoś wieczoru, o wpół do dziesiątej, postawiono mnie bez przygotowania przed kamerami i dałem najdłuższy tego dnia solowy występ, zastępując dosłownie w ostatniej chwili kolegę, który dostał straszliwej biegunki. Ponieważ wszystko stało się tak nieoczekiwanie, nie zdążyłem się zdenerwować, szczęśliwie się też złożyło, że prawidłowo odczytałem sygnały zmiany pogody i nazajutrz padało właśnie tam, gdzie zapowiedziałem deszcz.

Napłynęło potem trochę listów z pochwałami, dzięki którym dano mi drugą szansę. Spodobało mi się. Znowu dostałem trochę listów. Pół roku później pojawiałem się na ekranie regularnie, a po siedmiu latach zająłem drugie miejsce w hierarchii. Pierwszy synoptyk, najstarszy z nas, był naszym guru i traktowaliśmy go wszyscy z należnym szacunkiem ze względu na jego kolekcję edwardiańskich pornograficznych pocztówek.

Obaj mogliśmy porzucić prezentację pogody i wznieść się wyżej na stanowiska kierownicze. Żaden z nas jednak nie chciał odejść. W każdym z nas siedział aktor, któremu sprawiało przyjemność przedstawienie na żywo.

Mojej babuni bardzo się to podobało.

Moja babunia była dla mnie w pewnym sensie tym, czym dla Krisa cherokee na lotnisku White Waltham, inaczej mówiąc workiem bez dna, a ja z własnej woli wrzucałem do tego worka pieniądze, które powinienem odkładać w obligacjach.

Moja babunia i ja nie mieliśmy żadnej innej rodziny i oboje wiedzieliśmy, że za jakiś czas zostanę sam. Ta niegdyś energiczna kobieta, która straciwszy córkę, wyciągnęła z gruzów jej dziecko, zdolna dziennikarka, która przekonała sąd, żeby przyznał jej opiekę nad wnukiem, pełna zrozumienia opiekunka, która przypilnowała chłopca i przeprowadziła go przez dzieciństwo, okres dojrzewania i uniwersytet, teraz, mając osiemdziesiąt lat, zamiast nóg używała wózka i sama potrzebowała stałej opiekunki, pomagającej przy najprostszych czynnościach.

Odwiedziłem ją w czwartek po południu. Pocałowałem w czoło i spytałem o zdrowie.

- Jak się czujesz, babuniu?

- Znakomicie.

Kłamała, o czym oboje doskonale wiedzieliśmy.

Mieszkała w tym samym mieszkaniu, w którym spędziłem młodość, na pierwszym piętrze domu, skąd widać było Tamizę w pobliżu granicy, gdzie sięgała fala przyływu. Przy odpływie nad rozległymi połaciami mułu latały w poszukiwaniu żeru wrzeszczące mewy; na fali przyływu śpieszyły parowce pełne turystów - z hałaśliwą muzyką lub bez - żeby zdążyć do czynnej tylko w czasie przyływu służby w Richmond i wpłynąć na głębszą wodę.

Wciąż rosnący czynsz boleśnie obciążał nasz wspólny budżet, ale parada życia za oknami była tego warta.

Kiedy ukończyłem college i wyfrunąłem z gniazda, jak to zwykle bywa, babunia pracowała na pełnych obrotach dla tej samej co zawsze agencji turystycznej. Agencja ta, wyróżniająca się spośród innych zakresem i poziomem informacji, drukowała porady babuni w broszurach dla jej rówieśników, a więc ludzi w miarę upływu czasu coraz starszych. Mając pięćdziesiąt lat, babunia pisała: „Ci cudowni chłopcy, którzy uczą gry w tenisa, nie są waszymi utrzymankami, oni grają dla pieniędzy”. Jako sześćdziesięciolatka wyraziła się o Australii: „Na Ayer’s Rock można się wdrapać albo mając pięć lat, albo będąc sprawnym jak kozica”, ukończywszy zaś siedemdziesiątkę, orzekła: „Teraz albo nigdy możesz obejrzeć Wielki Mur i wybrać się na pielgrzymkę. Zrób to teraz albo na zawsze pożegnaj się z podróżami”.

Los sprawił, że pożegnała się z podróżami na zawsze. Kiedy miała siedemdziesiąt cztery lata, nie zważając na ostrzegawcze sygnały - okresy zmniejszonego czucia w nogach - pojechała sprawdzić, ile trzeba mieć sił, żeby spłynąć tratwą po spienionych bystrzach południowych odcinków rzeki Kolorado. Darowała sobie sływ tam, gdzie najbardziej rzucało; zasięgnęła języka u przewodników. Nie była szalona. Płacono jej za pisanie o tym, jakie przygody są dostępne dla ludzi w jej wieku, i w razie potrzeby odradzanie „tam nie jedźcie”. Mając siedemdziesiąt cztery lata nie odnosiła się entuzjastycznie do spienionej wody chlapiącej jej na plecy i chcąc jak najszybciej wrócić do domu, zbagatelizowała gorączkę i dreszcze, które ją potem dopadły. Z powodu opóźnienia na lotnisku musiała czekać pół dnia, aż znajdzie się samolot, którym mogłaby się zabrać do Anglii. Na lotnisku napisała do mnie kartkę, którą dostałem - jakżeby inaczej - po trzech tygodniach.

Przeczytałem w niej:

„Najdroższy Perry, chodzą mi po grzbiecie straszliwe ciarki przed tym lotem, ale następny jest dopiero za pięć dni. Uważaj na siebie. Przeziębłam się. Na zawsze Twoja Babunia”.

W czasie zapowiedzianego ciarkami na grzbiecie, długiego nocnego lotu z Phoenix w Arizonie do Londynu stopniowo traciła władzę w nogach, a kiedy na drugi dzień rano podstawiony samolot wylądował bezpiecznie na Heathrow, całą dolną połowę ciała miała odrętwiała. Ledwie dowlokła się do punktu kontroli paszportów i potem już właściwie przestała chodzić.

Po wielu niespokojnych godzinach badań powiedziano nam, że winny jest oponiak, niezłśliwy, ale twardy guz, który rozrósł się w kanale kręgowym i uciskał przebiegające tamtędy nerwy. Mili i zatroskani lekarze szpikowali ją steroidami, ale nic to nie dało. Operacja, chociaż dokładnie przedyskutowana i starannie przeprowadzona, zmniejszyła dopływ krwi do rdzenia kręgowego i pogorszyła stan chorej.

Nie należało nigdy lekceważyć ciarek chodzących po grzbiecie mojej babuni.

Takie same ciarki latały po niej w dniu, kiedy odbyła osiemnastogodzinną podróż, aby nakłonić moich opierających się rodziców do opuszczenia ukochanego domu, a gdy do niego podchodziła, nastąpił wybuch, który ich pogrzebał. Lżejsze ciareczki poczuła w dniu, kiedy wózek golfowy złamał mi nogę w kostce, a z powodu innych złowrogich ciarek nie pojechaliliśmy na narty do górskiej doliny, gdzie moglibyśmy zginąć przysypani lawiną.

Kiedy medycyna skapitulowała i zostawiono w spokoju bezużyteczne opony otulające nerwy, moja unieruchomiona babunia zaczęła żartować z inwalidztwa, obawiając się zarazem, że pracodawcy odeślą ją na emeryturę. Ale agencja turystyczna poprosiła ją o pisanie artykułów o jednodniowych i dłuższych wycieczkach dla niepełnosprawnych, a także zawarła umowę z agencją pielęgniarek. Uzgodniono, że siostry miłosierdzia będą się zmieniały co tydzień i mieszkały razem z babunią, żeby się nią opiekować. Miały robić zakupy, gotować, ubierać, pielęgnować, a także wozić swoją podopieczną w ciekawe miejsca, o których mogłaby coś napisać. Miały spać w małym pokoiku od podwórza, gdzie stały jeszcze na półkach moje podręczniki do fizyki. Mogły nosić uniform albo ubierać się zwyczajnie. No i koniecznie musiały oglądać z moją babunią prognozy pogody.

Tylko jedna z przysłanych przez agencję pielęgniarek nie sprawdziła się - była brzydka, ponura i przyprowadziła ze sobą psa. Babunia życzyła sobie, żeby pielęgniarzka była ładna, bez zobowiązań rodzinnych i w takim wieku, w jakim mogłaby być jej wnuczka. Ku zdziwieniu agencji pielęgniarzki same prosiły o kolejne tygodniowe dyżury i chętnie pomieszkiwały ze staruszką.

W czwartek po lunchu u Harveya wspomniałem babuni o chorej klaczy i przekonałem się, że jest na bieżąco, a nawet wie więcej ode mnie. Nie było w tym nic dziwnego, bo

chłonęła informacje z prasy z szybkością odkurzacza, a po latach doświadczenia w pisaniu potrafiła czytać między wierszami.

- Przewiduję, że Harvey pozbędzie się Quigleya. A jak ty myślisz, Perry? - zagadnęła.
- Wyśle konie do Loricrofta, gdzie przenosi się córka.

Ręce miała na tyle sprawne, że nieźle radziła sobie z płachtami gazet, które zwykle rozpościerała na kolanach. Patrzyłem, jak szamoce się z gazetą, wiedząc, że nie byłaby mi wdzięczna za pomoc. Tylko wtedy, kiedy odkładała zadrukowaną płachtę na kolana z cichym westchnieniem złości i zastygała w bezruchu, można było jej pomóc.

Wyglądała jak zawsze świeżo, schludnie i atrakcyjnie, chociaż osiągnięcie tego efektu zabierało jej i pielęgniarce przeszło godzinę. Tym razem była ubrana w granatową sukienkę z koronką i sztuczną białą gardenią przypiętą do lewego ramienia, a na bezużytecznych stopach miała srebrne pantofle.

- Dlaczego sądzisz, że Harvey przeniesie konie? - spytałem zaciekawiony.

- Zajmuje się nimi dla sławy i laurów. A zawsze mówiłeś, że Quigley cały czas się trzęsie, jakby ciarki chodziły mu po grzbiecie.

- No tak, rzeczywiście.

Usiadłem w dużym fotelu pod oknem, obok wózka ustawionego w jej ulubionym miejscu, żebyśmy razem popatrzyli na wrzaskliwe mewy ganiające się po mule. Ich zachowanie wyrażało elementarny instynkt agresji, zauważyła babunia, i świadczyło o tym, że wojny toczone przez ludzi są naturalne i nieuniknione.

Tego czwartkowego popołudnia wydawało mi się, że wola życia opuściła ją jak cofająca się od brzegu fala, choć bardzo starała się to ukryć, we mnie zaś wywołało to wielki niepokój, ponieważ nie wyobrażałem sobie bez niej życia.

Nie tylko zastępowała mi ojca i matkę, zawsze gotowa zabandażować odrapane kolano, ale była moją nauczycielką, intelektualną inspiracją i partnerką w rozmowach. Po buntach z okresu dojrzewania pozostały przymglone wspomnienia. Od tamtej pory przyzwyczailem się odwiedzać ją regularnie, słuchać życiowych mądrości i przeważnie przyjmować je jako własne. Było za wcześnie, żeby mnie opuściła. Nie byłem przygotowany na taką stratę. Czulem zresztą, że zawsze będzie za wcześnie.

- Jeżeli Quigley straci konie Harveya... - zacząłem zastanawiać się na głos.

Babunia chciała zadać własne pytania.

- Kto zatrul klacz? Kto próbuje to wyjaśnić? Czy ten twój szalony przyjaciel robi coś w tej sprawie?

Uśmiechnąłem się.

- Wyjechał na urlop na Florydę. Kocha się w córce Harveya i jednocześnie jej nienawidzi. Można powiedzieć, że od niej ucieka.

Babunię nagle ogarnęło znużenie, jakby nie chciała ciągnąć wątku o Harveyu, zamknęła oczy i upuściła gazetę na podłogę.

W tym tygodniu mieszkała z nią nowa pielęgniarka, którą widziałem pierwszy raz. Teraz jak na zawołanie weszła do pokoju i zebrała rozrzucone gazety. Na początku mojej wizyty babunia przedstawiła ją tak: „Ta miła młoda dziewczyna nazywa się Jett van Els. Napisze ci to na kartce. Jej ojciec był Belgiem”.

Jett van Els, córka Belga, spełniała babcine wymagania co do wieku i urody, ponadto zaś była wysoka, wyglądała schludnie w niebiesko-białym uniformie i miała specjalny odwrócony zegarek przypięty w takim miejscu, że gdybym spróbował odczytać na nim godzinę, posądzono by mnie o molestowanie.

Drzemki babuni zwykle nie trwały dłużej niż kilka minut, ale dzisiejsza jakoś się przedłużała. Wtem otworzyła okrągłe niebieskie oczy i jak zawsze błyskawicznie odzyskała pełną przytomność umysłu.

- Trzymaj się z dala od Newmarket, Perry, pełno tam łajdaków. - Powiedziała to bez zastanowienia i aż sama zdziwiła się własnym słowom.

- Newmarket to spore miasto - odparłem łagodnie. - Od kogo właściwie mam się trzymać z daleka?

- Od tej klaczy.

- Dobrze - rzekłem na odczepnego, chociaż zamiary miałem inne.

O ile dobrze pamiętałem, w Newmarket była tylko raz i to dawno temu, kiedy pisała serię artykułów o tym, jak spędzić wolny czas i wydać trochę pieniędzy na wesołej wycieczce. Newmarket pozostało w archiwum pamięci jako krótki zapis „byłam tam, robiłam to i to”, a szkoda naszego krótkiego życia, jak powtarzała babunia, żeby jechać dwa razy tą samą drogą.

- Cóż w tym złego, że pojechałbym obejrzeć klacz? - spytałem.

- O to właśnie chodzi. Nieważne, na co jest chora, masz się trzymać od niej z daleka.

Mówiąc to, zmarszczyła czoło, a ja pomyślałem, że sama nie do końca rozumie, co ma na myśli. Gorszy od fizycznego niedołęstwa byłby - i tego najbardziej się obawiałem - zanik jej żywego umysłu: to, co powiedziała o klaczy, było albo wyrazem przenikliwości, albo nonsensem, a nie chciałem zgadywać, co jest prawdą.

Jett van Els obojętnie słuchała naszej rozmowy, ponieważ nie interesowała się końmi. Poprawiała poduszki, na których opierała się babunia, a po jej płynnych ruchach można było

poznać doświadczoną, dobrą pielęgniarkę. Nie nosiła angielskiego nazwiska, ale mówiła i wyglądała jak rodowita Angielka, krew z mlekiem - dla podobnej do niej rzuciłem kiedyś córkę przemysłowego magnata, a potem sam dostałem kosza, kiedy uroczemu dziewczęciu nudziło się pokazywanie z człowiekiem o znanej twarzy. Prawdziwe życie zaczyna się po wygaśnięciu ekranu.

Spokojna i opanowana Jett van Els powiedziała, że pani Mevagissey będzie jadła na kolację rybę w cieście z pietruszkowym sosem, i spytała, czy zostanę i zjem razem z nimi.

Pani Mevagissey to była moja babunia.

- Nie zostanie - odparła spokojnie. - Ale jeśli przeszłość może służyć za drogowskaz, za tydzień lub dwa zaprosi cię do pubu na kanapki.

- Babuniu! - zaprotestowałem.

- Bardzo się z tego cieszę - powiedziała szczerze. - No to zmykaj, obejrzę cię jutro w telewizorze.

Zawsze na dany przez nią znak wychodziłem, żeby jej nie męczyć, a tym razem na odchodnym podchwyciłem przyjazne, rozbawione spojrzenie brązowych oczu van Els, z których wyczytałem, że gdybym poprosił, poszłaby ze mną na te kanapki.

Pani Mevagissey zna mnie aż za dobrze, pomyślałem.

Spędziłem piątek w Centrum Meteorologicznym, oglądając raporty napływające z całego świata. Kontynentalny wiatr ze wschodu zaczynał słabnąć, ale jeszcze tego popołudnia tor w Newmarket byłby suchy i szybki dla klaczy Harveya, gdyby mogła pobiec.

Z doniesień Bell wynikało, że w stajni panuje nastrój zawodu i przygnębienia. Dziennikarze tropiący branżowe nowiny przerwali na weekend pogoń za klaczą, żeby pisać o wyścigach, i można się było spodziewać, że w poniedziałek chory koń zejdzie na dalszy plan, a może nawet wcale nie doczeka się wzmianki. Przeniesienie wszystkich pozostałych koni Harveya od Quigleya do Loricrofta zasłużyło na jeden spory akapit, a zatrudnienie Bell jako pomocniczego trenera zachęciło do umieszczenia zdjęcia - nie Loricrofta, nie Harveya i nie żadnego z koni, tylko Bell. Bo to ona była ładna.

Biedny Quigley przestał wydzwaniać do mnie, podczas gdy przedtem robił to przynajmniej dwa razy dziennie. Odebrałem tylko jeden żaloszny telefon - trener miał ściśnięte gardło, nie potrafił ukryć targających nim emocji, nerwowa drżączka powróciła z całą siłą.

Ale wyścigi, nawet główne gonitwy dwulatków w Dewhurst i Middle Park czy też mistrzostwa klaczy w Cheveley Park Stakes, nie leżały w sferze moich zainteresowań.

Wiatry dmące dokoła kuli ziemskiej szalały coraz gwałtowniej, jak zwykle w porze jesieni - silny huragan nad Pacyfikiem zagrażał południowo-zachodniemu wybrzeżu Kalifornii, a na Filipiny nacierał, topiąc ludzi, niszczycielski tajfun. Japonię atakowały tsunami - przerażające fale wywołane przez wstrząsy dna oceanicznego.

Nad Atlantykiem doliczono się tego roku trzynastu huraganów i mniejszych tropikalnych niżów, a czekały nas jeszcze jesienne tygodnie zapewne największej aktywności cyklonów. Wprawdzie ryczące, rozległe zaburzenia atmosferyczne o huraganowej sile rzadko docierały do Wysp Brytyjskich, najwyżej pod postacią przechodzących falami ulewnych deszczy, to dla nas meteorologów na całym świecie były niezmiernie interesujące.

Dwa tygodnie po lunchu u Harveya u zachodnich wybrzeży Afryki uformował się czternasty w tym roku niżowy wir chmur i przemierzył Atlantyk nieco na północ od równika. Trzy zasadnicze warunki przekształcenia się tego wiru w prawdziwy huragan były spełnione - po pierwsze temperatura wody powyżej 26 stopni Celsjusza, po drugie gorące powietrze tropikalne zderzające się z wilgotnym powietrzem równikowym znad oceanu i po trzecie wiatry spowodowane unoszeniem się ciepłego, wilgotnego powietrza i napływaniem od spodu powietrza zimnego. Rotacja ziemi wywoływała wirowanie wiatrów, a ciepło oceanu przyśpieszało ruch całej masy powietrza.

Przed laty wybrano imię dla czternastego sztormu w tym roku - Nicky.

Kris obserwował jego rozwój z posępną miną.

- Kieruje się na zachód, prosto na Florydę - rzekł niezadowolony. - I sunie dość szybko, dwadzieścia mil na godzinę.

- Myślałem, że cię zainteresuje - powiedziałem.

- Oczywiście, że mnie interesuje, ale doleci na miejsce przede mną, nie? A mnie zostało jeszcze osiem dni do urlopu.

- Jest coraz lepiej zorganizowany - zauważyłem, kiwając głową. - Wiatry przypowierzchniowe krążą z szybkością około osiemdziesięciu mil na godzinę.

- Zawsze chciałem przelecieć przez huragan - rzekł Kris. - No wiesz, siedząc za sterami samolotu, przelecieć przez cyklon.

Słyszałem, jak rozkoszował się treścią tych słów - nie rzucił ich, ot, tak sobie, na wiatr.

- Ludzie robią takie rzeczy - dodał z powagą.

- To szaleństwo - odparłem, ale w głębi ducha też bardzo tego pragnąłem.

- Pomyśl tylko! - Jasne oczy zabłyśły z podniecenia. - I nie mów, że na myśl o tym krew nie krąży ci szybciej w żyłach, no bo kto startował w konkursie surfingu w północnej Kornwalii? Kto potrafi stanąć wyprostowany na desce? Jak to nazywacie, jazda tunelem?

- Metrem. Ale to było co innego. Nic mi nie groziło.

- Naprawdę?

- Prawie nic.

- Przeleczysz ze mną bezpiecznie przez huragan Nicky. Spotkało go jednak ogromne rozczarowanie, ponieważ okazja przeleciała mu koło nosa. Huragan Nicky, chociaż się wzmógł i osiągnął kategorię trzy w skali Saffira-Simpsona, przy prędkości krążącego wiatru od 111 do 130 mil na godzinę, nie tylko nie zaczekał, aż Kris przybędzie do Stanów, ale, nie dotarwszy do wschodniego amerykańskiego wybrzeża, skręcił na północ i wywiął się nieszkodliwie nad zimnymi wodami północnego Atlantyku.

Kris wybrał się jednak na Florydę, stawiając sobie za cel odwiedzenie wyrzutni na przylądku Canaveral, następnie zaś skontaktowanie się z Krajowym Centrum Obserwacji Huraganów w Miami. Ku jego wielkiemu rozczarowaniu ani jeden sztorm nie formował się na obszarach, gdzie najczęściej lęgą się cyklony, czyli na zachód od Afryki.

Niewiele się działo w ciągu tego tygodnia. Przesłał mi tylko faks, że zatrzymał się na kilka dni u ludzi, których poznał na lunchu u Harveya, na ich wcześniejsze zaproszenie.

W pierwszej chwili nie pamiętałem, kogo ma na myśli. Wspomnienie lunchu nieco się zatarło, usunięte w cień przez zatrucie klaczy, ale kiedy pogrzebałem w pamięci, wyszło mi, że to musieli być państwo Darcy - Robin mózgowiec i Evelyn w perłach.

Szybko nadeszło potwierdzenie domysłu. „Jest tu miło i swobodnie - zawiadamił Kris. - Robin i Evelyn nalegają, żebyś przyjechał w poniedziałek i został na parę dni, więc raz-dwa potwierdź, że do nas dołączysz. To małe zaburzenie, które powstało nad Morzem Karaibskim, będzie się nazywało Odyn, jeżeli się rozbuduje. Zamierzam przez niego przelecieć. Ty też?”

Szybko przejrzałem dane o chaotycznych warunkach na Karaibach i wyciągnąłem z nich wniosek, że z dużej chmury będzie mały deszcz, więc imię Odyn zostanie nadane kiedy indziej.

Jednakże na drugi dzień wiatry na południe od Jamajki przybrały na sile, a ciśnienie barometryczne spadło znacznie poniżej 1000 hektopaskali, a to już wyglądało groźnie, zważywszy na to, że średnie ciśnienie w tym rejonie wynosiło około 1013. Górny wiatr o zróżnicowanej szybkości, który nie dopuszczał do powstania regularnego kolistego ruchu, zdeintegrował się i przestał rozrywać górne warstwy atmosfery, a drobne zaburzenie,

zorientowawszy się w otwierających się przed nim możliwościach, powoli się rozkręcało, zapraszając do tańca.

„Nazwano Odyń tropikalnym sztormem - doniósł Kris. - Szkoda, że to jeszcze nie huragan, ale tak czy owak przyjeżdż w poniedziałek”. Dołączył wskazówki, jak trafić do domu Darcych, i pozdrowienia od obojga gospodarzy.

W najbliższy poniedziałek zaczynał mi się urlop.

Policzyłem skromne oszczędności, które wcześniej zamierzałem wydać, chodząc po Sycylii, i zadzwoniłem do Belladonny Harvey. Dowiedziałem się, w jakim stanie jest klacz (słaba, ale stoi na nogach, a wyników testów jeszcze nie ma), co słyhać u Quigleya (lamentuje), jak układają się jej stosunki z nowym pracodawcą Loricroftem (umizga się) i jak się ma ojciec (jest wściekły). Na koniec spytała, co u Krisa, bo od tygodnia nie pokazywał się na ekranie.

- Poleciał na Florydę.

- Ach tak.

- Chciał, żebyś się z nim wybrała.

- Mhm.

- Zatrzymał się u Robina i Evelyn Darcych. Mnie też zaprosili. Czy to nie dziwne?

Dopiero po chwili spytała:

- Co chcesz wiedzieć?

- Po pierwsze, czym on się zajmuje? - spytałem z uśmiechem, który na pewno był słyszalny w moim głosie.

- Evelyn opowiada każdemu, że handluje grzybami. A on nie zaprzecza.

- Niemożliwe.

- Dlaczego? Evelyn mówi, że sprzedaje różne gatunki grzybów, na które jest szalone zapotrzebowanie w gastronomii. Portobello, shiitake, kurki i prawdziwki, co tylko chcesz. On je mrozi, suszy, sprzedaje w próżniowych opakowaniach i zbija na tym majątek. - Umilkła na chwilę. - Sprzedaje też trawę.

- Co takiego?

- Sprzedaje trawę. Nie mam na myśli, no wiesz, trawki. Możesz się z tego śmiać, ale na Florydzie nie wysiewa się w ogródkach trawy. Podobno klimat jest nieodpowiedni. Tam się sadzi darń. Kładzie się trawniki jak dywany. Robin Darcy ma farmę darni. Nie śmieję się. Tak się to nazywa, a darniowy biznes przynosi miliony dolarów.

- Mówiłaś, że jest obdarzony inteligencją - przypomniałem.

- Tak. To prawda. I mówiłam ci, żebyś nie dał się zwieść pozorom. W tych grubych czarnych oprawkach okularów wygląda jak sympatyczny, zagubiony naiwniak, ale wszystko, czego się dotknie, przemienia się w złoto.

- Lubisz go? - spytałem.

- Nie bardzo - odparła bez wahania. - Jest kolegą taty, nie moim. Dla mnie jest nazbyt wyrachowany. Niczego nie robi bezinteresownie, ale to się okazuje dopiero po jakimś czasie.

- A Evelyn?

- Mówiłam ci, ona go reprezentuje. Znam ich od lat, ale to dość luźna znajomość. Robin i tata zawsze rozmawiają o interesach, chociaż zdawałoby się, że grzyby i darń niewiele mają wspólnego z ptasią karmą, która jest specjalnością taty.

- Zdawało mi się, że twój ojciec hoduje jęczmień - rzekłem niepewnie.

- Owszem. Robią z niego świetną whisky. Tata nie produkuje nasion. Skupuje setki ton różnych gatunków, miesza je w fabryce i sprzedaje w małych paczuszkach właścicielom papużek. Można powiedzieć, że Darcy i mój ojciec zarabiają miliony na stugramowych opakowaniach.

- A Evelyn? - zagadnąłem znowu.

- Przyjaźni się z moją matką. Obie przepadają za biżuterią. Porozmawiaj z Evelyn o brylantach, a zostaniesz jej dozgonnym przyjacielem.

Bell nie przekonała mnie ani też nie zniechęciła do wyjazdu, uległem więc łatwo pragnieniu zobaczenia Florydy, gdzie nigdy przedtem nie byłem. Kiedy już się zdecydowałem, zupełnie bezmyślnie powiedziałem babuni, że Kris chce przelecieć ze mną przez huragan.

- Nie jedź tam, Perry. Na samą myśl ciarki mnie przechodzą.

Pocałowałem ją i zlekceważyłem jej niepokój. Minęły lata od straszego lotu z Phoenix do Londynu, kiedy powoli obezwładniał ją paraliż, i od tamtej pory żadne ciarki, dreszcze czy złe przeczucia nie dały o sobie znać.

- Wróć zdrow i cały - zapewniłem i poleciałem na Florydę, wykupiwszy najtańszy bilet.

Dom Robina i Evelyn na południu Florydy nie wyglądał wprawdzie ekstrawagancko w tamtej okolicy, ale dla oczu oglądających na co dzień kawalerkę na poddaszu na trzecim piętrze (z maciupenką łazienką i kuchnią we wnętrzu) był oszałamiający.

Uderzyły mnie przede wszystkim żywe barwy. Przywykłem do szaroniebieskiego światła londyńskich jesiennych popołudni między 51 a 52 stopniem szerokości geograficznej północnej.

W Sand Dollar Beach - 25 stopni szerokości geograficznej, nieco na północ od zwrotnika Raka, a sporo na północ od równika - kolor różowy wibrował, turkusowy jaśniał aż po horyzont na morzu, a zielone palmy kołysały się nad białą koronką spienionych fal.

Bardzo rzadko żałowałem, że godziłem się na wiele ograniczeń, aby zapewnić komfort babuni, ale tego pięknego roziskrzonego wieczoru poczułem, jak drogo mnie kosztują angielskie mewy uganiające się z wrzaskiem po odsłoniętym przez odpływ brzegu.

Jeszcze przed przyjazdem podziękowałem Darcym za zaproszenie, potem zostałem przez nich serdecznie powitany, ale nawet jeśli wziąć pod uwagę zwyczajową gościnność Amerykanów, którą tak wylewnie okazywali, właściwie nie wiedziałem, co ja robię w Sand Dollar Beach, oglądając złoty zachód słońca, popijając egzotycznego drinka i jedząc kanapki wielkości dużych talerzy.

Evelyn, zgodnie z zapowiedzią Bell, mówiła o brylantach. Miała nieskazitelną srebrną fryzurę i była ubrana w połyskliwe, niebieskie jak lód, jedwabne spodnie i luźną bluzkę do kompletu, wyszywaną perłami i srebrnymi podłużnymi paciorkami.

Robin, trzymając w ręku pełną szklanekę jakiegoś zmieszanego napoju z dodatkiem lodu, rozparł się leniwie na miękkim ogrodowym szezlongu, dając odpocząć gołym stopom w pozycji horyzontalnej. Zwrócił się do mnie per „doktorze Stuarcie”, kiedy wyszedł po mnie na lotnisko w Miami, natomiast wciskając mi do ręki pina coladę, bąknął „drogi chłopcze”, po czym dodał: „sok z ananasa, mleko kokosowe i rum, mam nadzieję, że to lubisz”.

Wydawało mi się, że nie wie, co o mnie myśleć, i vice versa. Nieraz można od razu dostrzec w drugim człowieku zyczliwość. Ja w Robinie widziałem wyrachowanie szachisty.

Siedzieliśmy na dużym południowym tarasie. Po jednej stronie rozpościerał się spokojny Atlantyk, a po drugiej niebo jaśniało popołudniowym blaskiem pierzastych złotych chmur.

Kris, który rzadko pijał alkohol, nawet kiedy nie latał, krążył niespokojnie między tarasem a położonym niżej basenem, wpatrując się w wyzłocone przestworza ze złością i rozczarowaniem.

- Kris, wejdź do domu i pooglądaj kanał z pogodą - poradził z wyrozumiałością Robin. - Jeżeli wielki bóg Odyn skrada się nad Karaibami, minie wiele dni, zanim go tu zobaczysz.

Spytałem Robina, czy jemu i jego żonie zdarzyło się kiedyś przeczekać spokojnie huragan. Uśmiechnął się z politowaniem dla mojej naiwności.

- Nie można spokojnie przeczekać huraganu - zapewniła Evelyn. - Jest się zdanym na jego łaskę i niełaskę. Myślałam, że jesteś meteorologiem i znasz się na tych sprawach.

- Zna się teoretycznie - wtrącił Kris, gwoli usprawiedliwienia mnie. - Wie, w jaki sposób powstają huragany, ale nikt nie wie dlaczego. Wie, dlaczego właśnie tak się nazywają, ale nie wie, dokąd zacierają. Jest doktorem fizyki, a to rzadki przypadek wśród synoptyków, i powinien zastanawiać się nad pytaniami, na które nikt nie zna odpowiedzi, a nie siedzieć na słońcu i popijać drinka. Przyjechał tu dlatego, że obiecałem mu lot przez oko cyklonu, a nie po to, żeby się zastanawiać nad smakiem mleka kokosowego zmieszanego z sokiem ananasowym i rumem.

Robin skierował spojrzenie w moją stronę, a za spojrzeniem przesunęła się także dłoń z drinkiem.

- Czy to prawda? - spytał.

- Za nic w świecie nie zrezygnowałbym z tego wieczoru - odparłem.

Uniosłem drinka pod słońce, ale płyn nie przepuścił jego promieni, podobnie jak wiele pytań nie przepuszczało światła prawdy.

Rozdział 3



Robin, z jednakową gościnnością zachęcający do korzystania z telefonu jak do picia rumu, nie kryjąc entuzjazmu, wysłuchał mojego komunikatu o pogodzie, jaka szykowała się nad okrągłym morzem noszącym nazwę od budzących postrach Karibów, Indian z Ameryki Północnej, którzy napadli na wyspy i ziemie przybrzeżne, a potem rządzą krwawą ręką do czasu, aż przepędził ich Kolumb wraz z innymi europejskimi kolonistami.

Do naszych czasów przetrwali piraci, powiedział, zmieniły się tylko stroje. Niecofający się przed mordem rabusie grasowali po ciepłych niebieskich wodach, kradnąc jachty i zabijając ich właścicieli, chociaż może nie byli aż tak krwiożerczy jak ich poprzednicy z wcześniejszych epok. Wspomniał z uśmiechem, że słowo *karib* ma ten sam źródłosłów co kanibal.

Pogadałem z Centrum Obserwacji Huraganów w Miami, gdzie znany mi od dawna z rozmów telefonicznych kolega podał stan górnych wiatrów sprzed pięciu minut.

- Odyn ładnie się rozwija - powiedział. - W nocy były oznaki, że się organizuje. Już nie powiem, że na próżno przeskoczyłeś Atlantyck. Zadzwoń jutro, może dowiesz się więcej. Sztorm przemieszcza się bardzo wolno, z prędkością zaledwie sześciu mil na godzinę, nie więcej. Na powierzchni ustaliły się wiatry o prędkości trzydziestu pięciu mil na godzinę, ale oka jeszcze nie ma.

- Na dwoje babka wróżyła - powiedziałem do Robina.

- Założymy się, że to huragan?

- Chciałbyś, żeby to był huragan? - spytałem z zaciekawieniem.

Odniosłem wrażenie, że tego właśnie chce, ale on potrząsnął przecząco głową i rzekł:

- Nie, zdecydowanie nie. Mieszkam na Florydzie od czterdziestu lat i za każdym razem, kiedy radzono, żeby się ewakuować, jechałem w głąb lądu. Mieliśmy też szczęście z wysoką falą. Około pół mili od brzegu i równoległe do niego przebiega rafa koralowa, która osłabia wzburzone morze i nie dopuszcza do powstania wielkich fal. Tam, gdzie nie ma rafy koralowej, ludzie giną najczęściej od wody, nie od wiatru.

Jeżeli ktoś mieszka tak długo w zakątku nawiedzanym przez huragany, pomyślałem, to siłą rzeczy poznaje dane statystyczne o śmiertelności. Drugiego wieczoru, który był równie wspaniały jak pierwszy, Robin włączył krajowy kanał z pogodą, żebyśmy popatrzyli, jak sobie radzi Odyn.

Szedł jak burza!

Ciśnienie w kołującym środku tropikalnego niżu, jak oznajmił radosnym głosem spiker, spadło o 20 hektopaskali w ciągu dwóch godzin. Niestychane! Oddalony przeszło 200 mil na południe od Jamajki Odyn został oficjalnie nazwany silnym sztormem tropikalnym, generował wiatry o prędkości około 65 mil na godzinę i przemieszczał się na północ w tempie 7 mil na godzinę.

Robin w zamyśleniu wysłuchiwał tych informacji i oznajmił, że nazajutrz polecimy na Wielki Kajman, żeby spędzić kilka dni na słońcu.

Ponieważ przez cały dzień pływaliśmy w basenie Darcy'ego, popijaliśmy jego orzeźwiający drinki i wylegiwaliśmy się w słońcu Florydy, mógł mu przyświecać tylko jeden cel - przenieść się, jeżeli nie bezpośrednio do oka Odynda, to tam, skąd mogło nas ono zobaczyć.

Kris chodził wielkimi miękkimi krokami dokoła oblanego słońcem basenu i na wpół ocienionego tarasu. Odyn, śledzony przez radar i satelity, był jak na jego gust za mały, za

wolny i zbyt oddalony od lądu. Robin powiedział z ironią, że bardzo go przeprasza, ale nie udało mu się zorganizować lepszego widowiska.

Evelyn wyraziła opinię, że uganiecie się za wichurami to niebezpieczny sport dla niedojrzałych ludzi, i oznajmiła, że nie poleci na Wielki Kajman, tylko zostanie w domu, gdzie jest jej dobrze. Robin przypomniał jej, że jeśli Odyn się nasili i zmieni kurs, a cyklony potrafią to zrobić z minuty na minutę, to może się okazać, że potwór zaryczy pod jej drzwiami, a nas ominie.

- Ponadto - ciągnęła zdecydowanym głosem, jakby nie dosłyszała ostrzeżenia - na kolację będą dziś kraby, duma Florydy, potem Kris powie nam wiersz, który mamrotał pod nosem przez cały dzień, a na koniec możecie sobie do woli oglądać kanał z pogodą, tylko nie budźcie mnie rano, bo nigdzie nie leczę.

- Jaki wiersz? - spytał Robin.

- Nie ma żadnego wiersza. Idę popływać - odparł szybko Kris. I siedział w basenie aż do zachodu słońca.

- Recytował wiersz - powiedziała z żalem Evelyn. - Dlaczego udaje, że tego nie robił?

- Trzeba dać mu trochę czasu - odparłem, mając w tym względzie doświadczenie.

Po pewnym czasie albo mówił wiersz, albo go darł. W zależności od samopoczucia.

Kraby z musztardowym sosem i zieloną sałatą zostawiły daleko w tyle rybę w cieście z sosem pietruszkowym. Przy kawie na tarasie, kiedy miękkie światło obrysowywało ciemniejące kształty, Kris powiedział bez żadnego wstępu:

- Byłem na przylądku Canaveral. Pokiwaliśmy głowami.

- Przeleczę przez huragan, ale ci pierwsi astronauty siedzieli na tonach paliwa rakietowego i zapalili zapałkę. Więc napisałem dla nich. Napisałem o przylądku Canaveral, o przeszłości, o przyszłości.

Wstał nagle i poszedł z filiżanką kawy na koniec tarasu. Z ciemności dobiegł jego beznamiętny głos.

Samotne betonowe płyty, ukryte w pylistej trawiekoła z nikłym śladem ognia, mierzące zaledwie dwadzieścia stóp.

Kiedyś stały tam rakiety, z ludźmi pełnymi ufności i odwagi, czekające na start do gwiazd.

Milczeliśmy.

Kris deklamował dalej:

Dziś wahadłowce latają z rykiem do stacji na orbicie. Lada dzień wyjdzie kosmiczny rozkład jazdy, wydadzą wejściówki na pokład.

Kto poświęci chwilę wspomnieniu lub choćby rzuci krótkie dziękię tym kęgom w trawie?

Znów milczenie.

Kris westchnął i dokończył:

Wietrzne lata przewieją przylądek pusty.

Cienie strachu i serca drzące zbledną i przeminą.

Zielenieją chwasty na betonie. Z płyty startowej na orbicie

Ludzie poleciełi na Marsa.

Kris podszedł do stołu i odstawił filiżankę.

- Jak więc sami widzicie, Johnem Keatsem nie jestem - zażartował, bliski śmiechu.

- Mimo wszystko to interesujące *aperçu* - zawyrokował Robin.

Kris oddalił się od Robina, który wyjaśnił Evelyn, co znaczy słowo *aperçu*, i poprowadził mnie na skraj tarasu, żeby popatrzeć na odbity w basenie księżyc.

- Robin załatwił pipera na Kajmanie - powiedział. - Sprawdziłem, że mogę nim polecieć. Pisziesz się na to?

- Nie mogę dużo wydać.

- O pieniądze się nie martw. Czy piszesz się na to duchem?

- Tak.

- Świetnie. - Moja zgoda bez zastrzeżeń niezmiernie go uradowała. - Byłem pewien, że po to właśnie przyjechałeś.

- Dlaczego Robinowi tak zależy, żebyśmy poleciełi do Odyna?

Kris zmarszczył wysokie blade czoło.

- Zgłębianie przyczyn ludzkiego zachowania to twoja specjalność, nie moja.

- Podobał mi się twój wiersz. Skrzywił się.

- Powinieneś pojechać na przylądek. Nie uwierzyłbyś, że spacerzy po Księżycu miały swój początek na tych płytach z betonu.

Zdarzały się takie dni, kiedy huśtawka nastrojów Krisa wyrównywała się, i to nie tylko przed dwuminutowymi solówkami na ekranie, kiedy zapowiadał pogodę, ale także na dłużej, jakby odzyskiwał trwałe wewnętrzny spokój. Tego wieczoru, gdy deklamował wiersz o przylądku Canaveral, wydawał się zrównoważony jak nigdy poza samolotem.

- Widziałeś się z Bell? - spytał.

- Rozmawiałem z nią przez telefon.

- Jak myślisz, wyjdzie za mnie?

Wyrzuciłem z siebie zniecierpliwienie, robiąc głośny wydech przez nos.

- Po pierwsze, sam ją o to spytaj - doradziłem.

- A po drugie?

- Oboje ćwiczycie się w panowaniu nad sobą. Licz do dziesięciu, zanim wrzaśniesz.

Pomyślał chwilę i kiwnął głową.

- Spróbuję, a ty powiedz jej o tym.

Skinąłem głową. Wątpiłem, czy któremuś z nich się uda, ale samo podjęcie próby było krokiem naprzód.

Kris w typowy dla siebie sposób zmienił temat rozmowy i spytał lekko:

- Co wiesz o wyspie Trox?

- Hm. - Zastanowiłem się, ale nic mi nie przyszło do głowy. - Bell ją lubi?

- Bell? Ona nie ma z tym nic wspólnego. To ma związek z Robinem i Evelyn.

- Tak? Nic o tym nie wiem.

- Prawie nikt o tym nie wie - odparł. - Ale powiedzmy, że Robin chce, żebyśmy polecieeli na wyspę Trox, a nie przez oko Odyna.

- Niby dlaczego? - spytałem zdumiony.

- Zdaje się, że to ma coś wspólnego z grzybami.

- O nie, Kris - zaprotestowałem. - Nie będę ryzykował życia dla grzybów.

- Nie będziesz wcale ryzykował życia. Dziesiątki samolotów przelatywały przez huragany, zbierając potrzebne informacje, i prawie żaden nie zaginął.

Prawie żaden, pomyślałem, to niezbyt pocieszające.

- O co chodzi z tymi grzybami? - spytałem.

- Niedługo po przyjeździe przypadkiem usłyszałem, jak Robin rozmawiał przez telefon - wyjaśnił Kris. - Wspomniął o mnie, o moim przyjacielu, czyli o tobie, o Odynie i grzybach na wyspie Trox.

- I nie spytałeś go o to?

- Hm... jeszcze nie. Nie chcę go niepokoić. Mówi, że opłaca naszą wycieczkę na Kajmany, opłaca samolot.

- Więc ja go spytam - powiedziałem i później, kiedy sącyliśmy wieczorny koniak, spokojnie powtórzyłem to, co usłyszałem od Bell o grzybach i farmie darni. Zapytałem Darcy'ego, gdzie według niego najlepiej rosną grzyby i trawa.

- Na Florydzie - odparł bez wahania. - Uprawiam trawę na bagnach w okolicy jeziora Okeechobee. Na tych podmokłych gruntach są najlepsze warunki do uprawy darni w całych Stanach.

- Ktoś wspomniał także wyspę Trox. Gdzie to jest? - Zadałem pytanie jak najspokojniej, bez najmniejszego nacisku, a mimo to wyczułem, że mój gospodarz zeszytniał, a potem siłą woli się rozluźnił.

- Trox?

Nie śpieszył się z odpowiedzią. Otworzył lśniąca drewnianą kasetkę i długo zabawił się przycinaniem i zapalaniem cygara. Spór, jaki wiódł sam ze sobą, uzewnętrzniał się regularnie wydmuchiwanymi obłoczkami dymu. Siedziałem niewzruszenie, spoglądając z tarasu na bezmierne, łagodne morze.

- Trox to jedna z wielu małych wysepek na Morzu Karaibskim - wyjaśnił w końcu uprzejmie, kiedy tytoń w końcówce cygara równo się rozżarzył. - Zdaje się, że składa się głównie z guana, czyli ptasich odchodów.

- Naturalny nawóz - dopowiedziałem. Skinął głową.

- Tak słyszałem, ale nigdy tam nie byłem. - Zaciągnął się dymem, wypuścił go i powiedział, że oboje z Evelyn cieszą się, mogąc ugościć Krisa i mnie, że bardzo interesujące wydały mu się wyobrażenia Krisa o przyszłości lotów kosmicznych oraz że nie może się doczekać jego relacji ze spotkania oko w oko z Odysem. Na wyspę Trox machnął ręką, jakby nie było na niej nic ciekawego. - Myśl o Odysemie. Zapomnij o wyspie Trox. Jeszcze koniaku?

Evelyn odciągnęła mnie, bo chciała, żebym rozpoznał gwiazdy, a naszą fascynację zmiennymi wiatrami uznała za nudną.

Po wspólnie spędzonym wieczorze wróciliśmy, Kris i ja, do naszych kolorowych tropikalnych pokoi - z jasnymi tkaninami, wiklinowymi meblami, podłogą z białych kafelków, wiatrakiem pod sufitem, jasną łazienką tuż obok - komfort mieliśmy zapewniony. Zasnąłem równie łatwo jak poprzedniego wieczoru, ale po kilku godzinach ocknąłem się w ciemnościach, dziwiąc się, dlaczego londyńskie światła nie rzucają znajomych cieni na sufit.

Miami... przyszedłem do przytomności... byłem w Sand Dollar Beach, nazwanej tak od płaskich, okrągłych, ozdobnych muszelek, które można było znaleźć na brzegu. Były to jeżowce z rzędu *Clypeasteroida*... sprawdziłem.

Zapaliłem lampkę przy łóżku, poczułem, że dłużej nie wyleżę, więc wstałem, poszedłem do łazienki, a potem w kąpielówkach i z ręcznikiem przewędrowałem przez ciemny dom, taras i w dół do kojąco chłodnego basenu.

Robin Darcy, przyjazny, lecz tajemniczy, gościnniej ponad zwykłą miarę, dał nam zbyt wiele, a powiedział za mało.

Więc cóż to, u licha, za wyprawa, na którą wyruszamy z Krisem? Czyżby bez szansy na powrót?

Pani Mevagissey korzystała z mojej pensji, podobnie jak ja przez dwadzieścia lat żyłem z jej zarobków. Nie miałem prawa ryzykować pieniędzy, które szły na opłacanie pielęgniarek. Tylko dzięki nim babunia miała znośne życie. Moim głównym celem było przelecieć przez huragan i wrócić bezpiecznie do domu. Plany Krisa były na drugim miejscu, a Robina na trzecim.

Posługując się wiedzą i wyobraźnią, przewidywałem, że Odyn dosyć szybko nasili się z kategorii trzeciej do piątej w skali Saffira-Simpsona, co oznaczało taki wzrost prędkości wiatru, że wszystkie instrumenty wystawione do zmierzenia go uległyby zniszczeniu. Kategoria piąta oznaczała, że Odyn wyrządzi katastrofalne szkody, podnosząc falę sztormową wszędzie tam, gdzie zbliży się do brzegu; w ścianie oka mogły się utrzymywać wiatry o niewiarygodnej prędkości 180 mil na godzinę... a małe wysepki, z grzybami lub bez, mogły zginąć pod wezbraną wodą.

Odpnęłam się w chłodnawej wodzie i przepływałam kolejne długości basenu oszczędnymi ruchami, pokonując odległość swobodnie, bez koncentracji. Przez całe życie pływanie było jedynym sportem, na który mogłem sobie bez trudu pozwolić, choć po ukończeniu szesnastu lat opuściłem miejskie baseny i zrezygnowałem z wyścigów na dystansach olimpijskich na rzecz prób wytrzymałościowych i surfing. W tym czasie, kiedy wybraliśmy się z Krisem na Florydę, przestawałem odczuwać potrzebę ścigania się, ale zachowałem wyrobioną przez lata siłę ramion i lekkość ruchów.

Rozmyślając o Odynie i wyspie Trox, wysunąłem się po jakimś czasie z basenu i stałem, wycierając się ręcznikiem, plecami do domu.

- Nie ruszaj się, ręce do góry - powiedział ktoś za mną tak groźnie, że dostałem gęsiej skórki.

Niewiele brakowało, a obróciłbym się bezmyślnie i pewnie zostałbym postrzelony, ale po chwili zastanowienia puściłem ręcznik i wykonałem polecenie.

- A teraz obróć się powoli.

Zrobiłem to i zdałem sobie sprawę, że na brzegu basenu znajduję się w głębokim cieniu dla każdego, kto patrzy na mnie z tarasu.

Stał tam Robin, oświetlony od tyłu zapalonym w domu światłem. Krępy, sympatyczny Robin trzymał rewolwer i pewną ręką celował w punkt, gdzie mógłby mnie śmiertelnie ugodzić.

- To ja. Perry - powiedziałem. - Pływałem.

- Wyjdź z cienia, żebym mógł cię zobaczyć. Tylko powoli, bo będę strzelał.

Gdyby nie to, że nie mogłem wątpić w prawdziwość jego słów, może bym zażartował; jednak nie - zrobiłem kilka kroków, aż światła domu zaświeciły mi w oczy.

- Co ty tu robisz? - spytał Robin tępo, kierując rewolwer na moje stopy.

- Nie mogłem spać. Mogę opuścić ręce? Wstrząsnął się, jakby dopiero się obudził, otworzył usta i kiwnął głową, ale w chwili, gdy życie miało powrócić do normy, dokoła basenu rozblęły oślepiające światła, rozległy się krzyki, pojawiły się granatowe mundury i wycelowane z przerażającym zdecydowaniem czarne pistolety. Pragnienie - gotowość do zabijania - dotarło do mnie jak fale wstrząsu. Hałas mnie ogłuszył. Kazano mi uklęknąć, więc zrobiłem to, a czyjaś bezwzględna ręka przytrzymała mnie za kark.

Robin mówił coś, lecz bez skutku. Umundurowani policjanci nie słuchali, prowadząc dalej ostrą akcję, której celem było może nie tyle przeszyć kulą intruza, ile przynajmniej unieruchomić go i wykrzyzczeć mu do otępiełego ucha zniekształcone słowa - jego „prawa”, jak powiedział potem Robin.

Zdawało mi się, że mijają wieki, kiedy tak klęczałem w poniżeniu na brzegu basenu, czując się głupio w kąpielówkach, przytrzymywany przez nieprzyjazne ręce, z kajdankami na wykręconych na plecy nadgarstkach (na Florydzie zawsze krępuje się ręce na plecach, wyjaśnił potem Robin, podobnie jak w większości stanów). Moje protesty nie zdały się na nic, zagłuszone wyzwiskami, które ustały dopiero wtedy, kiedy gospodarzowi udało się porozumieć z dowodzącym akcją i wyjaśnić ze skruchą, że intruzem okazał się gość mieszkający w jego domu.

Gość pływający w basenie o wpół do czwartej nad ranem?

Robin gorąco przeproszał.

Granatowi, pozbawieni schwytej ofiary, ponuro i niechętnie chowali pistolety i gasili latarki. Zgłosili się przez radio do bazy, podsunęli Robinowi do podpisania jakiejś papiery, mnie zdjęli kajdanki, odnosząc się do nas obu bardzo podejrzliwie, aż wreszcie znikli równie szybko, jak się pojawili.

Wstałem sztywno, wziąłem ręcznik, przeciąłem taras i wszedłem za Robinem do domu.

Nie ucieszył się na mój widok ani nie był gotów przyznać, że nie ostrzegł mnie przed alarmami antywłamaniowymi.

- Nie przypuszczałem, że wyjdiesz popływać w środku nocy - rzekł ze złością. - Dokoła tarasu są zainstalowane czujniki, które alarmują firmę ochroniarską, że pojawił się intruz. Mam bezpośrednie połączenie z policją i przycisk alarmu w sypialni. Chyba powinienes się czegoś napić.

- Nie, przepraszam za kłopot.

Przewiązałem ręcznik na biodrach, a Robin przyglądał mi się w zamyśleniu, z rękoma złożonymi pod brzuchem, cały czas trzymając pistolet.

- Muszę przyznać, że zachowałeś zimną krew, kiedy grożono ci bronią - powiedział z uznaniem.

Wcale nie czułem się, jakbym miał zimną krew. Serce biło mi, jakbym startował z przylądka Canaveral.

- Ile brakowało, żeby zaczęli do mnie strzelać? - spytałem.

- Tyle, ile musi przesunąć się spust - odparł Robin. Odłożył pistolet do kieszeni szlafroka. - Wracaj do łóżka. Mam nadzieję, że zaśniesz.

Nie zdążyłem zrobić kroku, gdy zadzwonił telefon, a on, nie dziwiąc się wcale, że ktoś się z nim łączy o tak wczesnej porze, podjął słuchawkę.

- Tak - powiedział do telefonu. - Falszywy alarm. Mój gość. Chciał w nocy popływać. Tak, wszystko w porządku. Tak, tak, Hereford. Tak, zgadza się, Hereford. Nie, policjanci nie byli zachwyceni, ale zapewniam, że wszystko jest w porządku. - Odłożył słuchawkę i wyjaśnił, że dzwoniła do niego kontrolnie firma ochroniarska. - Zawsze to robią, kiedy policja zgłosi, że alarm był fałszywy.

Odprowadził mnie do drzwi sypialni, po drodze łagodniejąc i odzyskując dobre maniery.

- Powinienem być uprzedzić cię o alarmie - bąknął. - Ale nic nie szkodzi, nic się nie stało.

- Tak. - Uśmiechnąłem się do niego na dobranoc, a on ze śmiechem wyraził nadzieję, że będę równie spokojny, gdy stanę oko w oko z Odysem.

Evelyn została w domu, a Robin, Kris i ja poleciliśmy rano Kajmańskimi Liniami Lotniczymi z Miami na Wielki Kajman. Robin, wciąż w dobrym humorze, opowiedział o naszych nocnych przygodach Krisowi, który przespał kamiennym snem całą awanturę, ponieważ mieszkał w drugim końcu domu.

Po kontroli paszportów zaczęły powoli napływać do mnie strużki porządnych informacji, ale nie zlały się w jeden strumień.

Robin i Kris odjechali samochodem, który czekał na nich przy lotnisku, powiadomiwszy mnie, że mam zapewniony osobny transport. Stałem więc sam na nieoczekiwanie upalnym powietrzu i zastanawiałem się co dalej.

„Dalej” pojawiło się pod postacią szczupłej kobiety w spranych bawełnianych spodniach i białej bluzce bez rękawów. Podeszła do mnie bez wahania i powiedziała: „Doktor Stuart, jak się domyślam”.

Mówiła tak energicznie, jakby wychowywała się w dużym domu na angielskiej wsi. Zapewniła mnie, że często ogląda prognozy pogody BBC i zna mnie z widzenia. Powiedziała, żebym wsiadł do kabiny stojącego nieopodal pomarańczowego pikapu. Sprawiała wrażenie osoby nawykłej do wydawania poleceń.

- Robin Darcy... Kris... - zacząłem.

- Kris Ironside pojechał na lot próbny samolotem, który ma pilotować - nie dała mi dokończyć. - Proszę wsiadać do auta.

Usiadłem w kabinie kierowcy i poczułem się jak w piecu, bo mimo otwartych okien panującego tam żaru nie chłodził najłżejszy powiew. Była druga połowa października na południe od zwrotnika Raka. Zdjąłem nazbyt oficjalny w tej sytuacji krawat i zacząłem marzyć o chłodnym prysznicu.

- Nazywam się Amy Ford - przedstawiła się kobieta, wyjeżdżając z lotniska. - Miło mi pana poznać.

- Czy wolno spytać, dokąd jedziemy?

- Mam coś do załatwienia w George Town. Potem pojedziemy do mnie.

Wjechała do gęsto zabudowanego i na oko bogatego miasteczka, gdzie szpalery drzew ocieniały ulice i wszędzie kręcili się turyści pstrykający aparatami fotograficznymi.

- Stolica wyspy, George Town - powiedziała Amy. - Właściwie jedyne miasto z prawdziwego zdarzenia.

- Ci wszyscy ludzie...

- Schodzą ze statków wycieczkowych - wyjaśniła, a kiedy skręciliśmy, wskazała rozległy widok na morze, gdzie stały na kotwicy trzy wielkie statki pasażerskie, z makiety pirackiego galeonu strzelano imitacjami kul, a kontenerowce przywożące żywność i buldożery manewrowały w porcie.

Amy zaparkowała niedaleko biblioteki, pobiegła oddać książkę, a potem, minawszy budzące respekt siedziby banków, pojechała wzdłuż nabrzeża, gdzie ku mojemu zdumieniu kierowcy z przyjaznym uśmiechem ustępowali jej z drogi.

- Miło tu - rzekłem z przekonaniem.

Amy uznała moje słowa za najzupełniej naturalne.

- Następny jest mój dom - zapowiedziała. - Niedaleko.

Jej dom, który rzeczywiście był niedaleko, musiał zajmować z osiem tysięcy stóp kwadratowych tego rajskiego wybrzeża; widać tu było taką samą swobodną zamożność co u Robina Darcy'ego, tyle że w dwukrotnie większej skali.

Poprowadziła mnie do salonu, niewielkiego w stosunku do rozmiarów domu, ale rozkosznie chłodnego dzięki klimatyzacji i kręcącemu się pod sufitem wiatrakowi. Przez ciężkie suwane szklane drzwi ujrzałem lazuruje morze, wokół siebie widziałem krzesła i chińskie figurki w żywych, jak przystało na tropik, kolorach, a kiedy się rozglądałem, podszedł do mnie mężczyzna w białych szortach, przedstawił się - Michael Ford - i uścisnął mi dłoń.

- Wydaje się pan wyższy w rzeczywistości niż na ekranie. - Nie było w tych słowach intencji obrazy, zauważyłem natomiast, że mówi mniej więcej z tym samym akcentem, który usłyszałem u żony, ale jego umieściłbym odrobinę niżej w hierarchii społecznej, choćby nie wiem jak był nadziany.

Oprócz zasadniczej pracy przy zapowiadaniu pogody (głównie po to, szczerze mówiąc, żeby więcej zarobić i opłacić Jettvan Els i jej siostry), dorabiałem, wygłaszając wykłady i mowy na przyjęciach i, wykorzystując wrodzoną zdolność do naśladownictwa, nauczyłem się rozpoznawać pochodzenie wielu akcentów. Nie z aż taką dokładnością jak profesor Higgins Showa, ale na tyle, żeby w odpowiednim momencie pobudzać ludzi do śmiechu.

Korzeni mowy Michaela Forda upatrywałbym gdzieś w zachodnim Berkshire, skąd i ja się wywodziłem, ale w jego przypadku rdzenny materiał został grubo pokryty pokostem umyślnej obróbki.

Michael Ford, niewiele wyższy od Robina Darcy'ego, opalony na brąz, szeroki w barach, o silnych, lekko krzywych nogach, wyglądał jak przydatny mięsień, którego brakowało zaokrąglonemu Robinowi.

- Coś zimnego do picia? - zaproponowała Amy Ford i naląła soku pomarańczowego na kostki lodu.

Dopiero kiedy się napiłem, poczułem smak Bacardi, którym dobrze doprawiła drinka.

- Czy zechciałaby mi pani wyjaśnić, kim pani jest i co ja tutaj robię? - Usłyszałem intonację Amy we własnym głosie; doznałem lekkiego wstrząsu.

Ona jakby tego nie spostrzegła i udzieliła częściowych wyjaśnień.

- Sprzedałam Robinowi samolot. O ile dobrze zrozumiałam, pański przyjaciel zamierza przelecieć nim przez Odyna, a pan ma być nawigatorem.

Samolot jest na pewno drogi, pomyślałem tępo. Po co Robin kupowałby go dla Krisa - kogoś, kogo przypadkiem poznał na przyjęciu - żeby ten przeleciał przez gwałtowny sztorm?

- Prawdę mówiąc, Robin kupił ode mnie samolot ze względu na Nicky'ego - powiedziała Amy, nie widząc w tym nic dziwnego. - Ale Nicky się oddalił.

- Huragan Nicky? - upewniłem się.

- Oczywiście. Szykował się jednak nowy sztorm, można powiedzieć deptał Nicky'emu po piętach, i Robin powiedział, że poznał Krisa, który jest dobrym pilotem i chce przelecieć przez huragan, więc... na tym stało.

Wyjaśnienie to rodziło więcej pytań, niż dawało odpowiedzi.

- A gdzie jest dzisiaj Odyn? - spytałem znad wzmocnionego rumem soku.

Dwie godziny temu Odyn, jak poinformował mnie usłużny kolega w Krajowym Centrum Obserwacji Huraganów, wzmagął się na południe od Jamajki, której ludność zaczynała w związku z tym myśleć o schronieniu się w górach.

- Jeżeli polecicie w stronę Odyna, pamiętajcie, że na Wielkim Kajmanie nie ma gór - ostrzegł mnie kolega.

- Czy Odyn dotrze do Kajmana?

- Wiesz dobrze, Perry, że sam Odyn nie wie, dokąd leci. Ale najświeższy raport zalicza go do kategorii trzeciej, więc jest to ostry huragan. Perry, uciekaj stamtąd. Nie zważaj na to, co mówiłem wcześniej, i zmykaj.

- A wyspa Trox? - zagadnąłem.

- Jaka? - spytał. Po chwili dodał: - Jeżeli to jedna z tych małych wysepek rozsianych w zachodniej części Morza Karaibskiego, to nie jedź tam, Perry. Jeśli Odyn nadal będzie się rozbudowywał, może zmieść którąś z tych wysp z powierzchni ziemi.

- Uderzeniem wiatru czy sztormową falą?

- Jednym i drugim. - Zawahał się. - Łatwo można się pomylić, więc lepiej nie zgadywać. W tej chwili postawiłbym pieniądze na to, że Odyn skręci na północny zachód i ominie Jamajkę, a ponieważ Wielki Kajman znajdzie się wówczas dokładnie na jego drodze - ciągnął zdecydowanie - trzeba stamtąd wiać, co zrobi każdy, kto ma choć trochę oleju w głowie.

Widocznie nie miałem ani trochę oleju w głowie.

- Gdzie dokładnie jest wyspa Trox? - spytałem.

- Czy to ważne? Sprawdźę. - Zaszleścił papier. - Już mam. Wyspy w zachodniej części Morza Karaibskiego. Roncador Cay. Swan. Thunder Knoll. Jest. Trox. Liczba mieszkańców waha się od zera do dwudziestu. Głównie rybacy. Rozmiary: mila długości, pół

mili szerokości. Najwyższy punkt ponad poziomem morza: dwieście stóp. Wulkaniczna? Nie. Zbudowana z ptasich odchodów, guana, rafy koralowej i skał wapiennych. Współrzędne, 17 minut 50 sekund szerokości północnej, 81 minut 44 sekundy długości zachodniej. - Znów szelest papieru. - Sam widzisz, to tylko sterczący nad wodą, pokryty guanem czubek podwodnej góry.

- Jakież uprawy? Grzyby?

- Skąd ci przyszły do głowy grzyby? Kokosy ewentualnie. Piszą, że rosną tam palmy.

- Do kogo należy wyspa Trox?

- Tego nie wiem. Jest tu tylko napisane: „kwestia własności sporna”.

- I to już wszystko?

- Tak. Jest tam jeszcze przystań dla łodzi i trawiasty pas startowy dla samolotów, ale nie ma zbiorników z paliwem ani warsztatu. Nic. Daj sobie spokój.

Miał dużo pracy i nie mógł już dłużej ze mną rozmawiać. Poradził mi na koniec, żebym wracał do domu, a mówiąc dom, miał na myśli Anglię.

Michael Ford spojrział na duży złoty zegarek obciążający mu lewy nadgarstek i nacisnął parę guzików na wielkim telewizorze, aż dotarł do głośnego kanału, na którym podawano alarmujące wieści o rozwoju Odyna.

Odyn rozrósł się i zorganizował w pełny huragan z własnym centrum, gdzie wiatry krążyły coraz szybciej, pozostawiając spokojny, cichy, okrągły środek niczym wielką oś. Mając już dobrze wykształcone oko, Odyn wirował z prędkością 120 mil na godzinę albo więcej, ale nadal przesuwał się naprzód powoli - 7 mil na godzinę. Niskociśnieniowe centrum górnych wiatrów osłabło, umożliwiając szybsze krążenie gęstej powłoki chmur, to zaś doprowadziło do uformowania się wyraźnego oka.

Mogłem przynajmniej przewidzieć, że Kris będzie zadowolony z oficjalnego potwierdzenia rozwoju Odyna.

Odyn znajdował się 750 mil na południe od Sand Dollar, gdzie Evelyn opalała się beztrosko na brzegu basenu, a nawet ja, na Wielkim Kajmanie, patrząc przez okna na piasek i palmy, oddalone o 200 mil od potężnego sztormu, widziałem spokojną słoneczną panoramę, bez najlżejszego powiewu. Wydawało się niemożliwie, żeby jakikolwiek wiatr mógł zmieść miasto z powierzchni ziemi, jak zrobił to huragan Andrew, albo że wielka fala oceaniczna mogłaby utopić trzysta tysięcy ludzi jak w Bangladeszu. Znałem dość dokładnie trasy przemierzane przez wiatry na całym świecie i przestudiowałem liczne wybryki natury, lecz jak wielu wulkanologów ogrzałem sobie ręce z daleka, a nigdy nie przeszedłem po krawędzi wybuchającego krateru.

Jako wybrany obiekt, przez który mieliśmy przelecieć, Odyn na zdjęciu satelitarnym wyglądał tak, że serce zamierało z przerażenia. Czy ja naprawdę miałem znaleźć się z Krisem w środku czegoś takiego?

Z przyzwyczajenia zabrałem ze sobą mały dobry aparat fotograficzny, ale choćbym miał najlepszy obiektyw na świecie, nie mogłem liczyć, że zobaczę obraz jak z satelity. Kołujący szczyt wielkiego cyklonu, gdzie wiatry były najzimniejsze, wznosił się na wysokość pięćdziesięciu do sześćdziesięciu tysięcy stóp; Kris i ja nie mogliśmy bez tlenu wzbic się powyżej dziesięciu tysięcy stóp. Zamierzaliśmy wlecieć do cichego centrum, odczytać i zanotować panujące tam ciśnienie - inaczej mówiąc, prędkości wiatru w ścianie oka - i wylecieć z drugiej strony, a potem wrócić na lotnisko. Czy nie należało się spodziewać, że przez większość drogi będzie nami trzęsło w deszczowych chmurach? Mieliśmy jednak podróżować szybciej niż wiatr.

Jak, u licha, myślałem usilnie, znajduje się to oko? Jak mam prowadzić nawigację? Nie przeszedłem żadnych prób. Kto mi zrobi krótkie szkolenie w obliczeniowej nawigacji przez huragan? Kto wyciszy moje lęki?

Dlaczego, mimo tylu niepokojów, tak bardzo chciałem odbyć ten lot?

Na kanale z pogodą kulturalne głosy rozprawiały o schodzących w dół hektopaskalach, jakże użytecznych do mierzenia obniżającego się ciśnienia i zbliżającej się katastrofy.

Ekran telewizora w domu Fordów wзираł wprost ze ściany, w którą był wmontowany, zapewne dużym kosztem. Amy, Michael i ja siedzieliśmy w miękkich fotelach i zerkaliśmy na rozległą wirującą białą masę, a moi gospodarze opowiadali, że za pamięci ludzkiej Wielki Kajman tylko kilka razy odczuł skutki bezpośredniego zetknięcia się z wichurą, ale że zawsze jest ten pierwszy raz. Ich wesołe głosy przekonały mnie, że nie wierzą własnym słowom.

Słyszałem nieraz, jak dżokeje opisują atmosferę w szatni przed Wielką Narodową gonitwą, w której towarzyszą ważącemu pół tony koniowi w pokonywaniu największych, najtrudniejszych przeszkód w tym sporcie. Z miłości do niego narażają się na złamanie karku i paraliż. Zastanawiałem się, co ich właściwie do tego pcha; w jasnym bogatym salonie Fordów zrozumiałem.

W ciągu kilku beczynnych godzin przed przybyciem Robina i Krisa dowiedziałem się, między innymi, że Amy miała w Stanach sieć wypożyczalni wideo, którymi zarządzała i

które sprzedawała, natomiast Michael wyposażał sale gimnastyczne i zbierał składki członkowskie.

Oboje byli dumni ze swoich osiągnięć, dumni z siebie nawzajem i na te tematy rozmawiali swobodnie i z upodobaniem.

Dowiedziałem się, że ani Amy, ani Michael nie są licencjonowanymi pilotami, chociaż ona brała lekcje pilotażu, zanim sprzedała samolot Robinowi.

- Dlaczego sprzedałaś go Robinowi? - spytałem ją bez nacisku, jakby nie zależało mi na uzyskaniu odpowiedzi, a raczej na wypełnieniu czasu pogawędką.

Michael zrobił ostrzegawczy gest ręką, jakby chciał uciszyć żonę, ale Amy odpowiedziała po prostu:

- Bo chciał go kupić. Złożył korzystną ofertę, więc się zgodziłam. - Dopła pomarańczowy napój z wysokiej szklanki. - Jeżeli chcesz wiedzieć, dlaczego go kupił, musisz zwrócić się z tym pytaniem do niego.

Właśnie wtedy wrócił Robin z Krisem, w dobrych humorach, więc od razu, bez zastanowienia, lekko i beztrudnie powtórzyłem pytanie - znów, jakbym rozpoczynał niezobowiązującą towarzyską rozmowę.

Robin zamrugał, zastanowił się, uśmiechnął i odpowiedział podobnie wymijająco:

- Amy nie chciałyby, żebym ci wyjawiał, że po sprzedaży samolotu mogła kupić sobie naszyjnik z brylantów.

- I nie tylko - dorzucił z ulgą Michael. Uśmiechnąłem się ciepło. Wszyscy tak świetnie umieli kłamać. Amy podała Krisowi wysoką szklankę brzęczącą lodem i powiedziała obojętnie:

- Ja piję z rumem.

Był w pół drogi do maniackiego szczytu, ale nie w nastroju pieniędzy i żadnej wymówki, która uzasadniałaby przeniesienie się do hotelu.

Poza tym Michael, jowialny kucharz okazujący nam tyle przyjaźni, poruszał się ze zręcznością, która nasunęła mi myśl, że wyćwiczył te mięśnie w walce, a nie na przyrządach gimnastycznych, którymi handlował.

Na ekranie telewizyjnym Odyn przesunął się powoli, groźnie na północny zachód.

Amy, która z miłym uśmiechem i przy mojej pomocy nakrywała stół na ganku osłoniętym przed insektami, niedaleko rusztu, wykrzyknęła nagle:

- Kris jest taki przystojny! I ty też, Perry, a jakże. Czy BBC wybiera największych przystojniaków do zapowiadania pogody?

- Oczywiście - zapewnił Kris wesoło.

Jego twarz mnie się już opatrzyła, wiedziałem jednak, że kiedyś utrzymał się w pracy po jednym ze swoich bezczelnych wystąpień tylko dlatego, że kobiety omdlewały na jego widok. Jak na takiego przystojnego człowieka rzadko lubili go mężczyźni, przyczyna zaś tego leżała gdzieś w jego maniakalno-depresyjnej osobowości, oferował bowiem przyjaźń dziką i roztrzepaną, lecz aseksualną. Polegał na mnie tak jak kierownik ekspedycji, który jest pewien, że w razie katastrofy może całkowicie polegać na bazie i oczekiwać stamtąd pomocy.

Wprowadził błazeńską beztroskę w ten dziwny wieczór na Kajmanie, ale kiedy Robin poprosił go o ponowne zadeklamowanie wiersza o przylądku Canaveral, odmówił; spytany o przyczynę odmowy, wyjaśnił, że wiersz wziął początek w depresji i tam powinien pozostać.

Widziałem, jak Robin przygląda mu się uważnie. Sprowadził sobie kogoś więcej niż dobrego pilota amatora, sprowadził sobie brytyjską osobistość telewizyjną, a ja zastanawiałem się, czy w jego planach, których nam nie alkoholowym, jak zwykle zresztą. Spojrzał surowo na prawie pełną szklankę stojącą koło mnie na małym stoliku, spróbował swojego drinka, odstawił i z entuzjazmem przekazał mi nowiny.

- Fantastyczna maszyna. Dwa silniki. Instruktor przerobił ze mną wszystkie manewry. Zaliczyłem test. Robin zadowolony. Wszyscy zadowoleni. Ludzie uważają, że amatorzy powinni trzymać się z daleka od sztormów, ale zainteresują się naszymi pomiarami, nawet jeżeli nie mamy na pokładzie kompletnie wyposażonego laboratorium.

- Kiedy lecimy? - spytałem.

Wszyscy spojrzeli na najświeższe wieści na kanale z pogodą. Odyn opadł o jeszcze parę przerażających hektopaskali i przesunął się o jedną minutę na północny zachód. Wesoły starszy pan, który był gościem w studio - opłaconym zapewne przez jakieś biuro turystyczne - cieszył się, że Odyn kołuje nad wodą i nie szkodzi urlopowiczom spędzającym wakacje na lądzie. Kris spojrział na mnie cynicznie i wzruszył ramionami - kołowanie nad ciepłym morzem wzmagało siłę huraganu.

- Jutro rano, punktualnie o ósmej - odparł. - Zanim zrobi się za gorąco.

Michael i Amy nalegali, żebyśmy wszyscy trzej, Robin, Kris i ja, przenocowali u nich. Częstowali nas bez końca drinkami, dość mocno, ku zażenowaniu Krisa, podlewanymi alkoholem, a Michael czynił honory domu w błyszczącym winylowym fartuchu, podpiekając steki na ceglanym ruszcie.

Kris i ja dostawaliśmy do wykonania drobne zadania, na przykład składanie serwetek albo napełnianie wiaderka kostkami lodu - wszystko po to, żeby zatrzymać nas u boku Amy. Dano nam do zrozumienia, że mamy się nie oddalać, a ponieważ pamiętałem przygodę z alarmem u Robina, pozostałem tam, gdzie życzyli sobie gospodarze. Poczuję się trochę jak

w luksusowym więzieniu, ale miałem mało wyjaśnić, otoczka sławy była świadomie brana pod uwagę, czy też wynikała przypadkiem.

Na drugi dzień rano, o wpół do siódmej, Odyn został ogłoszony huraganem kategorii czwartej. Przesuwał się na północny zachód z prędkością mniejszą niż siedem mil na godzinę.

Na jego drodze, jeśli nie skręciłby gdzieś w bok, stał dom Michaela i Amy, mógł więc za parę dni zdmuchnąć jego wystawność, przelewając przez jasny mały pokój setki ton ciężkiej od piasku wody.

Kris podszedł, stanął koło mnie i popatrzył na śmiertelny dramat rozgrywający się na ekranie, zadowolony, że oko cyklonu tak wyraźnie się uformowało.

- No to zbieraj się - powiedział. - Pora na nas. - Oczy świeciły mu jak dziecku szykującemu się na bal. - Nie tylko my lecimy - dodał. - Muszę zgłosić plan lotu.

Pojechaliśmy na lotnisko pomarańczowym pikapem, otrzymawszy wskazówki od Amy. Na wydzielonym placu oznaczonym „lotnictwo ogólne”, gdzie stało zadziwiająco wiele lekkich samolotów, Kris zbliżył się do kupionego przez Robina dwusilnikowego śmigłowca i poklepał go z uznaniem.

- Usiądź w tej ślicznotce, a ja pójde zgłosić plan lotu, dobrze? - rzekł. - To nie potrwa długo.

- A mapa? - spytałem.

Zaczął gmerać przy zamku, zwrócony do mnie plecami, po chwili odwrócił się i powiedział:

- Tak naprawdę potrzebujemy wskazówek, jak dolecieć do oka Odyna, a nie zwykłej mapy.

- Czy stąd mogą cię naprowadzić?

- Pewnie.

Pobiegł truchcikiem, zostawiając mnie przy samolocie. Byliśmy przyjaciółmi od lat i pomogłem mu przejść przez tyle dołków, kiedy nachodziły go samobójcze myśli, że rozpoznawałem bezbłędnie, kiedy nie mówi mi prawdy. Tego ranka na kajmańskim lotnisku unikał mojego spojrzenia.

Wrócił z biura, wymachując kartką, którą wetknął mi do ręki, żebym ją przeczytał, kiedy będzie przeprowadzał zewnętrzną kontrolę. Instrukcja kontroli tego samolotu, znanego Krisowi tylko częściowo, leżała w pozszywanych plikach na fotelu kapitana. Kris sprawdził samolot od zewnątrz, trzymając w ręku odpowiedni rozdział instrukcji, a ja przeczytałem informacyjną kartę lotu, którą zgłosił w kontroli lotów.

Większość z tego, co przebiegłem wzrokiem, była niezrozumiała. Kiedy Kris skończył kontrolę zewnętrzną, spytałem go, co oznaczają adresy podane jako skróty: MWCRZTZX oraz MKJKZOZYX.

- Nie przejmuj się tym - uspokoił mnie.

- Nie polecę, dopóki mi nie powiesz. Popatrzył na mnie, zdumiony tym małym buntem.

- No cóż, ten pierwszy ciąg liter to adres wieży na Wielkim Kajmanie, na tym lotnisku, a drugi to przestrzeń powietrzna Kingston na Jamajce, gdzie prawdopodobnie znajdziemy Odyna. Zadowolony?

Wskazał niżej na formularz, gdzie jako „lotnisko docelowe” wpisano ZZZZ, ponieważ nie mieliśmy pewności, dokąd lecimy.

- Odyn - rzekł.

- A gdzie mapa? - spytałem. - Naprawdę nie polecę z tobą bez mapy.

W Anglii nigdzie nie poleciałby bez mapy. A lot bez mapy nad rozległym Morzem Karaibskim był czystym szaleństwem.

- Wiem, dokąd lecę - rzekł z uporem.

- W takim razie nie jest ci potrzeby nawigator.

- Perry!

- Mapa radiowa - zażądałem. - Z zaznaczoną na niej wyspą Trox.

Lekki szok przeszedł w większy. Kris ściągnął brwi.

- Robin się wścieknie - powiedział.

- Robin nas wykorzystuje - odparłem.

- Jak to? - Nie chciał mi wierzyć. - Zachował się wobec nas super. Nie zapominaj, że to on za wszystko płaci. Kupił nawet od Amy ten samolot.

- A jeżeli kupił ten samolot, żeby zrobić z nim, co mu się żywnie podoba? A jeżeli sprowadził dobrego pilota amatora, mało znanego w tej okolicy, i w dodatku wytrawnego meteorologa, który rozumie i potrafi radzić sobie z cyklonami...

- Ależ to tylko entuzjasta - obstawał przy swoim Kris.

- Założę się, że kazał ci włączyć do naszego lotu tę wyspę. Może to ZZZZ na planie lotu. Założę się, że nakłonił cię, żebyś nie mówił mi, dokąd lecimy.

- Perry. - Kris był zdruzgotany, ale niczemu nie zaprzeczył.

- A powiedział ci chociaż dlaczego? - spytałem. - Powiedział ci, co mamy robić na wyspie Trox, jeżeli tam dotrzemy? Powiedział, dlaczego sam nie leci? I najtrudniejsze ze

wszystkich pytanie: cóż jest takiego niezwykłego w celu naszej wyprawy, że aż trzeba ukrywać ten cel pod osłoną cyklonu?

Rozdział 4



Kris i ja wsiedliśmy przez tylne drzwi fantastycznego małego samolotu Robina i usiedliśmy na dyrektorskich fotelach zwróconych do siebie po dwóch stronach stołu. Pierwotnie kabina była zaprojektowana dla dziesięciu szczupłych pasażerów, z awaryjnymi urządzeniami sanitarnymi dla mężczyzn, a Amy, jak się domyślałem, przerobiła wszystko tak, żeby w kokpicie stały dwa fotele dla pilotów, w kabinie pasażerów mogły wygodnie usiąść cztery osoby, a z tyłu znalazła się porządna toaleta z zamykanymi drzwiami.

Kris przyznał się bez cienia wstydu, że Robin rzeczywiście namówił go, żeby nie podawać mi do wiadomości planu lotu.

- Obawiał się, że nie zechcesz lecieć na wyspę Trox - rzekł. - Ale powiedziałem, że cię przekonam. Polecisz, prawda? Sam nie dam rady.

- Po co właściwie mieliśmy tam lecieć?

- Żeby skontrolować, w jakim stanie są grzyby.

- Grzyby?! - Nie wierzyłem mu i poczułem się z tym nieswojo.

- To po drodze do Odyna - powiedział Kris przymilnie. - Mały skok w bok i krótki postój. - Starał się mnie podejść. - No i oczywiście Robin wyposażył ten supersamolot w dodatkowe instrumenty, które zmierzają ciśnienie w hektopaskalach i zarejestrują je na taśmie z sekundy na sekundę. Liczniki prędkości wiatru też są. Będzie ci łatwo nimi operować z twojego fotela. Wystarczy nacisnąć guzik, żeby włączyć radiowysokościomierz, który sam wszystko przelicza i pokazuje ciśnienie powietrza na poziomie morza. Pokażę ci.

- A ten specjalny wysokościomierz i instrumenty do mierzenia prędkości wiatru są pewnie drogie?

- Bardzo. Zostały zainstalowane z myślą o sztormach, zdaje się przed huraganem Nicky. Wtedy Robin kupił samolot od Amy. I, jak sam widzisz, włożył dużo pieniędzy w tę wyprawę - ciągnął z nutką żalu. - Musiałem się zgodzić na to, o co mnie prosił.

- Dlaczego sam nie polecisz?

- Ty jesteś silny, on nie. - Kris pomyślał chwilę i dodał: - Jest umówiony na spotkanie w Miami i nie może go odwołać.

- I chciał, żebyśmy polecieeli na Trox, tylko żebym ja, nie mając mapy, cały czas myślał, że kierujemy się na Odyna? - podsumowałem.

Kris pokiwał głową bez zażenowania.

- Wczoraj po południu wypełniliśmy prawie cały plan lotu.

Przeraziły mnie te konszachty, ale bardzo chciałem przelecieć przez cyklon, a nie wiedziałem, czy trafi mi się jeszcze kiedyś druga taka okazja. Zgodziłem się więc na Trox - z kłamstwami i z grzybami - jako zapłatę za Odyna.

Kris wyczuł to i z wyraźną ulgą zaczął wskazywać wypełnione rubryczki w formularzu.

- To przewidywana długość trasy w milach. To paliwo, zabieramy pełne baki. To prędkość przelotowa. To poziom lotu. A tu, niżej, czas, w jakim możemy utrzymać się w powietrzu przy pełnych bakach. Wszystkie te liczby pozwalają nam na wypad na wyspę. Potem zakreśliliśmy M, co oznacza przelot nad morzem, zakreślone K oznacza, że mamy kamizelki ratunkowe, a F, że są one fluorescencyjne.

- A są? - spytałem. - I czy rzeczywiście mamy kamizelki ratunkowe na pokładzie?

- Perry! Oczywiście, że tak. Jesteś taki podejrzliwy.

- Nie - odparłem z westchnieniem. - Tylko sprawdzam, tak jak ty.

- No tak. - Zawahał się, ale pokazywał dalej. - Bądź spokojny, D oznacza dingi i naprawdę mamy jedną tratwę ratunkową, a na formularzu jest zaznaczone, że jest też płachta, którą można się osłonić, dingi jest pomarańczowa i pomieści dziesięcioro ludzi.

- Gdzie ona jest? - spytałem, a Kris, lekko urażony, wskazał szary pakunek leżący na jednym z foteli dla pasażerów.

- Robin kupił nową - zaznaczył. - Dołożył starań, żeby niczego nie zaniedbać. Wszyscy wiedzieli, że daje nam najlepszy sprzęt.

- Brawo - powiedziałem, ale mój towarzysz nie zwrócił uwagi na drwiący ton.

- A tu na dole - rzekł, nadal wskazując wypełniony druk - jest kolor naszego samolotu, biały, nazwisko i adres Robina jako operatora, w tym wypadku właściciela, i oczywiście moje nazwisko jako pilota, mój podpis i to wszystko.

- Świetnie - odparłem bez przekonania. - Ale i tak potrzebujemy mapy.

- No dobrze, dobrze - poddał się Kris. - Weźmiemy tę cholerną mapę. Pójdę po nią.

Tym razem poszedłem razem z nim przez płytę lotniska do niewielkiego budynku stojącego poza głównymi pomieszczeniami dla pasażerów, tam zaś weszliśmy do ruchliwej

sali pilotów wypełnionej stolikami i krzesłami, z małym barkiem, gdzie sprzedawano kawę i ciastka, i z ośmioma czy dziewięcioma pilotami amatorami, którzy mimo napiętych nerwów udawali lodowaty spokój przed przygodą z huraganem.

Odyn w całej swojej przerażającej okazałości przykuwał uwagę wszystkich - najświeższe wiadomości o jego położeniu i strukturze pokazywano bez przerwy na ekranie podobnym do telewizyjnego. Odynowi, którego wiatry osiągały prędkość 155 mil na godzinę w ścianie oka, niewiele brakowało do kategorii 5 w skali Saffira-Simpsona. Oko znajdowało się obecnie na 17,04 stopnia szerokości północnej i 78,3 stopnia długości zachodniej i przesuwało się na północny zachód z prędkością 6 mil na godzinę. Ciśnienie w oku, według ostatnich pomiarów, wynosiło 930 hektopaskali, a więc spadło przez noc z 967. Średnica oka wynosiła 11 mil.

Przeskakując po dwa stopnie, Kris wbiegł na pięterko, gdzie mieściło się biuro, w którym składano plany lotów, i kiosk, w którym sprzedawano drobne a niezbędne pomoce w nawigacji, między innymi mapy topograficzne i radiowe. Kupił obie i zniósł na dół jak trofea.

Pod nieobecność Krisa jeden z pilotów, odprowadzając go spojrzeniem, spytał z żalem:

- To smutne, co przydarzyło się Bobowi Farradayowi, prawda?

Bąknąłem niepewnie pod nosem i usłyszałem, że Bob Farraday, instruktor Amy Ford, zginął miesiąc temu w wypadku samochodowym.

- Sprzedała wtedy samolot, ten, którym lecicie. Myślałem, że pan wie.

Potrząsnąłem głową, ale teraz wyjaśniło się, dlaczego Amy pozbyła się takiego cuda.

Wśród otaczających nas entuzjastów polowania na huragan panowała zgodna opinia, że oko cyklonu znajduje się na 152 stopniu od lotniska Owena Robertsa na Wielkim Kajmanie, ale obliczenie to należało korygować, biorąc pod uwagę, że igły kompasu nie wskazują rzeczywistej północy, a także to, że wiatry cyklonu zmieniają kurs samolotu z minuty na minutę. Naturalnie samo oko też było w ciągłym ruchu.

Słuchając fachowych uwag, jakimi się przierzucano, pomyślałem, że Kris i ja podejmujemy się niewykonalnego zadania, ale mój przyjaciel promieniejąc radością i energią, zabrał mnie i żwawym krokiem zaprowadził z powrotem do pipera Robina, a tam rozłożył mapy na stole.

- Oko Odyna jest tu - powiedział zdecydowanie, rysując ołówkiem małe kółko na mapie radiowej, po czym szybko i sprawnie obliczył na kalkulatorze kurs i prędkość, z jaką powinien lecieć, żeby dotrzeć do celu. Trzeba przyznać, że wyszedł mu niemal dokładnie taki sam kurs, jakim zamierzał lecieć, gdybym nie uparł się na te mapy. Zapisał wybrane

wcześniej kursy na połówce pocztówki, którą teraz wyjął z satysfakcją z kieszeni koszuli; poniżej trasy do oka były zapisane jeszcze inne liczby, które po chwili zastanowienia wyjaśnił.

- Chyba powinieneś wiedzieć. Ta druga liczba to kurs magnetyczny z Kajmana na wyspę Trox. Następną z wyspy Trox do oka Odyna, a czwarta od oka z powrotem na Kajmana. Jeżeli wyruszymy zaraz, zrobimy rundkę według tych kursów.

Wybałuszyłem na niego oczy, myśląc, że coś mu odbiło. Ale przecież ten luksusowy mały piper, w przeciwieństwie do cherokee Krisa na lotnisku White Waltham, był wyposażony w elektroniczną aparaturę, więc w tym czasie, kiedy mój towarzyszył przeprowadzał staranny przegląd przed startem, przeczytałem cienką broszurę z instruktażem radionawigacji.

Całe to przedsięwzięcie, pomyślałem, zamieni się w wesołą wycieczkę z dala od Odyna, po czym dzięki różnym nadajnikom lądowym, inaczej radiolatarniom kołowym, oznaczonym skrótem NDB, wrócimy szczęśliwie z jego zacisznych obrzeży na Wielkiego Kajmana.

O wiele później dowiedziałem się, że nawigacja na niskich wysokościach nad zachodnią częścią Morza Karaibskiego była kiedyś łatwa dzięki trzem silnym radiolatarniom kierunkowym umieszczonym w Panamie, na wyspie Swan i Bimini (na Bahamach), lecz po wprowadzeniu satelitarnego systemu radionawigacji GPS, używanego przez samoloty komercyjne, zdemontowano nadajniki służące amatorom. Tego dnia, kiedy wyruszyliśmy we dwóch beztrąsko, niczego nieświadomi na wyspę Trox, bardzo byśmy skorzystali z namiarów krzyżowych na radiolatarnie w Panamie, na wyspie Swan i Bimini.

Korzystając z przybornika nawigacyjnego, w którym zawsze był zestaw plastikowych przyrządów pomiarowych, wykreśliłem prostą linię z Wielkiego Kajmana na Trox na obu mapach, a potem, wycisnąwszy tę informację z Krisa, który wciąż oglądał się na świeżo zawiązany sojusz z Robinem i swoje wobec niego zobowiązania, wpisałem prędkość i czas przelotu na Trox.

Mój czas przylotu i kurs nie różniły się wiele od wyliczonych przez Krisa.

- A nie mówiłem - powiedział. Opadłem na oparcie fotela.

- Co mamy zrobić dla Robina na wyspie Trox? Wykręcasz się od dokładnej odpowiedzi. Wydał sporo pieniędzy, jak sam podkreśliłeś, ale wciąż nie wiemy po co.

- Chcę, żebyś zrobił parę zdjęć.

Zarówno on, jak Robin - który wyszedł z domu Fordów w pidżamie i pomachał nam na pożegnanie - sprawdził, czy nie zapomniałem aparatu fotograficznego.

- Zdjęć? Czego?

Kris poprawił się w fotelu.

- Powiedział zdjęć i już. Jakby można się było domyślić, o co mu chodzi, kiedy znajdziemy się na miejscu. Kris, jak się później okazało, znowu zmyślał.

Całe to przedsięwzięcie wydawało mi się coraz mniej sensowne, więc dla dodania mu normalności zaproponowałem, żebyśmy od razu włożyli kamizelki ratunkowe i mieli je na sobie na wszelki wypadek, oczywiście nienadmuchane.

Zwyciężywszy główną batalię, Kris potulnie zapiął na sobie płaską pomarańczową kamizelkę.

Dwa czy trzy spośród parkujących rzędem lekkich samolotów ruszyły z miejsca. Kris szybko skontrolował zegarek, bąknął coś o straconym czasie, przesiadł się na przód na fotel pilota, z wyraźną ulgą, że już nie musi odpowiadać na żadne pytania, zakończył przegląd przed startem, zerując wskazówkę wysokościomierza, żeby podać aktualne ciśnienie atmosferyczne na lotnisku bazie, wynoszące 1002 hektopaskale na poziomie morza. Potem zapalił silniki i poprosił wieżę o pozwolenie na kołowanie.

Nałożyłem słuchawki, tak jak Kris, i z fotela drugiego pilota poprosiłem o pozwolenie na start.

Pozwolenia udzielono lakonicznie, bo wieża w zasadzie wolała, żeby za okiem cyklonu uganiały się wyłącznie autoryzowane samoloty wojskowe. Ale Kris z determinacją i wprawą popędził pasem startowym, wzbił się nad wodę i skręcił prosto na Odyna.

Moje zdziwienie trwało, aż przekroczyliśmy horyzont widoczny z Wielkiego Kajmana, kiedy zaś ziemia zajęła się startującym po nas samolotem, a potem jeszcze następnym, Kris raptownie zmienił kurs i skierował się na grzyby na Trox.

Jego ręce zaczęły skakać po przełącznikach, a gdy wszystko zostało ustawione, stwierdziłem, że nie mamy z nikim kontaktu radiowego, ponieważ pilot skrupulatnie przekręcił gałki strojenia na częstotliwości pozastrefowe. Byliśmy sami na szerokim niebie, niewątpliwie zgodnie z planem Krisa i Robina, a na szerokim niebie porywy wiatru były coraz silniejsze, chociaż skraj cyklonu, według prognozy, znajdował się daleko przed nami.

Przez słuchawki, które obaj mieliśmy na głowie, Kris powiedział:

- Do Trox zostało nam jakieś dwadzieścia minut lotu, ale wiatry są silniejsze, niż przewidywałem. Za dziesięć minut zacznij wytyczać wzrok. Robin uprzedzał, że tę wyspę jest czasem trudno dostrzec.

Powiedziałem, że cisza radiowa to szaleństwo. Kris tylko się uśmiechnął.

Minęło dziesięć minut, dwadzieścia. Grzbiety fal wyrastały coraz gęściej na szarych wodach pod nami, strzępy chmur rozrastały się i w coraz mniej stabilnym powietrzu mocno rzucało samolotem.

Ani śladu wyspy. Choćby najmniejszej, niepozornej skały pokrytej guanem. Przeprowadziłem na nowo obliczenia i wyszło, że trzymamy się kursu.

Poczułem wielką ulgę, kiedy wreszcie po prawej pojawiła się wyspa Trox, w pierwszej chwili widoczna jako dłuższa i prostsza fala z białą grzywą. Potrząsnąłem Krisa za ramię, wskazałem, gdzie ma spojrzeć, i zobaczyłem, jak na jego czole wygładzają się bruzdy niepokoju, do którego się nie przyznawał.

Uśmiechnął się z satysfakcją. Zszedł z dwóch tysięcy stóp na kilkaset, okrążając wąski skrawek ciemnego łądu, żeby nie stracić go z oczu w gęstniejących chmurach. Robin wspomniał mu o lądowisku, ale choć obaj wyteżaliśmy wzrok, niczego nie dostrzegliśmy aż do chwili, kiedy zdenerwowany Kris przeciął wyspę w najwęższym miejscu na wysokości trzystu stóp. I znowu ja pierwszy, wypatrując z najwyższą uwagą, spostrzegłem niewyraźną płaską linię, jakby drogę przez środek skalistego gruntu. Pas startowy miał niepokojący zielonkawoszary odcień, nie był to więc asfalt, a jedynie wyrównana, utwardzona ziemia porośnięta trawą.

Kris, który także dostrzegł prymitywny pas, wykręcił i przeleciał całą jego długość zaledwie sto stóp nad ziemią, lecz żaden z nas nie wypatrywał na całym pasie ani kamienia, ani żadnej innej przeszkody.

- Robin zarzekał się, że można tu wylądować. - W głosie Krisa w słuchawkach było więcej odwagi niż przekonania.

Pomyślałem, że Robin nie wziął pod uwagę silnego bocznego wiatru. Czy on w ogóle lądował kiedyś na tym pasie? Nie był pilotem. Niby ja też nim nie byłem... ale przynajmniej znałem się na wiatrach.

Zaciskając ręce na drążku i napinając mięśnie, Kris zwiększył moc silników prawie do maksimum, raz jeszcze obleciał wyspę dokoła, nabierając wysokości, i zszedł do lądowania od drugiego końca pasa, nadal z bocznym wiatrem, teraz przynajmniej uzupełnionym podmuchem od dzioba.

Walcząc z porywami wiatru, zapomniał opuścić koła - jego cherokee na lotnisku White Waltham miał stałe podwozie - i patrzył przerażony przez całe pięć sekund, gdy wskazywałem bez słowa na trzy światelka, które powinny być zielone, a nie były. Trzy zielone światelka, jak kiedyś przeczytałem w podręczniku, oznaczają, że wszystkie trzy koła zostały spuszczone i zablokowane w pozycji do lądowania.

- Boże! - zawołał Kris. - Zapomniałem o kontroli przed lądowaniem. Zapomniałem. Hamulce zwolnione, podwozie spuszczone, paliwo zmieszane, Śmigła ustawione. - Prędkimi palcami ustawił wszystko jak należy, oprócz szacunku do samego siebie. - Uprząż zapięta, włązy zamknięte i zaryglowane, pilot automatyczny rozłączony, jakbym w ogóle to cholerstwo włączał, trzymaj się, Perry, trzymaj się, lądujemy.

Jak na te warunki wykonał manewr nadzwyczaj poprawnie. W niejednym rejsowym samolocie wytrzymało mnie o wiele gorzej, aż dzwoniłem zębami.

- Przepraszam - powiedział, co nie było do niego podobne. Wyprostował palce, rozluźniając mięśnie. - Zapomniałem o tej cholernej kontroli! Jak mogłem? - wyrzucał sobie dramatycznie i z przejęciem.

- Wylądowaliśmy. Nie narzekaj - powiedziałem. - Co teraz?

- Hm. - Był tak nieobecny duchem, że nie potrafił myśleć o niczym innym, jak o swoich przeoczeniach.

- Kris, wylądowaliśmy szczęśliwie - perswadowałem. - Jesteśmy bezpieczni.

- No tak. Spojrzałeś na wysokościomierz? Zrobiłem to w tej chwili. Ciśnieniomierz wskazywał wciąż 1002 hektopaskale, ale wskaźnik wysokości na poziomie morza ustawił się na minus 360 stóp. Po wyzerowaniu tego wskaźnika hektopaskale opadły do poziomu 990 i Kris zapatrzył się w tę liczbę jak zahipnotyzowany.

- Nie będziemy tu chyba tkwili do końca świata? - powiedziałem. - Otrząśnij się. Nie zapominaj, że jest jeszcze Odyn.

Oprzytomniał od razu i - jakbym zadał głupie pytanie - rzekł:

- Podchodząc do lądowania, przelecieliśmy nad zabudowaniami, nie zauważyłeś? Stamtąd trzeba zacząć.

Wykręcił samolotem, pojechał po trawiastym pasie i zatrzymał się na skraju zabudowań, które wyglądały jak modelowa wioska, składająca się z kilku białych drewnianych domów, kilkunastu długich niskich półkolistych szop z blachy falistej, kościółka z wieżą i dwóch solidnych betonowych bunkrów.

- Robin mówił, że grzyby rosną w tunelach z blachy falistej - oznajmił Kris, zeskakując na ziemię. - Rozejrzyjmy się.

Nieoczekiwanie wszystkie drzwi otwierały się za naciśnięciem klamki. Równie zaskakująca była nieobecność ludzi.

Ostatni powód zdumienia - ani śladu grzybów.

Obfotografowałem brak grzybów.

W szopach były natomiast długie tace, około trzech stóp nad ziemią, wypełnione kompostem z dębowych wiórów. Wiedziałem, że kurki rosną w dąbrowach, które są dla nich naturalnym siedliskiem. Pachniało pleśnią i zarodnikami grzybów. Ani te widoki, ani te zapachy nie były warte trudu naszej podróży.

Kris wyruszył na samotny obchód, a potem spotkaliśmy się w jednym z bunkrów, żeby podzielić się spostrzeżeniami.

Nigdzie nie było grzybów.

- Nawet jednego koślawego muchomora - prychnął Kris. - W ogóle nic tu nie ma.

W budynkach nie było żywej duszy i walały się sprzęty nadające się na śmietnik. W kościele wisiały kiedyś tablice, o czym świadczyły ciemniejsze prostokąty na białych ścianach. Woda nie płynęła rurami, lecz wyciągano ją wiadrami na linach z podziemnych zbiorników na wodę deszczową.

Bunkier, w którym się znaleźliśmy, mroczny z braku okien i zimny dzięki betonowym ścianom o grubości czterech stóp, służył niegdyś, jak się domyślaliśmy, za kwaterę. Stały tam bowiem cztery prycze bez pościeli, a kiedyś było także oświetlenie elektryczne, po którym zostały tylko wystające ze ścian przewody.

- W drugim bunkrze musiał być generator - powiedział Kris, a ja kiwnąłem głową.

- W szopach z grzybami była klimatyzacja i system zraszaczy z pompą - uzupełniłem jego domysł.

- Wszystko stąd zabrano. - Kris westchnął. - Tracimy czas.

- Obejrzyjmy przystań - zaproponowałem. Zeszliśmy z boczem po zeschniętym błocie od osady do betonowo-drewnianego doku, gdzie mógłby zacumować statek handlowy.

I znów to samo - żywej duszy i żadnego sprzętu. Ani lin, ani łańcuchów, ani żurawia. Zupełnie jakby ostatni statek, który stąd odpłynął, zabrał wszystko na pokład.

Jeżeli chodzi o istoty żywe - inne niż ludzie - były tu setki dużych ciemnoniebieskich ptaków o brązowych nogach, tysiące legwanów różnej wielkości i spore, powoli przemieszczające się stado bydła, które pasło się swobodnie, nie zwracając na nas najmniejszej uwagi.

Porobiłem zdjęcia, ale nadal byłem daleki od zrozumienia, czego właściwie Robin od nas oczekiwał, co mieliśmy tu zrobić czy zobaczyć, i cały rok świetlny od odpowiedzi: po co.

Wylądowaliśmy na wyspie czternaście minut po jedenastej i po dwóch godzinach zakończyliśmy dość dokładny, lecz bezowocny obchód.

Wiatr, który od naszego przybycia to przycichał, to się zrywał, raptem nasilił się i zaczął dąć równo od północy. Zaniepokoił się, bo to oznaczało, że zewnętrzne wiatry

Odyna, krążące przeciwnie do ruchu wskazówek zegara, niebawem uderzą nie tylko w nas śmiertelników, ale zagrożą samolotowi, który w powietrzu był w swoim żywiole, a na ziemi mógł ulec wichurze i przewrócić się do góry kołami.

Pobiegliśmy. Wiatr wciąż się wzmaczał. Kris wspiał się na fotel, pobieżnie skontrolował ustawienia przed uruchomieniem silników, a potem szybko przebiegł wzrokiem wskaźniki. Skierował dziób samolotu mniej więcej prosto na pas i otworzył przepustnice do oporu.

Samolot zadygotał w proteście, ale przy małej prędkości naziemnej skoczył w powietrze tak ostro, że Kris z drzeniem nadgarstków walczył o utrzymanie bezpiecznej pozycji przy wznoszeniu się, a ja w tej najgorszej minucie startu pomyślałem o uganiających się za huraganami pilotach, którzy ginęli bez wieści. Zrozumiałem, jak mogło do tego dojść.

Spocony Kris zepchnął nos w dół, samolot zaczął się wznosić jak jastrząb i po chwili przekroczyliśmy granicę trzech tysięcy stóp, wciąż nabierając wysokości, a wyspa Trox rozplynęła się w mglistych ciemnościach.

Dopiero teraz uprzytomniłem sobie, że w tym pośpiechu, aby wzbić się czym prędzej w powietrze, upuściłem gdzieś aparat. Tak się starałem i wszystko na nic! Przeszukałem kieszenie, obmacałem ze wszystkich stron prawy fotel, na którym siedziałem - nic z tego!

Przekląłem pod nosem i powiedziałem o zgubie Krisowi.

- Nie zawrócimy po aparat. - Zirytował się, ale podobnie jak ja uważał, że wrócić nie sposób. Z wielkim trudem panował nad samolotem, lecz zarazem był szczęśliwy, że znów unosi się w powietrzu, i z wyraźną ulgą wyciągnął z kieszeni koszuli szalony plan lotu.

- Steruj zero osiem zero, lekko na północny wschód! - wykrzyknął, nakładając jednocześnie słuchawki i ustawiając mikrofon przy ustach. - Tym kursem powinniśmy dolecieć do oka.

- Oko nie jest tam gdzie wczoraj! - odkrzyknąłem, przekazując mu dżęzek i też nakładając słuchawki.

- Pomyślałem o tym i wziąłem poprawkę - odparł Kris. Niestety nie wziął poprawki na coś, o czym wówczas nie wiedzieliśmy, a mianowicie, że Odyn, jak to bywa z cyklonami, gwałtownie zmienił kurs. Cała wirująca masa powietrza skierowała się prosto na zachód, a zatem w ciągu najbliższej doby musiała nieuchronnie dotrzeć nad wyspę, którą właśnie opuściliśmy. Na Trox zdjęliśmy kamizelki ratunkowe i zostawiliśmy je w kabinie, więc poszedłem tam, kiedy uznałem, że mój towarzysz zapanował nad samolotem. Włożyłem swoją kamizelkę, a drugą podałem Krisowi, namawiając, żeby poszedł w moje ślady.

- Nie spadniemy - opierał się.

- Mimo wszystko.

Niechętnie dał sobie przełożyć przez głowę płaską pomarańczową kamizelkę i zacisnąć paski w talii.

Nasz lot w stronę serca Odyna nie odbywał się w sposób planowy i kontrolowany. Za oknem śmigały chmury, coraz gęstsze i ciemniejsze, aż w końcu zaczęliśmy lecieć w stuprocentowej wilgotności, inaczej mówiąc w deszczu.

Wprawdzie bruzdy na czole i zaciśnięte usta wymownie świadczyły o uzasadnionym niepokoju, lecz Kris zapewnił mnie z dzikim uporem, że się nie poddamy nawet przy najmniej sprzyjającej pogodzie. Samolot, jego zdaniem, był w sam raz wytrzymały, więc jeżeli chciałem się wycofać, to powinienem był to zrobić w Newmarket.

- Czy ty mówisz do siebie? - spytałem. Słabo się słyszeliśmy nawet przez słuchawki. - Z jaką prędkością lecimy?

Nie odpowiedział. Przypuszczałem, że szalejący wiatr znosi nas na bok i przelatujemy z dużą prędkością przez kolisty układ baryczny. Nie mogłem odgadnąć naszego położenia na żadnej mapie, więc stanowczo zażądałem, żebyśmy połączyli się ze światem przez radio, nastrajając je na częstotliwości bona fide. Kris potulnie ustąpił, ale złapałem tylko wycie i świsty, a w kategorii ludzkich kontaktów udało się usłyszeć z oddali słaby głos kobiety mówiącej po hiszpańsku.

Obudzone do życia radio rozjaśniło mi w głowie i pobudziło do myślenia. Mimo potrząsającej nami burzy włączyłem oba specjalne instrumenty pomiarowe Robina, nie zważając na głośne protesty Krisa, że są przeznaczone do użytku tylko w oku cyklonu i w ścianie oka. Przestał krzyczeć i oczy rozszerzyły mu się ze zdumienia, kiedy zobaczył, jak wskaźnik hektopaskali na zmodyfikowanym wysokościomierzu radiowym opada z 990, na ile nastawiliśmy go na Trox, do 980, potem do 970, do 960, wreszcie zatrzymuje się na 950 i chwieje niepewnie, by obniżyć się jeszcze prawie do 940.

Jeżeli podążymy za schodzącymi w dół hektopaskalami, myślałem, to z pewnością przekonamy się, że osiągają najniższe wartości w oku. Ciśnienie jest zawsze najniższe w oku. Kris, przekonany przez obniżające się liczby, zaczął powoli, stopniowo skręcać w lewo, podążając z wiatrem.

Normalne wysokościomierze mierzą ciśnienie na zewnątrz. Piloci ustawiają na instrumencie ciśnienie na poziomie morza, a zmiana między obiema wartościami wyświetla się jako wysokość w stopach. Wysokościomierz radiowy mierzy wysokość, na jakiej się znajdujemy, odbijając falę radiową od powierzchni morza jak radar. Bez niego bylibyśmy w nie lada kłopotcie, nie znając ciśnienia na poziomie morza, nawet gdyby było ono poziome.

Lecąc za nisko, mogliśmy uderzyć w fale. Bardzo by mi się przydał solidny instruktaż, bo bez niego byłem skazany na naciskanie według swego widzimisię guzików z napisem start.

Hektopaskale kurczyły się szybko z 940 na 935... 930... 924. Za nisko, pomyślałem. Ten nowy instrument musiał źle wskazywać. Albo to, albo ja źle odczytywałem, chociaż kiedyś w czasie sztormu zarejestrowano 880. 924 nie było niemożliwe, ale 923? 921? Zgubiliśmy się, pomyślałem. Moja teoria prowadziła nas do zguby... 920... 919... to koniec. Ciśnienie w oku, podane rano na Kajmanie, wynosiło 930... nie mogło tak szybko opaść... A tu 919... 919 i wciąż spada. Zerknąłem na zwykły wysokościomierz i zacząłem liczyć w myślach. Znajdowaliśmy się prawie na poziomie morza... niebezpiecznie...

- Nie schodź niżej! - ostrzegłem Krisa. - Jesteśmy w chmurach tuż nad wodą... Wejść wyżej, wyżej, bo uderzymy...

Kris był dobrym pilotem na wycieczkę na lunch do Newmarket. Żaden z nas nie wyobrażał sobie nawet, jakich umiejętności potrzeba w warunkach huraganowych. Zaciskając uparcie zęby, wykonał powolny zwrot przy 919 hektopaskalach, schodząc niżej... niżej... Potem 919 wyrównało się na dziobie, a ja wstrzymałem oddech...

Dochodząc do 918 hektopaskali, wypadliśmy z chmury na pełne słońce.

Wlecieliśmy do oka cyklonu! Udało nam się! Byliśmy w samym sercu Odyna. Zdobyliśmy nasz Everest, nasz życiowy szczyt, którego mieliśmy już więcej nie zobaczyć. Przelecieć przez oko cyklonu... Chciałem tego, ale dopiero teraz zdałem sobie sprawę jak bardzo.

Otarliśmy się o granicę śmiertelnego ryzyka przy 918 hektopaskalach. Wielkie jak góry fale sunęły tuż pod nami, były gładkie i silne, ale nie wysuwały jęzorów, żeby pochłonać nasz wspaniały świat.

Po bladych policzkach Krisa spływały łzy i po moich chyba także.

W tej zdumiewającej chwili olśnienia i spełnienia poczułem bezbrzeżną wdzięczność dla Robina Darcy'ego. Nieważne, że ani trochę mu nie ufałem, nieważne, że za jego namową Kris mnie okłamał, nieważne, że eskapada na Trox naraziła nas na poważne niebezpieczeństwa, gdyby nie jego pieniądze, samolot, instrumenty, entuzjazm, no i - musiałem to przyznać - tajemnicze i być może przestępcze działania, nie oderwalibyśmy się od ziemi i śledzilibyśmy postępy Odyna z oddali, na ekranie telewizora, i nie moglibyśmy powiedzieć, jak moja babunia: „Byliśmy tam, dokonaliśmy tego wyczynu”.

Biorąc pod uwagę wskazania prędkościomierza, mieliśmy zaledwie trzy minuty lotu przez strefę ciszy przed wpadnięciem w przerażającą wichurę w przeciwległej ścianie oka.

Kris, dokonawszy tych samych obliczeń, od razu wprowadził nas w ciasne koło, żebyśmy przyzwyczaili się do wyciszonej osi Odyna.

Pod nami - nie więcej niż dwieście stóp - rozkołysane morze błękitniało w olśniewającym blasku słońca, który padał także na samolot, rzucając ostre cienie na nasze twarze. Ponad nami rozszerzał się lej z miękkimi spiralami chmur, prowadząc wysoko w górę do prześwitującego błękitu nieba. Kris wciąż krążył, nabierając powoli wysokości, aż znaleźliśmy się ze cztery czy pięć tysięcy stóp nad poziomem morza, oswoiliśmy się z niezwykłą sytuacją i utrwaliliśmy ją sobie w pamięci.

Byliśmy sami w oku. Od niebieskiego morza do błękitnego nieba nikt nie przeżywał razem z nami dziwnego kołującego świata.

- Efekt stadionu - zauważył uradowany Kris. Skinąłem głową. Efekt stadionu oznaczał, że oko, szersze u góry, a węższe nad wodą, przypomina stadion sportowy.

Dokoła spokojnej osi przerażające wichry w ścianie wiru zdawały się nie do pokonania. Co innego dotrzeć do złotego słońca w środku cyklonu, a co innego obliczyć, jak się stąd wydostać i wrócić do domu. Kris wyjął kartkę z kursami, chociaż sam przyznał, że czwarty zestaw jest już nieaktualny.

- Oblicz to - polecił. - Dasz radę.

Nie próbowaliśmy nawet naśladować profesjonalnych poszukiwaczy cyklonów i trzykrotnie przelecieć prosto przez oko na wysokości dziesięciu tysięcy stóp. Byliśmy zdani wyłącznie na własne siły.

Obliczyłem na komputerze, że jeżeli skierujemy się na północ, wylądujemy może nie na Kajmanie, który był mały, ale na Jamajce albo w ostateczności na Kubie. Mieliśmy dość czasu i paliwa, żeby pokonać taką odległość, a gdyby szczęście nam dopisało, to znacznie wcześniej nawiązalibyśmy łączność radiową i poprosilibyśmy o namiary. Krępujące, ale lepsze niż katastrofa.

Kris zgodził się lecieć ogólnie na północ, ale skierował się na wschód, żeby wejść w ścianę oka, ponieważ przewidywał, że wiejące przeciwnie do ruchu wskazówek zegara wiatry, które tam wiały najintensywniej, będą nas i tak spychać na północ, aż pokonamy z sześćdziesiąt mil i dotrzemy do zewnętrznej strefy cyklonu.

Drugi wiatr cyklonu na ziemi nadchodził po przejściu oka, zmiatając złudzenie, że sztorm minął. Drugi wiatr cyklonu uderzał z południowego zachodu jak ruchoma betonowa ściana, niszcząc wszystko, co przetrwało pierwsze uderzenie.

Drugi wiatr cyklonu kategorii 5 skowyczał i wył, i wiał szybciej, niż tenisowy czempion serwuje piłkę. Drugi wiatr sprowadzał potop, strugi deszczu zamieniające błoto w

rwące potoki. Sprowadzał nieszczęścia, bezdomność, zmywał mosty - a my, żeby wrócić na Wielkiego Kajmana, musieliśmy znów przelecieć przez wściekły sztorm.

- Oblicz, na jakiej jesteśmy wysokości - polecił Kris.

Głos miał niepewny, w oczach przerażenie. Przeprowadziłem prostą kalkulację - ciśnienie powietrza opadało zwykle o jeden hektopaskal co trzydzieści stóp - ale wraz z wysokością obniża się także zdolność koncentracji i obaj mieliśmy nieco stępione umysły, gdyż wchłonął nas pełen huk, skaczący świat, który zaczął nami trząść.

Kris trzymał kurs na wschód i przy ośmiu tysiącach stóp na wysokościomierzu nakierował się zdecydowanie na ląd. Mimo że silniki dudniły z całą mocą, byliśmy pewni, że nie doceniliśmy siły znosu i rotacja wiatrów spycha nas nie tam, gdzie chcieliśmy.

Czyste niebo znikło. Szarobrunatne fale przewalały się i pędziły naprzód.

Chmury i deszcz otoczyły nas ze wszystkich stron. Byliśmy ślepi, nie mogliśmy zmierzyć pokonanej odległości. Kris dawał za wygraną. Jego myśli biegły jednym torem.

Odliczałem minuty w głębokim przekonaniu, że ani on, ani ja, ani samolot nie jesteśmy w stanie wybronić się z tej sytuacji. Ciarki, które przechodziły moją babunię, wyskoczyły na mnie gęsią skórką. Kris, wyraźnie tracąc panowanie nad sobą, mówił do słuchawki: „Mayday, mayday, mayday”, nadając w eter błaganie, którego nikt nie słyszał.

Może nawet jeszcze wtedy by nam się udało, gdybyśmy utrzymali północny kurs i gdyby nie było żadnej awarii, ale w jednej sekundzie, z prędkością większości katastrof, prosta mechaniczna zmiana cisnęła nas w objęcia chaosu, na burzliwe terytorium opanowane przez demony.

Prawy silnik zgasł.

Samolot od razu stracił równowagę, przechylił się na bok, zatoczył koło, zadarł nos, a potem go opuścił.

- Ster do oporu w przeciwną, drążek do przodu, ster do oporu w przeciwną! - krzyczał Kris i całym ciężarem cisnął lewą stopą.

Przypomniałem sobie, że „drążek do przodu, ster do oporu w przeciwną” wyprowadza jednosilnikowy samolot z korkociągu, ale nie wiedziałem, czy poprawia, czy też pogarsza asymetryczne nieokielzanie samolotu z dwoma silnikami, z których jeden zgasł. Spróbowałem nawiązać łączność radiową, żeby nadać wołanie Krisa, lecz usłyszałem tylko, bardzo słabo, hiszpański głos.

Czas i przestrzeń przemieszały się i zatarły. Umysł każdego z nas ograniczał się do pojedynczych myśli. Mój umysł uczeplił się jednej krzepiącej refleksji - za mną, w kabinie

pasażerów, była tratwa ratunkowa, mała dingi, której potrzebowaliśmy, bo przecież spadające na wodę samoloty toną.

Objając się w ciasnej, uciekającej spod nóg przestrzeni, dotarłem do dużego pakunku, chwyciłem go i nie wypuszczałem z rąk nawet wtedy, gdy wątpliwy stał się jakikolwiek efekt sterowania, a Kris ciągnąc - słusznie czy niesłusznie - drążek sterowy, zaczął zawodzić raz po raz:

- Mayday, mayday, drążek do przodu, ster do oporu w przeciwną... mayday... - I w desperacji: - Lecę z powrotem na wyspę Trox. Z powrotem na Trox.

Odklepywał bezużyteczną litanię, udało mu się jednak siłą mięśni uzyskać koślawą kontrolę nad dygoczącym, skręcającym, rozkołysanym samolotem, który opadał wbrew jego woli z wysokości około ośmiu tysięcy stóp. Dopiero kiedy wrzasnąłem do niego, żeby szykował się do skoku, oprzytomniał i zrozumiał, że na jednym ciężko pracującym, przegrzanym silniku nie wygramy walki z tą zawieruchą. Nawet widząc galopujące fale, gotów był zaprzeczać, że zderzenie jest nieuchronne... do chwili, gdy woda obryzgała przednią szybę.

Z okrzykiem budzącego się przerażenia sięgnął zeszywniałymi palcami do przełączników, podciągnął przekrzywiony nos - lewy silnik i śmigło pracowały nadal pełną parą - i udało nam się sięść płasko na brzuchu na straszliwej, przyspieszającej fali. Po tym pierwszym zetknięciu z wodą piper skoczył w powietrze, przechylając się ostro na lewo i opadając na nos. Drugie uderzenie było gwałtowniejsze, a wtedy, bo nawet w dramatycznej sytuacji umysł wędruje dziwnymi ścieżkami, pomyślałem o zadanym dawno temu pytaniu egzaminacyjnym, które dotyczyło materiału, z jakiego powinien być wykonany pas przy fotelu, jak się powinien rozciągać i pochłaniać energię kinetyczną, aby przy nagłej kolizji chronić siedzącego. Gdy samolot wbił się w nieomal pionową ścianę następnego potężnego grzywacza, pasy spełniły swoje zadanie, zamortyzowały naszą energię i raptownie nas wyhamowały.

Niemal równocześnie z przymusowym lądowaniem otworzyłem kopniakiem tylne drzwi, wskoczyłem do kipieli, przyciskając do siebie dingi jak bezcenny skarb, i szarpnąłem linkę, dzięki której się nadmuchiwała. Od razu napęczniała i rozkładając się, wyrwała się z moich objęć, pozostawiając mi w rękach tylko cienką linkę, która ją otaczała, żeby ludzie znajdujący się w wodzie mieli za co chwycić. Przytrzymałem się jej przez krótką chwilę, ale wyjący wiatr kpił sobie z moich wyobrażeń o drzemiącej we mnie sile i przygniatała mnie świadomość, że nie utrzymam tratwy, czekając, aż mój towarzysz wypnie się z fotela i opuści tonący okręt.

Kris jednak bardzo szybko wydostał się przez przednie drzwi i szczęśliwie odbił się jedną nogą od zalanego wodą skrzydła, a potem wpadł prosto do prawie nadmuchianej dingi akurat w momencie, kiedy wyrwała mi się z rąk. Wiatr i fale natychmiast porwały nadymającą się tratwę i odrzuciły dość daleko od tonącego samolotu. Przez chwilę widziałem przerażoną twarz Krisa, który oglądał się na mnie. Potem zasłony z chmur i deszczu rozdzieliły nas raptownie, jeszcze tylko przez jakiś czas widziałem napęczniony wodą samolot, który, przekrzywiony na jedno skrzydło, szybko osunął się w otchłań i znikł na zawsze.

Bez większej nadziei pociągnąłem za linki nadmuchujące kamizelkę ratunkową - moją jedyną szansę na ocalenie. Dzięki temu, że szybko się nadmuchała, tak jak powinna, poczułem się odrobinę bezpieczniej, ale nikłe to było pocieszenie.

Spadły mi buty, zsunąłem spodnie i zostałem tylko w krótkich spodenkach, niegdyś białej koszuli i pomarańczowej fluoryzującej kamizelce. Wody Morza Karaibskiego, stosunkowo ciepłe, mogły mną rzucić, ale z pewnością nie groziła mi w nich śmierć przez wyziębienie. Przypomniałem sobie podnoszące na duchu opowieści o zagubionych marynarzach, których wyłowiono z morza po upływie wielu dni. Musiałem tylko odsunąć od siebie tę niepokojącą drobnostkę, że tamci rozbitkowie nie walczyli z huraganowymi falami.

Był jeszcze dzień, napęczniony wodą zegarek stanął kwadrans po drugiej, kiedy spadliśmy do morza. W domu miałem tani wodoodporny zegarek do pływania - idiota ze mnie, że go nie zabrałem. Głupie myśli. Czas nie ma znaczenia na morzu.

Kiedy jednak nie wrócimy na lotnisko na Kajmanie, Robin Darcy z pewnością wyśle ratowników. Pomarańczowa dingi Krisa była widoczna z odległości wielu mil, a moja kamizelka ratunkowa, drobniejszy punkt na bezmiarze wód, miała bardziej jaskrawy odcień. Nie dopuszczałem do siebie myśli, że siekący deszcz i ogromne przerażające fale powstrzymają helikopter przed poszukiwaniem ratunkowej kamizelki.

Odyn przemieszczał się powoli, ale nawet powoli przesuujące się cyklony w końcu mijają. Musiałem więc, aby przeżyć, przetrzymać Odyna, a potem być widocznym i to najlepiej na trasie, którą regularnie przelatują nad Karaibami samoloty.

Myśli napływały powoli, żadna nie była wesoła. Na przykład taka niemiła myśl: Morze Karaibskie jest bardzo duże. A potem inna: nawet jeśli byłem doświadczonym surferem, to po pierwsze, nie miałem deski, a po drugie, na żadnej desce nie dałoby się pojechać na wodnym wale o wysokości trzydziestu stóp.

Z myślami płaczącymi się bezużytecznie, nie mogąc podjąć żadnej konstruktywnej decyzji, wysilałem się, żeby utrzymać się na powierzchni, z głową ponad wodą. Miałem przynajmniej to szczęście, że głównym elementem pływającym kamizelki był kołnierz

podtrzymujący brodę, więc nawet gdy zwijający się grzbiet wysokiej fali zalewał człowieka, kamizelka jak korek pomagała mu powoli przyjąć prostą postawę.

Mogłem połykać słoną wodę i z trudem chwytać powietrze. Mogłem nieustannym młóceniem rąk wydobywać się na chłuszczące morze wiatry i jakiś czas się tam utrzymać, ledwie dysząc, ale kiedy po uprzykrzonym późnym popołudniu zapadły ciemności, wsłuchując się w niekończący się łomot rozpedzonych fal, poczułem, że nie mam co liczyć na wybawienie czy odroczenie wyroku.

Mogłem popaść w delirium i utonąć.

Rozdział 5



Długo po tym, jak urwał się ciąg powiązanych ze sobą myśli, a chwilowe omamy kazały mi wierzyć, że nieopodal pływa wśród fal moja babunia w srebrnej sukni, długo po tym, jak zjawy Robina i Krisa, trzymając się za ręce i kiwając na mnie, żebym się zbliżył i dał się zastrzelić, rozplynęły się w ryczącym, nieludzkim okrucieństwie Odyna, a resztki instynktu tliły się w zastawkach serca i chwyciły się życia w rdzeniu mózgu, monstrualna fala porwała mnie, uniosła w górę i cisnęła moje bezwładne ciało o niewiarygodnie wysoką górę.

Tylko że ta góra nie była wodna... była ze skały.

Nie napełniła mnie radością, bo straciłem przytomność.

Ocalenie życia, jak stopniowo sobie uświadamiałem jakiś czas potem, zawdzięczałem skalnej ścianie tworzącej zakończenie opuszczonego pirsu, gdzie niegdyś cumowały statki przywożące zapasy niezbędne do przetrwania na wyspie Trox.

Rosły tam uparcie w szczelinach i na występach skalnych liche krzewy i rachityczne drzewka. One mnie przytrzymały na nierównym, najeżonym ostrymi krawędziami zboczu, gdzie spocząłem.

Unieruchomiony tam, powoli odzyskiwałem przytomność. Początkowo wydawało mi się naturalne, a po chwili mętnej refleksji nadzwyczaj nienaturalne, że wiem, gdzie jestem.

Uzmysłowieniu sobie położenia nie towarzyszył powrót sił ani pragnienie, aby coś ze sobą zrobić. Obróciłem się nieco, żeby popatrzeć na koniec pirsu, i zobaczyłem, że więcej niż połowa konstrukcji z ciężkiego drewna osadzonego w betonie została zerwana, jakby była z tektury.

Znów utraciłem świadomość i zupełnie wyczerpany, dręczony koszmarami, pograżyłem się ni to w stanie oszołomienia, ni to we śnie.

Kilka stuleci później spostrzegłem, że padało, odkąd otworzyłem napuchnięte od słonej wody oczy. Deszcz zmył sól z moich członków, ale skóra pomarszczyła się od długiego moczenia, no i „woda, woda dokoła, a do picia ni kropli” - jak sędziwy marynarz Coleridge’a odczuwałem dotkliwe pragnienie, aż paliło mnie w gardle od soli.

Deszcz. Chciwie otworzyłem usta. Ugaśnię pragnienie; ugaśnię umysł. Zrozumiałem, że babunia wcale nie pływa po morzu w srebrnej sukni. Rewolwer Robina Darcy’ego wrócił do Sand Dollar Beach, żeby odstraszać intruzów.

Obezwładniająca słabość zmuszała mnie do leżenia. Z drugiej strony znajdowałem się w połowie niewysokiego urwiska i leżałem na korzeniach podmywanych przez deszcz - jakby na dany znak część krzaków wysunęła się z ziemi i posłała mnie na dół. Staczałem się i ślizgałem, kalecząc się o skały, aż dotarłem do twardej powierzchni pirsu.

Na moje szczęście rozbity pirs był zbudowany z myślą o cumujących statkach handlowych i dlatego jego powierzchnia wznosiła się ponad wezbranymi wodami. Brunatne spienione fale przetaczały się groźnie wzdłuż pirsu, ale tylko niektóre zalewały go, jakby szukały przedmiotów, które mogłyby zagarnąć i wessać do morza. Były niemal dwukrotnie mniejsze i słabsze od tych, które wyrzuciły mnie na brzeg. Tym falom, na które teraz patrzyłem, brakowało masy, żeby zerwać ciężką konstrukcję.

Leżałem więc dalej na deszczu, rozmyślając o Krisie i oku Odyna, a cały dzień wydawał mi się nierzeczywisty.

Cały dzień... światło było takie przyćmione... ale przecież teraz nie była noc, a była wtedy, kiedy omal się nie utopiłem.

Wczoraj, pomyślałem z niedowierzaniem. Kris i ja przylecieliśmy tu wczoraj... spędziłem całą noc w czarnej wodzie, a zarys skały, na którą spadłem, dojrzałem dlatego, że nasz zmęczony stary świat obracał się powoli ku szarości poranka.

Ogarnąłem jeszcze raz spojrzeniem zburzony pirs i uzmysłowiłem sobie, że poprzedniego dnia nie był aż tak zniszczony. Właściwie wcale nie był zniszczony. Energii starczyło mi tylko na wyciągnięcie wniosku, że niszczycielskie wichry Odyna przecięły wyspę po naszym odlocie. Wkrótce, powiedziałem sobie, wkrótce podejść do osady na wzgórzu. Wkrótce powrócę do życia. Jeszcze nigdy nie czułem się taki słaby.

Jakby dla zachęty, dla podtrzymania mnie na duchu, raptem deszcz ustał.

Musiałem od czegoś zacząć, więc pogmerałem przy klamerkach służących za zapięcie kamizelki ratunkowej, ale osiągnąłem tylko tyle, że jeszcze gorzej zaplątałem taśmy. Rozplątywanie węzłów trwało bardzo długo. Nie do wiary, jak bardzo bolały mnie ręce.

Nie miałem poczucia upływu godzin. Jasność oznaczała dzień, ciemność - noc. Kiedy znów dzień zaczął przygasać, wreszcie zdecydowałem się coś zrobić, z ogromnym wysiłkiem dźwignąłem się na nogi i powoli pokonałem drogę od morza do wioski, która przycupnęła na skalistym wzniesieniu, na wysokości około dwustu stóp. Wprawdzie wysokie fale sztormowe nie porywają osad na takiej wysokości, ale dla huraganowych wiatrów to żadna przeszkoda. Mała wioska, którą widziałem poprzedniego dnia, domy, kościół i szopy do uprawy grzybów uległy zniszczeniu w huraganie.

Stałem jak wryty, z kamizelką zwieszającą się z ręki.

Betonowe prostokąty, gdzie przedtem stały domy, pozostały na swoich miejscach. Dachy znikły, deski ze ścian leżały na bezładnych stertach razem z wyrwanymi, połamanymi ramami okien bez szyb. Cysterny na wodę były pełne gruzu i błota, natomiast wiadra znikły.

Kościół nie miał dachu. Wieża i dwie ściany runęły. Znikły wszystkie szopy do uprawy grzybów, chociaż na ziemi widać jeszcze było, gdzie stały.

W całości zachowały się jedynie dwa bunkry o grubych betonowych ścianach, ale nawet na nich zostały ślady po uderzeniach latających szczątków.

Idąc bez butów - skarpetki zresztą też przepadły w morzu - przekonałem się, że poruszanie się po wiosce jest dla mnie jeszcze trudniejsze niż podchodzenie pod skaliste wzgórze. Stąpając ostrożnie, dotarłem jednak do najbliższego bunkra, tego, w którym stały prycze, i wszedłem do środka.

Wejście - bez drzwi - prowadziło przez gruby na cztery stopy mur do ponurej ciemnicy, gdzie musiałem chwilę zaczekać, żeby cokolwiek zobaczyć. Domyślałem się, oglądając panujący we wnętrzu chaos, że wejście znalazło się niemal dokładnie na wprost kierunku, z którego wiał wiatr. W bunkrze było sporo drewna, ale już nie ułożonego zgrabnie w prycze. Wichura porywała ciężkie deski i ciskała nimi o ściany jak taranami. Widząc, z jaką siłą zostały wybite dziury w otynkowanych ścianach, zadrzałem z ulgą: obaj z Krisem mogliśmy uznać, że znajdziemy tu bezpieczne schronienie, gdyby sztorm złapał nas na lądzie.

Schronienie. Przyszło mi na myśl, że dach pozostał nienaruszony, choć z innych budynków, może z wyjątkiem drugiego bunkra, wiatr go zdmuchnął. Leżące bezładnie deski i betonowa podłoga były w większości suche. Nadal nie padało, choć pod zachmurzonym niebem robiło się coraz ciemniej.

Byłem przekonany, że nikt się nie zjawi przed zmrokiem. W oślepiającym deszczu nikt nie dojrzałby małej wysepki. Pogódź się z tym, perswadowałem sobie zmęczony; ktoś się pojawi za dwanaście godzin, nie wcześniej.

Uwierz w to.

Ktoś na pewno się pojawi.

W gasnącym świetle dnia ułożyłem kilka desek, jedna obok drugiej, na wilgotnym, niegościnnym betonie i położyłem się, mając za poduszkę nadmuchany kołnierz kamizelki, ale nie mogłem zasnąć.

Pragnienie przestało mi dokuczać, ale głód wiercił żołądek jak śrubokręt. Nic nie jadłem od czasu obiadu z grilla u Fordów. Nie chciałem jeść śniadania przed polowaniem na Odyna. Samo wspomnienie duńskich ciastek nietkniętych na lotnisku Owena Robertsa tak mnie drażniło, że niemal czułem ich zapach. Rano znajdę coś do jedzenia i picia, powiedziałem sobie, bez butów nie będę niczego szukał po ciemku.

Na pociechę powietrze na wyspie było przyjemnie ciepłe. A gdyby znów zaczęło padać, nie groziło mi, że zmoknę. Cyklony, zwłaszcza takie jak Odyn, które formują się i nasilają na Karaibach, a nie nad Atlantykiem, znane są z nieprzewidywalnej natury, rzadko jednak robią zwrot o sto osiemdziesiąt stopni i wracają po tej samej trasie. Prawdopodobieństwo, że tak się stanie, było tak nikłe, że nie warto było zaprzętać sobie nim głowy.

Zamknąłem oczy, ale po sennym dniu mój mózg przyśpieszył obroty i nieubłaganie przywoływał, odtwarzał i przeżywał na nowo wszystko, co wpędziło mnie w obecne tarapaty. Roztaczały się przede mną prerie pytań bez odpowiedzi, nie dopuszczające prostych domysłów, na przykład po co hodować grzyby na małej wysepce na Morzu Karaibskim? Po co wysłać dwóch meteorologów w pogoń za cyklonem dla sprawdzenia, w jakim te grzyby są stanie? Z pewnością Robin Darcy nie kupiłby samolotu tylko w tym celu. I kupił go dla Nicky'ego, nie dla Odyna.

Przypuszczałem, że jest gdzieś ktoś, kto mógłby wyjaśnić te zagadki. Chociażby Robin musiał wszystko wiedzieć, prawda?

Długo wyobrażałem sobie Krisa w pomarańczowej dingi, widziałem, jak przerażony ogląda się na mnie, gdy porwały go ryczące żywioły. Jeżeli zdołał utrzymać się na tratwie ratunkowej, to pognał po wzburzonych wodach szybciej od ścigających się łodzi motorowych. Zgodnie z instrukcją, której nie trzymałem się ściśle, kiedy otwierałem dingi (powinienem był najpierw wejść do środka), do wyposażenia należał ster i dwa wiosła, ale żeby okazały się przydatne, potrzebne było spokojne morze, oddalone o wiele godzin drogi.

Nie dopuszczałem do siebie myśli, że wichura wessała dingi i uniosła ją w powietrze. Odsuwałem przypuszczenie, że nadmuchana płócienna łupina zaczęła koziółkować po morzu, aż Kris wpadł do wody i nie spotkał na swojej drodze wysepki, która by go przygarnęła do skalistego łona.

Przewracałem się z boku na bok na twardym łożu z desek i na długo przed świtem wyszedłem i usiadłem na zewnątrz, opierając się plecami o ścianę bunkra, patrząc na nieoczekiwanie rozgwieżdżone niebo.

Huragan odleciał. Noc była spokojna i bezchmurna. Tylko ciężkie fale, biegnące spiesznie wzdłuż pomostu i chłuszczące go z sykiem, świadczyły o straszliwych siłach, które poprzedniego dnia rzuciły się wściekle na małą osadę. Głód zmusił mnie do ruszenia się z miejsca, kiedy tylko zrobiło się dostatecznie jasno i widziałem, gdzie stawiam stopy. Wiedziałem, że szafki, jeżeli któraś się ostała, są ogołocone z zawartości. Kiedy mieszkańcy Trox opuszczali wyspę, zabrali ze sobą wszystko, co potrzebne do życia. Na próżno szukałem jakiegoś pojemnika na płyny i w końcu zmuszony byłem spijać resztki wody deszczowej z każdego zagłębienia, na jakie natrafiłem.

Do jedzenia nie było nic prócz ubłoconej trawy.

Lawirując między przeszkodami, doszedłem do drugiego bunkra, który był pusty, kiedy pierwszy raz tu wylądowaliśmy, i stanąłem w środku, ze zdumieniem oglądając zmiany, jakich dokonała wichura.

Przede wszystkim odpadło wykończenie dwóch ścian, odsłaniając cegły z żuzłobetonu. Dwa bunkry, z zewnątrz wyglądające tak samo, wewnątrz były skonstruowane inaczej. Bunkier, w którym nocowałem, był zbudowany z litego betonu i otynkowany. Grube ściany drugiego zostały wyłożone prefabrykowanymi płytami przypominającymi tynk i to właśnie część z nich, na siłę zerwana, spadła i rozbiła się na kawałki.

Ponieważ byłem przygotowany na oglądanie zniszczeń, dopiero po chwili spostrzegłem, że ogołocone ściany różnią się między sobą. Spod jednej płyty, nie oderwanej do końca i dyndającej na wkrętach, wyłaniały się jakieś drzwiczki.

Podszedłem bliżej, żeby się lepiej przyjrzeć, i zobaczyłem, że drzwiczki ukryte za obluzowaną płytą są zaopatrzone w zamek szyfrowy i stanowią zamknięcie sejfu.

Sądząc po starannym ogołoceniu opuszczonej przez mieszkańców wyspy, sejf też powinien być pusty jak dziurawa kieszeń. Spróbowałem go otworzyć, uznając, że napierający wiatr zniszczył lub osłabił wszystko, czego dosięgną!, ale ta jedna przeszkoda uparcie się nie poddawała, więc zostawiłem sejf w spokoju i ruszyłem na dalsze poszukiwania żywności.

Duże niebieskie ptaki z brązowymi nogami wyglądały kusząco, ale bez butów nie miałem szans żadnego złapać, nie mówiąc o tym, że bez ognia musiałbym go jeść na surowo, a głód jeszcze nie dał mi się aż tak we znaki. Łatwiejszym łupem byłby jeden z dużych legwanów, które poruszały się znacznie wolniej od mniejszych okazów tego gatunku, ale i tu powstrzymał mnie brak możliwości ugotowania stawy.

Gdzie się podziały krowy?

Krowy dają mleko, a mleko to pożywienie. Dwa dni temu po wyspie krążyło swobodnie spore stado bydła, z pewnością kilka krów miało cielaki, a te potrzebowały mleka.

Jeżeli cyklon nie zdmuchnął całego stada do morza, jeżeli udałoby mi się zmusić krowę, żeby stała spokojnie, jeżeli znalazłbym jakiś pojemnik, choćby pustą puszkę, z której mógłbym pić, wówczas rozwiązałbym najgorszy i najbardziej palący problem.

Kłopot z tym, że nigdzie nie widziałem stada.

Wyspa Trox miała milę długości i na jednym końcu osadę, od której do drugiego końca ciągnął się trawiasty pas startowy. Przeszedłem ostrożnie na początek pasa, skąd pędziliśmy, żeby wystartować samolotem, ale chociaż cały czas rozglądałem się za bydłem, nie dojrzałem nawet krowiego ogona.

Ucieszyłem się za to, bo znalazłem aparat fotograficzny upuszczony w czasie ucieczki. Po chwili mój entuzjazm nieco ostygł, bo choć aparat był wodoszczelny i chronił go dodatkowo skórzany futerał, to jednak leżał w błocie, jakbym go tam wdepnął po upuszczeniu. Podniosłem go ze smutkiem i zawiesiłem na taśmach kamizelki ratunkowej.

Zaspokojenie głodu wciąż było sprawą najważniejszą. Ruszyłem brzegiem pasa startowego, patrząc na skalisty skrawek lądu opadający od płaszczyzny porośniętej trawą do wzburzonego morza. Było tam dość miejsca dla stada bydła, ale krowy ani śladu. Przygnębiony porzuciłem tę stronę pasa startowego i przeszedłem na drugą, myśląc po drodze, że lądowisko, choć przygotowane z ziemi i trawy, było niezłym osiągnięciem inżynieryjnym, ponieważ jego rozmiary pozwalały na przyjęcie normalnego samolotu transportowego i pasażerskiego, a nie tylko małej dwusilnikowej zabawki.

Po drugiej stronie pasa startowego rozpościerała się o wiele szersza połać skalistego brzegu, w wielu miejscach ogołoconego do litej skały przez ostre wiatry. Palmy leżały na ziemi z bezradnie uniesionymi korzeniami i czubami jak mokre głowy sznurkowych szczotek. Palmy... kokosy... zamieniłem w myślach mleko krowie na kokosowe i poobcierałem sobie nogi schodząc z wysokości pasa startowego nad morze.

Zanim znalazłem orzech kokosowy, zobaczyłem krowy.

Tworzyły długą, ciemną plamę, leżąc jedna przy drugiej na ziemi. Wznosząca się nieopodal niewysoka skała osłoniła je częściowo przez wicherą, a własny ciężar i masa dokonały reszty.

Odwracały łby w moją stronę, kiedy nadchodziłem, kilka dźwignęło się na nogi, a wówczas zauważyłem wśród krów byki i zadałem sobie pytanie, czy aby na pewno wyprawa po mleko jest dobrym pomysłem.

Trzy byki były garbatymi zebu. Dwa były białawe, rasy charolaise. Doliczyłem się też czterech czerwono-białych herefordów. Maść czterech dalszych koniarze w swoim kręgu nazywają kasztanową, ale rasy nie potrafiłem określić, ponieważ miałem zbyt skromną wiedzę z tej dziedziny. Było jeszcze kilka czarno-białych byków rasy fryzyjskiej.

Uznawszy, że nie mam złych zamiarów, buhaje przestały się mną interesować, niegroźnie pokręciły łbami i spokojnie się ułożyły.

Ponieważ krowy fryzyjskie, jak mgliście pamiętałem, dają dużo mleka, zacząłem ostrożnie, krzywiąc się, gdy coś mnie zakłuło, obchodzić ogromne stado, aż dotarłem do potężnej, łagodnie wyglądającej krowy fryzyjskiej, koło której leżał syty i zadowolony cielak. Nigdy przedtem nie dołem krowy, a ledwie tej dotknąłem, dźwignęła się na nogi i popatrzyła na mnie odstręczająco smutnymi oczyma. Gdyby głód nie doskwierał mi aż do bólu, nie posunąłbym się dalej, zwłaszcza że wyciągnęła szyję i wydała przeciągły głuchy ryk, który poderwał gromadkę jej towarzyszek na równe nogi.

Jedynym pojemnikiem, jakim dysponowałem, był futerał aparatu - brudny, ubłocony, przemoczony woreczek z miękkiej czarnej skóry.

Przyklęknałem obok fryzyjskiej krowy, która obejrzała się na mnie, nie tając zdziwienia, że wykorzystuję jej mleko jako płyn do zmywania. Moje starania nie dawały zadowalającego efektu, ale po kilkukrotnym popłukaniu i wylaniu mleka, za czwartym razem zawartość woreczka wydała mi się znacznie bielsza i czystsza i niemal zdatna do picia.

Pociągnąłem łyżeczek z szóstej porcji. Mleko było ciepłe, tłuste, spienione i miało lekki posmak błota. Kosztowałem kolejnych porcji z rosnącą pewnością siebie, a całkiem czystą dziesiątą wypilem duszkiem, lecz wtedy krowa straciła cierpliwość, chłasnęła mnie ogonem w twarz i z godnością, kołysząc się na boki, odeszła.

Uspokoiwszy chwilowo żołądek, wróciłem do zrujnowanej wioski i przy jednej z zamulonych cystern z wodą deszczową wypłukałem woreczek. Wilgotną połą koszuli otarłem błoto z obeschniętego aparatu, zacząłem naciskać spust migawki i przy trzeciej próbie zadziałała - kliknęło i nawet automatycznie przesunął się film.

Zużyłem jeszcze dwie klatki, dokumentując zniszczenie wioski. Potem zrobiłbym pewnie zdjęcie krowom, które powoli podążyły za mną wzdłuż wyspy i teraz otaczały mnie, przyglądając się z ciekawością, gdyby nie to, że z trzydziestu sześciu klatek na kliszy zostało mi zaledwie kilka. A krowy jak to krowy - wszędzie wyglądają podobnie. Ich obecność była zresztą równie zastanawiająca jak nieobecność grzybów.

Nad Karaibami znów zaświeciło słońce.

Do południa - czas szacowałem według położenia słońca na niebie - nikt nie przybył na wyspę.

Minęły dwa dni, odkąd obaj z Krisem opuściliśmy Wielkiego Kajmana. Z pewnością zauważono, że nie wróciliśmy.

Na pewno ktoś się zjawi, myślałem.

Wszedłem do drugiego bunkra tylko po to, żeby się czymś zająć, tak samo od niechcienia pociągnąłem obłuzowany panel przybrudzonej okładziny i zdjąłem go z betonowej ściany. Po usunięciu tej osłony ukazał się moim oczom sejf - sześciokątna metalowa skrzynka o rozmiarach dwie stopy na dwie, w całości wpuszczona w ścianę około trzech stóp nad podłogą. Uniosłem brwi. Gdyby nie huragan, sejf pozostałby ukryty; nic w tym w końcu niezwykłego, pomyślałem, że ktoś skrzętnie kamufluje skrytkę.

Próbowałem otworzyć drzwiczki, ale odporna na huragan stalowa skrzynka nie zamierzała się poddać delikatnym dłoniom meteorologa.

Dostępu broniła krótka płaska dźwignia, lecz aby ją poruszyć, trzeba było się posłużyć elektroniczną klawiaturą - z literami i cyframi - tak jak przy telefonie z przyciskami. Skomplikowane zamknięcie jak na hodowlę grzybów; jeszcze jedna tajemnica, kolejne pytanie, na które nie było odpowiedzi.

Westchnąłem i wyszedłem na dwór, gdzie krowy zdomowały się wśród pozostałych po wiosce fundamentów, odnosząc się z odrazą do częściowo odkrytych zamulonych cystern. Gdyby pochyliły łby i wyciągnęły szyje, mogłyby się napić brudnej wody, ale nie odczuwały tak silnie pragnienia, żeby się do tego zmusić.

Ciekawe, pomyślałem, że było nie podzielono się na grupy według ras, ale stało przemieszane bez ładu i składu - krowy charolaise z fryzyjskimi, byk zebu z oddających cześć krowom Indii w jednym stadku z mięsnymi herefordami, nieco z boku zaś trzymało się kilka ciemnych potężnych sztuk, których wcześniej nie spostrzegłem - czarne krowy rasy aberdeen angus.

Mózg płała dziwne figle, a poza tym, nauczony przez babunię, zawsze pozostawiałem sobie trochę wolnych komórek na przypadkowe skojarzenia pozornie niepowiązanych ze sobą myśli.

Jako dziesięcioletek miałem przyjaciela o imieniu Angus, z wielkimi odstającymi uszami. Ludzie w żartach wołali na niego Aberdeen, ponieważ z tymi uszami przypominał im krowę, a Angus tak przez to płakał i popadł w takie przygnębienie, że rodzice zgodzili się na kosmetyczny zabieg chirurgiczny, a wtedy inni chłopcy zaczęli mu dokuczać, że „przytulił uszyska”, więc znów miał powód do płaczu. Moja babunia powiedziała Angusowi „Aberdeen” prosto w jego drobną smutną twarz, że powinien się cieszyć, że ma uszy, bo to znacznie lepiej, niż być głuchym.

To idiotyczne, że wspominałem Angusa o odstających uszach właśnie na wyspie Trox. Babunia pouczyłaby mnie, że choć nie mam nic do jedzenia prócz mleka, nie mam butów ani żadnych wygod, to jednak ocalałem życie.

Wróciłem do bunkra i bez wahania wystukałem ANGUS - co przekładało się na cyfry 26487 - na klawiaturze szyfrowego zamka do sejfu.

Nic z tego. Nic nie szcęknięło, nie brzęknęło zachęcająco. Wielkouchy Angus nie przesunął dźwigni otwierającej skrzynkę, no bo właściwie czemu miałby tego dokonać.

Nie miałem nic do roboty dla zabicia czasu, więc przeszedłem przez to, co niegdyś mogło być placem pośrodku wioski, i ponownie zajrzałem do zniszczonego w środku bunkra, w którym spędziłem pół nocy.

Po co komu bunkier o ścianach grubych na cztery stopy i dach odpierający atak cyklonu? Do uprawy grzybów taki bunkier nie jest potrzebny, ale może mieć zastosowanie w stacji meteorologicznej albo sejsmicznej. Instrumenty pomiarowe i dokumentacja zostały zabrane wraz z mieszkańcami, ale budynek, w którym stał na przykład sejsmograf, musiał być tak skonstruowany, żeby zachować dużą bezwładność umożliwiającą rejestrowanie odległych wstrząsów skorupy ziemskiej. Domyślałem się, że betonowa podłoga jest tej samej grubości co ściany.

Wyszedłem stamtąd, popatrzyłem na czysty błękit i wsłuchałem się w cichnący grzmot maszerujących fal. Ale tak naprawdę czekałem na niosący ratunek samolot, którego nie było ani widać, ani słycać.

Evelyn leżała być może na słońcu na Sand Dollar Beach, zastanawiając się, gdzie podzieli się Kris i Perry. Ale Odyn nadal gdzieś szalał, więc może schroniła się w górach - choć na Florydzie nie było ich wiele.

Myśli snuły się leniwie. W domu Robina zjawili się policjanci, mierząc z rewolwerów do gościa pływającego w basenie o trzeciej nad ranem, a ochroniarz upewniał się przez telefon, czy wszystko jest w porządku. „Tak - powiedział swobodnie Robin - tak, Hereford”.

Hereford? Stałem na wyspie Trox i patrzyłem na czerwono-białą krowę rasy hereford. Czyżby Hereford Robina było dla firmy ochroniarskiej w Sand Dollar Beach rodzajem hasła? Hereford... Hereford... Wszystko w porządku.

Czemu nie?

Ludzie używają tego samego hasła w wielu różnych konfiguracjach, ponieważ łatwiej jest zapamiętać jedno hasło niż wiele.

Ponieważ czasu miałem, ile dusza zapragnie, mogłem się trochę pobawić. Podeszedłem do klawiatury przy sejfie, wystukałem 4373 (HERE) i 3673 (FORD) i usłyszałem głośnie szczęknięcie.

Zdumiony chwyciłem płaski uchwyt dźwigni i odciągnąłem do góry. Bez najmniejszego oporu dźwignia uniosła się i drzwiczki bezszelestnie ustąpiły.

Skarbu w środku nie było, a przynajmniej na pierwszy rzut oka niczego takiego nie dostrzegłem. Na kawałku płótna, którym wyłożono szary metalowy sejf, leżały tylko dwa przedmioty. Jednym z nich była żółta skrzyneczka, instrument elektroniczny z tarczą i wskaźnikiem, oraz krótki pręt na końcu zwiniętego kabla przypominającego kabel telefoniczny. Ponieważ nieraz w przeszłości miałem do czynienia z takim sprzętem, był to zapewne licznik Geigera, kiedy zaś wyjąłem go z sejfu i włączyłem, nagroził mnie powolną serią nieregularnego pikania. Rzeczywiście, licznik Geigera, który nie miał wielu geigerów do policzenia. Technicznie rzecz biorąc, licznik ten liczył szybkie cząsteczki emitowane przez rozpadające się materiały radioaktywne. Krótki pręt zawierał rurkę wynalezioną dawno temu przez fizyków Geigera i Mullera. Szybka cząsteczka, wnikając w rurkę, jonizuje znajdujący się w środku gaz, dzięki czemu może on przewodzić elektryczność, a przepływający impuls daje sygnał dźwiękowy.

Obok licznika Geigera leżała w sejfie brązowa teczka - zwyczajna biurowa teczka, powszechnie używana do przechowywania dokumentów.

Ta, którą wyjąłem z sejfu, zawierała około dwudziestu kartek, różnego formatu, z nagłówkami i bez, zapisanych różnymi alfabetami, z których większości nie umiałem rozpoznać. Prawie na każdej stronie, niezależnie od języka, pojawiały się kombinacje liter z cyframi, które rozpoznałem z przerażeniem. Niektóre strony zszyto po dwie, dwie zawierały spis adresów, ale żadnego nie mogłem odczytać, ponieważ zapisano je pismem przypominającym arabskie.

Odłożyłem teczkę do sejfu, zostawiając otwarte drzwiczki, i zamyślony wyszedłem na słońce. Krowy obróciły łby w moją stronę. Kilka zamuczało, inne posadziły na ziemi parujące placki. W dziedzinie rozrywki nie miałem wielkiego wyboru.

Policzyłem, że na kliszy w aparacie zostały mi cztery klatki. Zmieniłem zdanie i zrobiłem jedno zdjęcie krowom, starając się, żeby zmieściło się na nim jak najwięcej różnych ras. Potem wróciłem do sejfu, żeby wybrać z teczki trzy dokumenty najbardziej godne uwiecznienia.

Nawet kiedy przyjrzałem im się w jasnym świetle dnia, nie miałem ułatwionego wyboru, ale w końcu zdecydowałem się na cztery - dwa sfotografowałem pojedynczo, a dwa razem. Film się skończył po ostatnim wykonanym zdjęciu, ale niestety automatyczne przewijanie zacięło się w miejscu, w którym oczyściłem aparat z błota. Nie wiedziałem, czy jakiegokolwiek zdjęcia się zachowały, ale uznałem, że w sumie nie ma to aż takiego znaczenia. Dla zabezpieczenia aparatu przed deszczem zawiesiłem go na belce w pobliżu sejfu, wysoko, poza zasięgiem krowich pysków.

Odkładając papiery do teczki, a tę do sejfu, myślałem o tym, czy zostawić go zamknięty, tak jak był przedtem; zamknąłem go głównie po to, żeby krowy nie dostały się do papierów, zwłaszcza że kilka z nich z ciekawości przyszło za mną i wtykało łby do środka, tłocząc się i przepychając w drzwiach. Przepłoszyłem je, ale równocześnie ich towarzystwo sprawiało mi dziwną przyjemność, bez nich czułbym się znacznie bardziej samotny.

Dzień ciągnął się bez końca, nikt się nie zjawił.

Dwanaście godzin ciemności. Tyle czasu do świtu.

Spałem źle, przerywanym snem, a kiedy w końcu obudziłem się na dobre w szarym świetle świtu, jedyną pociechę dało mi znalezienie w tym miejscu, gdzie poprzedniego dnia dojrzałem w zachodzącym słońcu błysk, pustej puszkii po zupie, tkwiącej w rumowisku po jednym z domów, zdeformowanej i pełnej gruzu, lecz o wiele bardziej nadającej się na pojemnik na mleko niż futerał od aparatu.

Krowy dały mi przedtem kolację, teraz wczesne śniadanie i oddaliły się całym stadem, jednomyślnie, w stronę pasa startowego, gdzie opuściły łby nad trawą i zaczęły ją przyszyzygać i użyźniać.

Kiedy weszło słońce, minęły trzy dni od czasu, kiedy razem z Krisem wylecieliśmy z Wielkiego Kajmana.

Oko cyklonu Odyn, wędrujące od trzech dni na północny zachód z prędkością siedmiu mil na godzinę, mogło w tej chwili wywoływać wichurę i podnosić wysoką falę na brzegach

Kajmana. W takiej sytuacji nie należało oczekiwać, że ktoś wyruszy na poszukiwanie dwóch ryzykantów, którzy z pewnością rozbili samolot na morzu.

Przygotowałem sobie z kawałków drewna prymitywne niskie siedzenie w takim miejscu, gdzie powinienem mieć w południe cień, i usiadłem, żeby dać odpocząć stopom. Pokaleczone, podrapane i pogryzione wokół kostek piekły mnie straszliwie i wcale nie chciały się goić. Uległem porannej depresji, użalając się nad sobą, a ponieważ nie wierzyłem, że będę musiał tu dłużej posiedzieć, nie miałem ochoty organizować sobie znośniejszego życia na wyspie.

Pomyślałem o babuni, która byłaby zaniepokojona, gdyby ktoś ją powiadomił o moim zniknięciu, ale z pewnością wydałaby energiczne polecenia w rodzaju: „Perry, zbuduj sobie dom, przefiltruj wodę do picia, wyciąć jakieś sandały, poszukaj orzechów kokosowych, zaznaczaj upływające dni, idź popływać, nie siedź taki osowiały”.

Babunia nigdy nie narzekała, nawet wtedy, kiedy nogi odmówiły jej posłuszeństwa, a od tamtego czasu ani razu. Nauczyła mnie, że trzeba znosić jak najmężniej wszystko to, czego nie da się naprawić; jedną z tych rzeczy było moje sieroctwo.

Nie pochwaliby mojej słabości i rezygnacji na Trox. Jej duch siedział ze mną w południe w cieniu, pełen współczucia, a zarazem surowy i nieubłagany. A więc nikt inny tylko moja babka zmobilizowała mnie, żebym tego popołudnia przeszedł, nie zważając na brak butów, na drugi koniec pasa startowego, gdzie znalazłem zejście na białą piaszczystą plażę, popływałem, mimo osłabienia mierząc się z nadal silną falą, ale za to po kąpieli poczułem się czysty i odświeżony.

Na tamtym końcu wyspy rozciągał się las połamanych drzew, wyrwanych z korzeniami palm, ogołconych bananowców o szerokich liściach. Zacząłem buszować i znalazłem dwa świeże kokosy, trzymające się jeszcze łodygi, a także dojrzały owoc mango - prawdziwa uczta. Ale błękitne niebo wciąż było puste i nikt się zjawił.

Na drugi dzień rano nawet szare wzburzone morze znów było karaibskim lazurem.

Dla wypełnienia wlokącego się czasu wyjąłem z sejfu teczkę z papierami i siedząc na słońcu, wpatrywałem się w każdą kartkę z osobna, próbując rozszyfrować cokolwiek z tego, co napisano w nieznanym mi językach. Rozpoznałem na jednej kartce litery omega i pi, które wskazywały na język grecki.

Wszystkie dokumenty były usiane liczbami, ale te napisano zwyczajnie, po angielsku.

Pozwoliłem myślom płynąć swobodnie i doszedłem do wniosku, że przynajmniej część kartek zawiera katalog, spis występujących na całym świecie gatunków, z podaniem liczebności, możliwe że chodziło o grzyby, które kiedyś rosły w szopach na wyspie.

No dobrze, pomyślałem, ale po co w takim razie licznik Geigera?

Odłożyłem teczkę na miejsce i przez godzinę wsłuchiwałem się w nieregularne, lecz dość częste pikanie, przechadzając się po martwej osadzie i wywołując żywe dowody promieniowania.

Spodziewałem się, że licznik będzie coś wskazywał, ponieważ wszędzie otacza nas promieniowanie tła - połączenie promieniowania substancji radioaktywnych naturalnie występujących w skorupie ziemskiej oraz „promieni kosmicznych”, cząstek wysokoenergetycznych przybywających spoza ziemi, a wyemitowanych przez słońce około dziesięciu minut wcześniej z odległości dziewięćdziesięciu trzech milionów mil.

W pobliżu fundamentów po zmiecionych przez huragan domach wskazania licznika były dość wysokie. Wysokie promieniowanie nie było niczym niezwykłym. Mieszkańcy Aberdeen, Granitowego Miasta Szkocji, mają wyższe promieniowanie tła, ponieważ granit zawiera wiele radioaktywnych atomów. Rozejrzałem się, próbując przypomnieć sobie, co powiedział mi kolega w Miami: „Składające się z ptasich odchodów, guana, koralu i wapienia”. Czy ptasie odchody są radioaktywne? Nie.

Przyłożenie pręta do szczelin w betonowej podłodze wywoływało nieprzerwany strumień piknięć - tak szybkich, że zlewały się w jednorodny dźwięk.

Przyszedł mi na myśl radon. Gaz radon bywa problemem na całym świecie, ponieważ powstaje w wyniku rozpadu uranu naturalnie występującego w skałach, przenika niewidoczny i niewyczuwalny do domów ludzi i wywołuje u nich raka. Ale przecież radon musi się zebrać w jakiejś zamkniętej przestrzeni, a po przejściu cyklonu nigdzie takiej nie było. Poza tym wapień zawiera za mało uranu.

Więc co wywoływało szum licznika? Może właśnie z tego powodu opuścili wyspę mieszkańcy - nie z powodu Nicky'ego, a tym bardziej Odyna, lecz z obawy przed promieniowaniem radioaktywnym?

Licznik Geigera ożywał w pobliżu domów, a naprawdę odpalał nad zachowanymi w zarysie fundamentami szop do uprawy grzybów. Z czołem pofałdowanym ze zmartwienia zrobiłem długi spacer po pasie startowym i w dół nad morze, żeby sprawdzić, czy krowy też są silnie napromieniowane. Na szczęście nie' były. A więc nie opilem się radioaktywnym mlekiem.

Po jakimś czasie licznik Geigera przestał być atrakcyjny jako źródło rozrywki, więc odłożyłem go do sejfu. Obok w teczce spoczywały znajome kartki, wypominając mi brak znajomości języków.

Zamknąłem i zaryglowałem sejf, a potem, wdychając słodkie powietrze, dodałem drewnienko do wydłużającej się linii. Jedno drewnienko reprezentowało jeden dzień i w tej chwili leżały już cztery. Minęły cztery długie dni i jeszcze dłuższe noce.

Rozpacz byłaby zbyt mocnym słowem.

Lepiej oddawało mój stan słowo zniechęcenie.

Przyszli po mnie. Z karabinami.

Rozdział 6



Piątego dnia pobytu na wyspie, późnym popołudniem, kiedy pływałem w morzu przy małej piaszczystej plaży na końcu pasa startowego, usłyszałem buczenie silników i zobaczyłem nadlatujący samolot, który opadł zgrabnie nad odległą wioską, potoczył się prawie przez pół pasa, stanął, zawrócił i pokołował z powrotem tam, gdzie przed Odynem były domostwa.

Codziennie kładłem żółtopomarańczową kamizelkę ratunkową na środku pasa startowego i obciążałem ją kamieniami w nadziei, że będzie widoczna z każdego nisko lecącego samolotu. Krowy parę razy mi ją zabrudziły, ale płukałem ją starannie w zamulonej cysternie i znów kładłem na widoku. Nie posiadałem się z radości, sądząc, że kamizelka spełniła zadanie znaku SOS, i wspiałem się szybko krętą skalistą ścieżką, nie zważając na obolałe stopy i zamierzając pobiec w stronę moich wybawicieli, żeby mnie zobaczyli, zanim uznają, że wyspa jest opuszczona, i odlecą.

Tak się śpieszyłem, żeby mnie zobaczyli, że nie wziąłem pod uwagę możliwości przybycia wrogo nastawionych ludzi. Przylecieli samolotem, który z powodzeniem mógł wziąć na pokład kilkanaście osób - tego rodzaju samolotów używano do komunikacji między małymi wyspami. Właśnie taki nadaje się do przeszukania małych wysepek, na których mogą się znaleźć rozbitkowie po przejściu cyklonu. Samolot jak roboczy koń, nic szczególnego.

Byłem zaskoczony, ale nie zaniepokojony tym, że nikt nie opuścił jego wnętrza, kiedy szedłem, podbiegałem i kuśtykałem po pasie startowym. Słońce prażyło, a ja myślałem tylko

o tym, że tam, na pokładzie, jest klimatyzacja i wspaniałe zimne drinki. Kiedy zostało mi do przebycia ze trzydzieści kroków, otworzyły się tylne drzwi i po spuszczonej krótkich schodkach zeszło na ziemię pięciu przybyszów.

Wszyscy byli identycznie ubrani - w połyskujące metalicznie kombinezony z wielkimi kapturami, które opadały na ramiona, i z ciemnymi prostokątnymi osłonami na twarzach, przypominające stroje astronautów i niezbyt odpowiednie na upalne popołudnie na Karaibach. Widziałem już takie ubiory - kombinezony chroniące przed promieniowaniem. Zobaczyłem też, co wysiadający z samolotu niosą przed sobą - czarne karabiny, którymi mierzyli w moją pierś jak pluton egzekucyjny.

Stałem jak wryty. Nie było w tym nic zabawnego, że znów celowano do mnie z broni, tyle że tym razem nikt nie odczytywał mi moich „praw”. Nikt nie powiedział, że mogę zachować milczenie, a cokolwiek powiem, może zostać wykorzystane przeciwko mnie w sądzie. Nikt nie wspomniał o jakimkolwiek sądzie. Cisza w zasadzie bardzo mi odpowiadała.

Jeden z kombinezonów oderwał dłoń od karabinu po to, żeby kiwnąć na mnie, ja zaś, widząc, że nic nie zyskam, jeżeli będę próbował uciekać, podszedłem powoli, aż dano mi znak, żebym się zatrzymał.

Musiałem wyglądać nieco prymitywnie. Miałem na sobie tylko to, co zostawił mi Odyn: slipy i podartą koszulę. Ciemny zarost ocieniał mi twarz, stopy miałem posiniaczone i spuchnięte. Angielscy widzowie, przyzwyczajeni do mojego zadbanego ekranowego wizerunku, poczuli się urażeni, gdyby ujrzeli mnie w takim stanie.

Pięć kombinezonów pogadało przez chwilę ze sobą, ale stałem za daleko, żeby zrozumieć, co mówią. Miałem cichą nadzieję, że przedmiotem troski posiadaczy kombinezonów jest nie tyle uniknięcie promieniowania, ile niedopuszczenie do tego, żebym ich rozpoznał, gdybym jeszcze kiedykolwiek ich spotkał. Wynikał stąd przyjemny wniosek, że postanowili nie zabijać mnie bez powodu i nie wrzucać mojego ciała do morza, skąd mogło wypłynąć w niepożądanym miejscu. Domyślałem się także, że nie spodziewali się mojej obecności na wyspie.

Przez cztery długie dni i noce miałem dużo czasu na myślenie i wiele rzeczy zobaczyłem wyraźniej. Gdyby dali mi możliwość odegrania roli, mogli potem zaświadczyć, że nic nie wiedziałem, kiedy mnie znaleźli.

Trzy kombinezony odłączyły się i podążyły w stronę osady, pozostawiając dwa z wycelowaną we mnie nieprzyjazną czarną bronią. Te dwa kombinezony, przestępujące z nogi na nogę, wydawały się raczej zdenerwowane niż dyszące żądzą mordy. Niestety bardziej się

bałem nerwowych strzelców niż tych, którzy znają się na rzeczy. Stałem bardzo spokojnie i nie odzywałem się, zadowolony, że nie muszę się pocić w ciężkim stroju ochronnym.

Tamci trzej wrócili z obchodu, niosąc licznik Geigera i teczkę z dokumentami, czego wcale nie kryli. Jeżeli znaleźli mój aparat w nowej kryjówce poza zasięgiem krów, na wierzchołku wysokiej sterty drewna, to ani słowem o tym nie wspomnieli.

Pięciu przybyszów odbyło naradę przy samolocie, a potem trójka w innym składzie weszła po schodkach na górę i zamknęła drzwi.

Otucha całkiem mnie opuściła, kiedy tamci na górze puścili w ruch oba silniki, ponieważ jednak dwójka pozostałych nadal obojętnie mnie pilnowała, czekałem cierpliwie, chociaż wszystko we mnie krzychało. Jedzenie, sen, buty - tego potrzebowałem. Na tej rajskiej wyspie dokuczał mi głód, pragnienie, upał, insekty i brak cywilizacji, byłem więc niebezpiecznie bliski żebrania.

Zwróć myśli w inną stronę, powiedziałem do siebie.

Łagodny wiatr wiał wzdłuż pasa ku wiosce, ale samolot, choć jechał w kierunku odpowiednim dla startu, posuwał się zbyt wolno, żeby oderwać się od ziemi. W końcu stanął, jedna osoba wysiadła i podeszła do skraju pasa, rozglądając się po opadającym ku morzu skalistym terenie. Potem wróciła, wsiadła do samolotu i ta sama poszukiwawcza procedura z podejżdżaniem i zatrzymywaniem się powtórzyła się jeszcze kilkakrotnie.

Szukają krów, pojąłem nagle. Mogłem zaoszczędzić im czasu i zachodu, ale tego nie zrobiłem. Patrzyłem, jak zatrzymują się i szukają, potem od nowa to samo i jeszcze raz to samo, aż w końcu dotarli na sam koniec wyspy, gdzie w dole, na łączce soczystej trawy, leżały krowy i spokojnie przeżuwały.

Po dłuższych oględzinach stada samolot zawrócił i zatrzymał się tam, gdzie stał na początku.

Przybysze odbyli kolejną naradę, po której dwaj strażnicy, którzy najdłużej mnie pilnowali, podeszli nerwowo. Jeden celował we mnie z karabinu, drugi zawiązał mi oczy, a potem skrępował ręce za plecami.

Pomyślałem o różnych formach protestu, zarówno słownego, jak fizycznego, ale nie widziałem sensu, żeby się na niego porywać, nie pożałowałem ani słowem, kiedy popychany, nic nie widząc i potykając się, wszedłem po stopniach do samolotu, gdzie posadzono mnie na jakimś fotelu z tyłu. Silniki ryknęły, jakby nie mogły doczekać się odlotu, i maszyna lekko wzbijała się pod niebo.

Nie widziałem wyspy Trox, kiedy ją opuszczałem, i nie mogłem pożegnać spojrzeniem znajomych ruin, ale jeżeli moi porywacze myśleli, że żadnego z nich nie rozpoznałem, to się mylili.

Kiedy jakieś trzydzieści pięć do czterdziestu minut później wylądowaliśmy, moje nie najlepsze samopoczucie dodatkowo pogorszył skurcz, drobna dolegliwość w porównaniu z losem, jaki by mnie czekał, gdyby zrzucono mnie z pokładu do morza. Po lądowaniu samolot długo kołował, a potem stał z pracującymi na zwolnionych obrotach silnikami, aż opuszczono tylne drzwi i kilku pasażerów wysiadło. Drzwi zamknięto i samolot znów długo kołował i ponownie zatrzymał się bez wygaszania silników. Znów usłyszałem otwierające się tylne drzwi. Spociałem się i z bijącym sercem pomyślałem, że jeżeli zbliża się śmierć, to osiągnie mnie właśnie tutaj, na końcu długiej jazdy donikąd.

Popędzany szturchańcami, wygramoliłem się z samolotu i potykając się, zszedłem po schodkach na kamienistą ziemię. Nie dostałem od razu kulki w łeb, tylko przeprowadzono mnie z zawiązanymi oczami przez skrzypiącą furtkę w grzechoczącym ogrodzeniu. Szorstkie ręce pchnęły mnie tak mocno, że omal się nie przewróciłem, a kiedy starałem się stanąć prosto, usłyszałem, jak zatraskuje się za mną skrzypiąca furtka, i z ogromną ulgą zrozumiałem, że wypchnięto mnie na wolność i powracam do normalnego życia.

Przełknąłem ślinę, poczułem dreszcze i zrobiło mi się niedobrze. Samolot odjechał w nieznaną. Poczyłem banalne spostrzeżenie, że człowiek czuje się zdumiewająco głupio, kiedy stoi półnagi, z zawiązanymi oczami i rękami, nie mając przy tym pojęcia, gdzie jest.

Przez chwilę usiłowałem bezskutecznie oswobodzić dłonie, gdy wtem ktoś tuż koło mnie spytał ze zdumieniem:

- Człowieku, co ty tu robisz?

- Jeżeli mnie rozwiążesz, to ci powiem - odparłem zachrypniętym od nieużywania głosem, lecz zarazem pełen wdzięczności.

Wysoki Murzyn, śmiejąc się z mojej opresji, podał mi biały trójkątny bandaż, którym owinięto mi głowę.

- Zabandażowali cię, ale nie tam, gdzie trzeba - powiedział wesoło. - Kto cię tak związał jak kurczaka przed pieczeniem? Twoja stara? - Szarpiąc silnymi palcami, rozwiązał bandaż na moich nadgarstkach. - Gdzie twoje buty? - spytał. - Masz poranione stopy. - Cała sytuacja wydawała mu się zabawna.

Uśmiechnąłem się z przymusem i spytałem, gdzie jestem. Był wieczór, zapadał zmierzch. W oddali paliły się światła.

- Na Crewe Road, gdzieżby indziej. A gdzie byłeś przedtem?
- Na wyspie Trox - powiedziałem obojętnie. Murzyn od razu spoważniał.
- Podobno cyklon zmiotł wszystko z wyspy.

Stałem na trawiastym poboczu przy ogrodzeniu z metalowej siatki, otaczającym średniej wielkości komercyjne lotnisko. Kiedy spytałem mojego wesołego wybawiciela, czy jestem na Jamajce, czy na Wielkim Kajmanie, odparł ze śmiechem, że jesteśmy nie gdzie indziej jak przy lotnisku Owena Robertsa na Kajmanie. Cyklon Odyn, chwała Bogu, przeszedł bardziej na południe. Murzyn zaś, owszem, pochodził z Jamajki, ale Crewe Road, jak daleko sięgał pamięcią, biegła przez George Town na Wielkim Kajmanie.

Naturalnie paliła go ciekawość, dlaczego znalazł mnie w takim stanie, a po moim wyjaśnieniu, że zostałem napadnięty, ograbiony ze wszystkiego łącznie z ubraniem i przede wszystkim potrzebując jakiegoś środka transportu, zaproponował mi wesoło podwiezienie pożyczonym od szwagra jeepem, którym jechał Crewe Road, gdy zobaczył mnie stojącego bezradnie... gdzie chciałem jechać?

Do domu Michaela Forda, odparłem, jeżeli wie, gdzie to jest. Wzruszył ramionami i zawiózł mnie tam, nie okazując już takiej serdeczności jak na początku, wręcz niechętnie i z pogardą, a kiedy przed bramą do posiadłości Fordów zacząłem gorąco dziękować mu za pomoc, skinął tylko głową. Wcisnął mi bandażę do ręki ze słowami „to nie są dobrzy ludzie”, po czym odjechał, jakby żałował, że w ogóle się przy mnie zatrzymał.

Michael i Amy Ford powitali mnie, nie posiadając się ze zdumienia.

- Myśleliśmy, że nie żyjesz!
- Kris mówił... Kris mówił.

Michael i Amy serdecznymi gestami zaprosili mnie do środka i wprowadzili do salonu, który pamiętałem z pierwszej wizyty.

- Kris żyje? - spytałem. - Naprawdę?

- Oczywiście, że żyje - odparł Michael wylewnie. Obejrzał mnie od stóp do głów w świetle lamp w salonie. - Mój drogi, jak ty wyglądasz...

Z grymasem niepokoju na twarzy spytałem, czy moje ubranie i paszport nadal są w ich domu, na szczęście Amy odparła, że nie odesłała ich jeszcze do Anglii.

- A moja babunia... - zacząłem. - Czy mogę zadzwonić? Zapłacę za telefon.

- Mój drogi, czuj się jak u siebie. - Przysunął mi telefon. - Ale o tej porze będzie spała.

W Londynie jest teraz północ.

Wybrałem numer.

- Będzie chciała wiedzieć, że żyję.

Jak mogłem się spodziewać, odebrała pielęgniarka. Nie spodziewałem się natomiast, że usłyszę głos Jett van Els, która wykrzyknęła:

- Powiedziano nam, że zginąłeś...!

Babunia, wyrwana ze snu, oznajmiła twardo, że cały czas wiedziała, że żyję, a potem rozszlochała się i zepsuła cały efekt.

- Powiedziałam... - Głos uwiązał jej w gardle. - Powiedziałam im, że przepłyniesz morze nawet w czasie sztormu. Tak powiedziałam, chociaż wiem, że to nieprawda.

- O kim mówisz? - spytałem.

- O twoich kolegach z BBC. Chcieli pożegnać cię z honorami w czasie prognozy, a ja kazałam im z tym poczekać.

Uśmiechnąłem się, życzyłem babuni spokojnej nocy i obiecałem zadzwonić na drugi dzień. Odkładając słuchawkę, spytałem gospodarzy, czy wiedzą, gdzie jest Kris.

- Na Kajmanie nie ma służb ratunkowych - powiedziała Amy. - Robin zadzwonił, powiedział, że czuje się odpowiedzialny za to, że pozwolił wam na tak ryzykowny lot, a kiedy nie wróciliście, ściągnął z Florydy helikopter i wysłał na poszukiwania po przejściu najgorszego sztormu. Helikopter odnalazł Krisa na tratwie ratunkowej, co było zdumiewające.

- Ale... - wtrącił Michael, kiedy urwała. - Kris powiedział, że samolot utonął w straszliwie wysokich falach, które zabrały ciebie, i że miałeś tylko kamizelkę ratunkową, a nawet dobry pływak jak ty nie poradziłby sobie z falami przekraczającymi trzydzieści stóp wysokości.

- Miałem szczęście - powiedziałem. - Kiedy go znalezione?

- Nie chcesz się ubrać? - przerwała mi ze współczuciem Amy. - Masz poharatane stopy...!

Pilnowałem się, żeby stąpać po kafelkach i nie pobrudzić dywanów.

- Nogi mam całe. Kiedy helikopter znalazł Krisa? Michael, ściągnając brwi, odparł niepewnie:

- Wczoraj nie... chyba przedwczoraj. - Spojrzał na Amy, oczekując potwierdzenia. Kiwnęła głową bez przekonania.

- No i... gdzie jest teraz? - spytałem bez nacisku. Amy odpowiedziała po chwili namysłu.

- Wrócił do Anglii. Powiedział, że oczekują go w pracy. A teraz naprawdę idź się przebrać. Twoje rzeczy są nadal w pokoju, w którym mieszkałeś.

Uległem prośbie kobiety dbałej o porządek i z głębokim poczuciem luksusu wziętem prysznic, pozbyłem się zapowiadającego brodę zarostu, włożyłem pachnącą mydłem koszulę, bawełniane spodnie i klapki. Amy na mój widok uniosła ręce do góry i obsypała mnie komplementami, a Michael powiedział, że rozpałił ogień na grillu i piecze ziemniaki do steku.

Dopiero kiedy zjadłem, spytali mnie, gdzie się podziewałem i w jaki sposób przeżyłem, okazując zdumienie i zaciekawienie w nasileniu stosownym do toku opowieści.

W ostatniej chwili panowania nad samolotem przed spadnięciem do morza, wyjaśniłem, Kris powiedział, że postara się dotrzeć do wyspy Trox. Jakimś cudem prądy morskie porwały mnie i rzuciły właśnie tam, gdzie wylądowaliśmy wcześniej, wykonując zlecenie Robina.

- Jakie zlecenie? - spytał czujnie Michael. Odparłem, że nie wiem. Wydawało mi się, że Kris też do końca tego nie wiedział. Zrobiłem minę wyrażającą łagodne zdziwienie. Powiedziałem, że najbardziej niezwykły był mój powrót, bo przewieziono mnie na Kajmana jakimś paramilitarnym samolotem z załogą uzbrojoną i ubraną w kombinezony chroniące przed promieniowaniem. Żaden z członków załogi nie odezwał się do mnie ani nie zrobił nic, co byłoby dla mnie zrozumiałe. Wszystko było bardzo dziwne, no a potem zawiązali mi oczy i ręce bandażami, które pochodziły, jak się domyślałem, z obowiązkowej w samolocie apteczki, a po lądowaniu na Kajmanie puścili mnie wolno. Przejeżdżający drogą Jamajczyk oswobodził mnie z więzów i odwiózł pod dom Fordów.

- Mój Boże! - wykrzyknęła Amy. - Co za okropna historia!

- Zgłosisz to na policji? - spytał Michael z marsem na czole.

- Raczej nie - odparłem. - Nie chcę, żeby ci ludzie mieli kłopoty. Nie byli zadowoleni z mojej obecności na wyspie, ale dzięki nim, wprawdzie związany, trafiłem jednak z powrotem na Kajmana.

Michael i Amy uśmiechnęli się z wyraźną aprobatą. Nie powiedziałem im, że wśród moich porywaczy wybawców rozpoznałem z całkowitą pewnością trzy osoby - Michaela i Amy, a także Robina Darcy'ego.

Nie podziękowałem im, chociaż byłem wdzięczny, że wymyślili sposób przywrócenia mnie cywilizacji tak, abym nie zobaczył ich twarzy.

Nie powiedziałem, że miałem mnóstwo czasu na nauczenie się na pamięć liter i numeru rejestracyjnego samolotu - pierwsza była litera N, co oznaczało rejestrację amerykańską.

Nie pisałem ani słówka o tym, że otworzyłem sejf i z braku lepszego zajęcia wypełniałem dłużące się dni odcyfrowywaniem zapisków w obcych językach.

Amy przeszła przez salon, uniosła ręce, stanęła na palcach i pocałowała mnie w policzek. Pachniała słodko tymi samymi perfumami co jeden z członków załogi - szczupły strażnik, który musiał wysoko unosić ręce, żeby zawiązać mi oczy.

Robin, okrągły krępy Robin, żeby cokolwiek widzieć, musiał włożyć okulary w grubych oprawkach, widoczne pod osłoną srebrnego hełmu, a poza tym miał, jak każdy, pewną bezwiedną pozę, mianowicie stał z rękoma założonymi pod brzuchem, podobnie jak robił to w Newmarket i na tarasie własnego domu, kiedy policja przybyła rozprawić się z „intruzem”.

Amy, niska i szczupła, oraz Michael, barczysty, na krzywych nogach, stworzyli z nim trio i ujawnili swoją tożsamość, nie pozostawiając we mnie cienia wątpliwości, gdy oddalali się od samolotu w stronę bunkrów, a ja mogłem oglądać ich sylwetki od tyłu.

W chwili, kiedy ich rozpoznałem, a miałem świadomość, że oni wcale sobie tego nie życzyli, strach przeszył mi trzewia, każąc mi trzymać język za zębami, nie ruszać się i skoncentrować, choć trzymano mnie na muszce.

Tłumacząc się silnym zmęczeniem, wcześniej położyłem kres pełnej uśmiechów sztuczności wieczoru i poszedłem spać, co moi gospodarze przyjęli z wyraźną ulgą.

Odyn, jak dowiedziałem się, oglądając telewizję zmęczonymi oczami po kolejnej nocy złych snów, znów zmienił kierunek.

Kiedy Michael przyzwalającym gestem wskazał telefon, porozumiałem się z kolegą meteorologiem w Miami i wykorzystując moment zaskoczenia, zmusiłem go, by uwierzył, że Łazarz przy Stuarcie to szczeniak.

Kiedy spytałem, czy znalazłby trochę czasu, żeby spotkać się ze mną w biurze, gdy będę wracał do Anglii, odparł z entuzjazmem, że powiadomi strażnika przy wejściu. Później, pożegnawszy się serdecznie z Michaelem i Amy, którzy odwieźli mnie na lotnisko Owena Roberta pomarańczową furgonetką, wylądowałem w Miami, gdzie mój dobry telefoniczny znajomy, którego nigdy przedtem nie widziałem, odszukał mnie i wprowadził do Centrum Obserwacji Huraganów.

Mój kolega Will, lat około dwudziestu pięciu, był wysoki, szczupły, oddany pracy i bardzo gościnny.

- Jesteś tu tylko dlatego, że masz nazwisko - powiedział. - Szefowie z BBC udzielili ci pozwolenia.

- Miło z ich strony.

Spojrzał na mnie ostro, słusznie odczytał na mojej twarzy łagodny cynizm, i zaprowadził mnie do zespołu meteorologów zajmujących się Odynem. Więc to ja byłem tym drugim głupcem, który przeleciał przez oko Odyna i spadł do morza przy ścianie oka? Tak, to ja.

To było szaleństwo próbować przelecieć przez cyklon, powiedzieli. Amatorzy polujący na cyklony to istna zaraza. Tylko 53 Eskadra Rozpoznania Meteorologicznego Amerykańskich Sił Lotniczych dysponowała niezbędnym doświadczeniem i przyrządami.

Potulnie przytaknałem. Kolega Will oddał mi cynizm podwójnie, przyjął moją skruchę i pokazał, że obserwatorzy sztormu nadal martwią się o Odyna, który znów zmienił kierunek i bardzo powoli przesunął się z Morza Karaibskiego do Zatoki Meksykańskiej, gdzie obecnie zagrażał z oddali Galveston w Teksasie. Ciepłe wody zatoki niebezpiecznie przyspieszały krążenie mas powietrza. Obaj z Willem nie rozumieliśmy, jak przeżyłem napór potężnych fal.

Kiedy zaproponowałem Willowi pożegnalnego drinka po dyżurze, spojrzał na zegarek i powiedział, że już mnie umówił z kimś, kto powinien mi się wydać interesujący, a gdy usiedliśmy przy małym stoliku na chodniku, pod czerwono-niebieskim parasolem, dołączył do nas chudy brodacz koło sześćdziesiątki wyglądający na ekscentryka. Dziwak klepnął Willa w plecy, do mnie powiedział, że ma na imię Unwin, i spytał:

- To co właściwie chciałbyś wiedzieć o wyspie Trox? Tak mnie zaskoczył, że wydałem pomruk niezdecydowania, a potem z wdzięcznością poprosiłem:- Właściwie wszystko, co mógłbyś mi powiedzieć. Mógł mi o niej opowiadać przez czterdzieści minut, zapewnił. Zebrał materiały do książki o Trox, ale nie mógł nią zainteresować żadnego wydawcy. Wiele razy był na wyspie, pilotując co tydzień starą dakotę DC3, którą dowoził nietrwałe produkty dla przeszło trzydziestu mieszkańców.

Powiedział, że na Trox mieszkali głównie meteorolodzy, sejsmolodzy - którzy go zatrudnili - hodowcy grzybów, handlarze drewnem i kokosami, a w przeszłości handlowano na dużą skalę guanem. Na wyspie żyły tysiące głuptaków, które produkowały guano, i setki tysięcy legwanów, które nie robiły nic. Wyspa była kiedyś skrzynką kontaktową dla tajnych agentów amerykańskich, chociaż CIA teraz temu zaprzecza. To Agencja zbudowała pas startowy i kiedyś trzymała na wyspie radionadajnik, ale już dawno został zdemontowany.

Spytałem, do kogo wyspa należy, a Unwin długo się zastanawiał.

- Kiedyś była brytyjska, potem amerykańska - rzekł wreszcie. - Potem rościło sobie do niej prawa kilka państw Ameryki Południowej, ale żadne nie chciało trzymać jej dłużej z powodu braku bieżącej wody, bo na wyspie korzystano z wody deszczowej nałapanej do cystern, i z braku elektryczności, ponieważ jedna z ekip, która ją przejęła, zwinęła prądnice.

Wygląda więc na to, że każda kolejna ekipa najpierw wykorzystuje wyspę do swoich celów, a potem ją porzuca. Na długo przed cyklonem Nicky, nie mówiąc o Odyinie, zawiadywała tym gospodarstwem spółka o nazwie Unified Trading Company, ale jakiś miesiąc temu nagle zabroniła wstępu takim nieszkodliwym ludziom jak ja. - Uśmiechnął się, nieoczekiwanie odsłaniając duże żółte zęby. - Jeżeli chcesz mieć tę wyspę tylko dla siebie, zamieszkać tam, powiedz, że jest twoja, i odganiaj intruzów.

Przerwał długą wypowiedź, żeby posmakować zimnego heinekena, którego zamówił dla nas Will, a potem zadowolony, że może się wygadać, ciągnął:

- Z tymi grzybami to było coś podejrzanego. Paru prawdziwych hodowców grzybów, z którymi rozmawiałem, twierdziło, że nikt nie próbowałby uprawiać na sprzedaż choćby nawet egzotycznych grzybów na tak małą skalę. Mówiono, że to eksperymentalna uprawa grzybów, a ponieważ Unified Trading Company sprowadziła pracowników z Europy, nikt z miejscowych nie wiedział, co się tam właściwie dzieje. To samo było z krowami.

- Z krowami? - powtórzył zdziwiony Will. - Jakimi krowami?

Znawca wyspy Trox znów pokazał uzębienie.

- Pewnego dnia, kiedy tam byłem, przyplłynął statek wyładowany krowami i bykami. Bydło zeszło na brzeg i rozproszyło się po wyspie. Mieszkańcy wioski okropnie narzekali, ale żaden byk nie zaatakował ani nie zranił człowieka. Byki walczyły między sobą i pokrywały krowy, stopniowo łagodniały, krowy cielżyły się i całe stado pasło się na pasie startowym, dzięki czemu zawsze była na nim krótka trawa. Kto wie, co zrobił z nimi Odyn. Wyobrażam sobie, że wyginęły.

Will przypomniał Unwinowi, że byłem na wyspie po Odyinie i opowiedziałem, jak bydło przeżyło - kładąc się całym stadem i przywierając brzuchami do ziemi. Ale po co właściwie je tam przywieziono? Tego ekspert nie wiedział.

Zmienił temat i zaczął mówić o naukowcach, którzy zbudowali bunkry, rejestrowali wstrząsy na sejsmografach i codziennie puszczali balony z radiosondami, żeby zmierzyć ciśnienie i temperaturę. Znał ich wszystkich po imieniu, bo dla nich pracował, latając dakotą.

Unified Trading Company przejęła drugi bunkier. Unwin, marszcząc czoło, powiedział, że pod koniec dowiedział się od mieszkańców, że drugiego bunkra cały czas pilnuje tym oparła się nasza przyjaźń: nie chciał niczego brać poważnie, z wyjątkiem pogody, oczywiście.

Dlatego nie opowiedziałem mu, że wciągnięto mnie w pewną konspiracyjną grę, a teraz konspiratorzy tego żałują i najchętniej by się mnie pozbyli, najpierw jednak chcieli się upewnić, że ich nie rozpoznałem ani nie rozumiałem, dlaczego zawiązali mi oczy, żeby mnie

uratować. Historia ta raczej zniechęciłaby Willa, niż zapewniła jego dalszą pomoc w przyszłości.

Dopiliśmy piwo w zgodnej atmosferze i Will zachęcił mnie, żebym bez skrępowania zwracał się do niego po huraganowe wieści ze świata; ja natomiast zaproponowałem przy pożegnaniu, że oprowadzę go po meteorologicznym centrum w Bracknell.

Ruszyłem na poszukiwanie Unwina i znalazłem go pod innym parasolem, przy innym kuflu.

Usiadłem przy nim. Wzruszył ramionami i rzekł:

- Na Trox było pięknie.

- Polecisz dakotą?

- Pewnie.

- Czy Unified Trading Company korzystała z własnego samolotu do obsługi personelu na wyspie?

Znudzony Unwin dopił piwo, ziewnął i odparł, że najczęściej wynajmowała samolot, bo tak było taniej. Czy wiedział jaki?

Znał typ samolotu. Kiedy napisałem numer rejestracyjny, kiwnął głową z ożywieniem na znak, że go rozpoznaje.

- To ten. Właścicielem jest firma Downsouth Air Rentals. Można go wyczarterować z pilotem lub bez, na godzinę, na jeden dzień, na cały tydzień, jak kto sobie życzy.

Postawiłem mu jeszcze jedno piwo.

- Jeżeli coś będzie się działo na Trox, mam na myśli coś dziwnego, czy mógłbyś przekazać informację Willowi, który da znać mnie? - spytałem. Dałem mu trochę pieniędzy, choć nie bardzo mnie było stać, a on przeliczył je bez entuzjazmu.

- Dobrze - przystał na propozycję.

- Zostawiłem tam aparat fotograficzny, w jednym z bunkrów, zawieszony na belce pod dachem, żeby nie dosięgły go krowy. Nie nadaje się w tej chwili do niczego, bo jest cały ubłocony. Ale bardzo chciałbym dostać go z powrotem, jeżeli go znajdziesz. A jeżeli prześlesz go do mnie w takim stanie, w jakim jest, nie czyszcząc z błota, to co powiesz na skrzynkę heinekera?

- Dwie skrzynki - odparł.

Przybiliśmy ten układ i zapisałem Unwinowi adres mojej babuni.

Dotknąłem karteluszka z zapisanym numerem rejestracyjnym samolotu i spytałem z nikłą nadzieją:

- Nie wiesz pewnie, gdzie mógłbym znaleźć ten statek rybacki, który przeprowadzał ewakuację wyspy?

Unwin wystawił na pokaz żółte zęby i wskazał kciukiem za siebie.

- Trochę kulejesz, a to kawałek drogi - rzekł. - To „Darnwell Rose”, do końca tą drogą, potem w lewo, trzeci, nie, czwarty dok. Właściwie to nie jest statek rybacki, a wielofunkcyjny przybrzeżny statek handlowy.

Podziękowałem mu bardzo serdecznie i ruszyłem długą ulicą. Po chwili mnie dogonił.

- Znam kapitana. Dzisiaj wypływa. Jestem mu winien piwo - oznajmił, a ja ucieszyłem się z jego towarzystwa i z tego, że przedstawi mnie kapitanowi.

Kapitan „Darnwell Rose”, masywny, ze złotymi paskami na rękawach i bujną brodą, zszedł z Unwinem do kabiny na piwo, a do mnie przysłał groźnie wyglądającego zastępcę, żebym pociągnął go za język na temat Trox.

- Spółka handlowa Unified Traders wyczarterowała „Darnwell Rose” do przewozu ładunku, na który złożyły się domowe sprzęty, z wyspy Trox na Wielkiego Kajmana - oznajmił. - Trzeba było zastosować się do przepisów o radonie, ale w końcu problemu nie było. Na żadnym z mebli nie stwierdzono promieniowania, więc wszystko przewieźliśmy.

- Pamięta pan, że zawoziliście na wyspę Trox kartonowe pudło? - spytałem.

- Sejf?

- Tak.

- Jeżeli teraz powiem, co się stało, potem temu zaprzeczę.

- Niczego innego się nie spodziewam. Pociągnął nosem i otarł go wierzchem dłoni.

- Więc to było tak - zaczął. - Drzwiczki sejfu były otwarte i zaklinowane pogniecionymi papierami dla zabezpieczenia przed zniszczeniem w czasie transportu, a obok w szufladzie biurka leżała jakaś teczka. Ponieważ mieliśmy zabrać wszystkie meble, jeden z majtków włożył teczkę do sejfu i zabrał biurko, a kiedy wszystko zostało sprawdzone licznikiem Geigera, to licznik też włożono do sejfu, obie rzeczy miały tam leżeć najwyżej parę minut, ale marynarz zamknął drzwi sejfu i potem nikt nie mógł ich otworzyć, więc wstawiliśmy sejf do gotowej wnęki w ścianie, został tam i nikt nie zgłaszał żadnych pretensji. Kapitan uznał, że spółka, która nas wynajęła, wie, jak otworzyć sejf. Czy to chciał pan wiedzieć?

- Wystarczy, bardzo dziękuję.

Dałem mu resztę dolarów, podziękowałem Unwinowi i kapitanowi i z wdzięcznością przyjąłem propozycję, że podrzucą mnie na lotnisko.

Zanim wsiadłem do nocnego samolotu do Londynu, uznałem, że aby dać moim wybawcom poczucie, iż łatwo się mnie pozbyli, powinienem pożegnać się grzecznie z Robinem Darcy (który przecież z powodu naszego uporu stracił samolot), wybrałem więc jego numer, lecz w słuchawce odezwał się tylko nagrany głos Evelyn: „Proszę zostawić wiadomość”.

- Napiszę - powiedziałem, zadowolony, że nie muszę nic więcej mówić. Leciałem do domu, próbując zasnąć z kolanami pod brodą, ale nie pozwoliły mi na to dokuczliwie obolałe stopy, a także wspomnienie karabinów i nieujarzmionych wichrów.

Rozdział 7



Kiedy rano dotarłem do babuni, usiadła z otwartymi ustami, patrząc na mnie z wyrzutem, nagannie.

- Cześć, babuniu - powiedziałem łagodnie. - Co u ciebie? Otrząsnęła się z szoku.

- Wiesz, że będziesz dziś na wizji? Wyglądasz okropnie, Perry.

- Bardzo ci dziękuję.

- I czekają cię jeszcze występy przed Nocą Fajerwerków.

- Będzie padało - rzekłem. - Mogę przenocować na twojej sofie?

Zgodziła się od razu, nie zadając pytań.

- Chciałbym też poradzić cię, co mam zrobić. Spojrzała mi w oczy z powagą. Kilka razy w życiu prosiłem ją w ten sposób o pomoc i zapowiadało to wspólną rzeczową ocenę faktów, rozmowę, w której bez znaczenia jest różnica płci i wieku. Stosowaliśmy jedną tylko zasadę - każda zmieniająca życie decyzja musi jakiś czas dojrzewać, a zatem nigdy nie należy działać pochopnie.

Zanim babunia podjęła decyzję, że będzie pisać o podróżach, mając dobrze po siedemdziesiątce, zebrała informacje od wielu specjalistów, a zanim ja porzuciłem fizykę na rzecz prezentowania zmienności wiatru i temperatury nad Wyspami Brytyjskimi, wezwała eksperta od oceny osobowości z agencji castingowej.

Wiele dni minęło, nim zgodziła się na ciągły wydatek związany z zatrudnieniem prywatnej pielęgniarki, kiedy jednak podjęła decyzję, sprzedała brylanty, które podarował jej mąż (a mój dziadek), odnowiła zapuszczone mieszkanie, kupiła dla mnie lekkie auto, a dla

siebie specjalnie przystosowany samochód, żeby jeździć nim wraz z wózkiem inwalidzkim na wyprawy zamawiane przez biuro podróży. Przekonała mnie, że będziemy żyć w wielkim stylu.

Z kuchni wyszła pielęgniarka i zaproponowała mi kawę. Kawa to o wiele za mało, pomyślałem.

- Idź na godzinkę na spacer, kochana - poprosiła babunia, uśmiechając się z wyćwiczonym wdziękiem.

Jett van Els, pracująca poza zwykłym rozkładem - tydzień pracy, tydzień wolnego - spytała, czy zastanie mnie po powrocie. Mogłem powiedzieć, że zastanie mnie, kiedy tylko sobie tego zażyczy, ale poczekałem, aż wyjdzie na wilgotny chłód jakże angielskiego listopadowego dnia, a potem zadzwoniłem do innej młodej kobiety.

Ostrożnie zacząłem rozmowę z Belladonną, która odpowiedziała rozziewającym piskiem.

- Perry! Tata powiedział mi wczoraj, że żyjesz. Nie mogę w to uwierzyć! Wszyscy myśleliśmy, że utonąłeś.

- Nie utonąłem - zapewniłem ją ciepło i spytałem, gdzie znajduje Krisa.

- Mam wyjść za niego za mąż, słyszałeś o tym?

- Moje gratulacje.

- Poprosił mnie o rękę po tym, jak przez cały dzień myślałam, że nie żyje. To nie fair.

- Wyszły wtedy na jaw twoje prawdziwe uczucia - rzekłem z uśmiechem. - Gdzie on jest?

- Tutaj. Pojechał zobaczyć się z Oliverem Quigleyem, Bóg raczy wiedzieć po co. Biedak Quigley jest strzępem nerwów, chociaż tata w końcu nie pozwie go do sądu z powodu tej klaczy. Potem Kris zabiera się do pracy, jest już w drodze. Tę noc spędził tutaj... ze mną. Nie pierwszy raz... po co ja ci to właściwie mówię.

Uporządkowałem w myślach jej nieco chaotyczną wypowiedź i spytałem o klacz. Żyje czy padła?

- Żyje - odparła Bell. - Jest śmiertelnie chora, ale nie umiera, tylko grzywa i ogon jej rzedną. W Ośrodku Badań nad Końmi mówią, że to, co jej zaszkodziło, to wcale nie był starzec dodany do siana, żeby ją zatruć i wyeliminować z wyścigów, jak początkowo podejrzewano. Nie uwierzysz, podejrzewają chorobę popromienną. Słyszałeś coś podobnego!?

Usiadłem na sofie babuni, jakbym od silnego ciosu stracił dech.

- Co? - spytałem słabo.

- Chorobę popromienną - powtórzyła z odrazą Bell. - Mówią, że u kłaczy ma łagodny przebieg, jeżeli w ogóle można mówić o łagodnym przebiegu tej choroby, ale prawdopodobnie doprowadzi do śmierci. Mogła być poddana działaniu radu albo czegoś podobnego. Pytanie gdzie? Tata jest wściekły. Kris powiedział, że ty na pewno wiesz, skąd można wziąć rad. Uran i pluton tak samo, ponieważ jesteś z wykształcenia fizykiem, choć pracujesz jako synoptyk.

- Mhm - mruknąłem. - Zdobyć rad jest trudno, ale nie jest to niemożliwe. Maria Curie wyizolowała go z blendy cynkowej przeszło sto lat temu w Paryżu. Ale tamte dwa pierwiastki... - Urwałem nagle. Potem spytałem: - Czy Kris mówił o mnie tak, jakbym już nie żył?

- Bardzo mi przykro, Perry, wszyscy tak mówiliśmy. Uspokoilem ją, żeby się tym nie przejmowała, dowiedziałem się dokładnie, gdzie i kiedy będzie można złapać Krisa, i poprosiłem, żeby pozdrowiła ode mnie ojca. Potem usiadłem na fotelu koło wózka babuni i opowiedziałem jej wszystko, co widziałem, przeżyłem i przemyślałem od zaproszenia na lunch u Caspara Harveya w Newmarket.

Słuchała mnie tak, jakby cały czas mi towarzyszyła, jakby jej oczy i uszy to samo widziały i słyszały co ja.

W końcu odezwała się bardzo zaniepokojona:

- Musisz zwrócić się do kogoś z prośbą o informacje i pomoc.

- Tak, tylko do kogo?

Wyświechtane wyrażenie „zwrócić się do odpowiednich władz” nasunęło mi się z siłą banału. Jakie władze były w tym przypadku odpowiednie? Czy mogłem ot, tak wejść na lokalny posterunek policji i spodziewać się, że ktoś mi uwierzy? No przecież nie mogłem.

- Może zwrócę się do Inspektoratu Zdrowia i Bezpieczeństwa - rzekłem po chwili namysłu;

- Co to jest?

- Ciało przeprowadzające inspekcje w fabrykach. Babunia potrząsnęła głową, ale ja znalazłem Inspektorat w książce telefonicznej pod nagłówkiem wydziału służby cywilnej i umówiłem się na spotkanie za godzinę. Przydawało się czasem, że nazywam się Perry Stuart, jestem synoptykiem i wszyscy znają moją twarz z telewizji.

Jett van Els wróciła ze spaceru punktualnie co do minuty, z ciepłym pramiatki Ewy w brązowych oczach i z listopadowym chłodem na policzkach. W moim życiu spotkałem inne pielęgniarzy, hojne i chętne, rozbudzone tymczasowo, jak tymczasowe było ich zatrudnienie, ale babunia, która miała oczy szeroko otwarte, nieoczekiwanie, gdy Jett poszła zrobić kawę

do kuchni, ostrzegła mnie, żebym nie budził licha. Ubawiony, złożyłem żadaną obietnicę, ale okazało się, że to za mało.

- Mówię poważnie - powiedziała babunia. - Kiedy tylko chcesz, robisz silne wrażenie i możesz sam sobie zaszkodzić.

Nie zrobiłem silnego wrażenia na miłej urzędnicze koło pięćdziesiątki, którą spotkałem jako pierwszą przedstawicielkę „władzy”. Nie jestem fabryką, stwierdziła uprzejmie.

- Mówię o spółce handlowej - przypomniałem. Zasznurowała usta.

- Czy to ma coś wspólnego z pogodą?

- Nie.

Przez chwilę patrzyła bezmyślnie w przestrzeń, westchnęła, a potem napisała kilka słów na kartce, którą mi następnie podała.

- Proszę spróbować tutaj - poradziła. - Nigdy nic nie wiadomo.

„Tutaj” oznaczało, według instrukcji, najwyższe piętro w biurowcu wydawnictwa podręczników w Kensington. Pojechałem windą, do której skierował mnie recepcjonista w holu przy wejściu, a przy rozsuwanych drzwiach spotkała mnie młoda asystentka o długich brązowych włosach, ale niedbałej fryzurze i w długiej pogniecionej brązowej spódnicy.

- Jestem Melanie - oznajmiła i wykrzyknęła: - Ojej! Perry Stuart? Mój Boże! Proszę tędy.

Wprowadziła mnie do biura, które było małe, za to zajmujący je urzędnik - duży. Pośród czterech gołych ścian oświetlonych przez okno w suficie stało biurko, dwa niezbyt wygodne krzesła i szara metalowa szafka na akta. Wysoki mężczyzna, który wstał, żeby zdawkowo uścisnąć mi dłoń i przedstawić się - John Rupert - mógł z powodzeniem wystąpić jako wydawca podręczników z niższych pięter.

- Koleżanka z Inspektoratu Ochrony Zdrowia i Bezpieczeństwa Publicznego - przeszedł od razu do rzeczy poinformowała mnie, że może pan mieć coś do powiedzenia na temat Unified Trading Company. A jeśli można przy okazji spytać, to czy pańska twarz nie jest czasem dla pana uciążliwa?

- Tak, na przykład, zanim wszedłem do pańskiego biura, ktoś mnie poznał i dał temu wyraz.

- Melanie?

- Niestety tak.

- Mhm. - Zastanawiał się chwilę, ale tak krótko, że na pewno przygotował pytanie przed moim przybyciem. - Gdyby miał pan wydać podręcznik, doktorze Stuart, jaki wybrałby pan temat?

Nie odpowiedziałem instynktownie „Wiatr i deszcz”, ale podałem mniej oczywisty tytuł „Depresja”. Zmrużył oczy. Pokiwał głową.

- Uprzedzano mnie, że może pan być graczem - rzekł. Umilkł na dłuższą chwilę. - Istnieje podobno niewielki pakiet ściśle tajnych informacji. Jest bardzo mało prawdopodobne, żeby pan go widział, ale powiedziano mi, że tak było i mógł pan zrozumieć, na co pan patrzy. - Pozwolił sobie na drugą wydłużoną pauzę. - Czy może nam pan pomóc?

Co to znaczy „nam”, pomyślałem. O kim mowa? Doszedłem do wniosku, że mam do czynienia z „władzą”, której szukałem. A zatem muszę „im” zaufać. Na razie.

- Gdzie byście szukali tego tajnego pakietu? - spytałem.

- Może być w dowolnym miejscu na świecie. - Rupert ścisnął wąską nasadę nosa. - Mieliśmy człowieka w Meksyku, w pobliżu północnej granicy. Widział pakiet tajnych informacji, doniósł o jego istnieniu, słyszał, że był na sprzedaż i został przesłany do Miami. Zwrócił się do nas z pytaniem, czy ma go ukraść, jeżeli to by było możliwe, czy też kupić. - Rupert skrzywił się. - Powiadomił niewłaściwych ludzi o tym, że widział pakiet, a potem znaleziono go pływającego twarzą w dół w rozlewisku Everglades na Florydzie, z przestrzeloną głową i nogami obgryzionymi przez aligatory.

A to się wpakowałem, pomyślałem. Jeżeli cokolwiek komuś powiem, napytam sobie biedy, może nawet dostanę kulkę w łeb. Czy to, co podpatrzyłem, było warte narażenia życia? Czuję jednak, że nie mogę po prostu odejść i zapomnieć o sprawie, bo jakiś niejasny instynkt popycha mnie ku sprawiedliwości i porządkowi.

- Przypuśćmy - rzekłem wreszcie - że zbyt wiele kucharek usiłuje ukryć tajny pakiet w bezpiecznym miejscu, w rezultacie zostaje on aż za dobrze schowany na wyspie i trzeba specjalnie po niego jechać, żeby go odzyskać i użyć. Bo nikomu się nie przyda, jeżeli nie można go użyć. - Urwałem.

- Niech pan mówi dalej - zachęcił Rupert.

- Jest do dyspozycji odpowiedni lekki samolot, którym można polecieć po pakiet, ale nie ma odpowiedniego pilota, aż tu nagle zjawia się meteorolog, w życiu prywatnym pilot, który marzy o tym, żeby przelecieć przez oko cyklonu. Pilot zgadza się zmienić trasę lotu i zabrać pakiet w zamian za przygodę z cyklonem.

Rupert ze zrozumieniem pokiwał głową.

- To proste zadanie nie zostaje wykonane - ciągnąłem. - Cyklon strąca samolot do morza. Więc teraz, żeby zabrać pakiet, co nadal jest priorytetem, trzeba się lepiej zabezpieczyć, odczekać, aż będzie lepsza pogoda, i wysłać większym samolotem większą załogę, która będzie przygotowana do stoczenia bitwy.

- Bitwy o pakiet?

- Raczej bitwy o przejęcie wyspy, której własność nie jest ustalona. Tę załogę, moim zdaniem, stanowią pracownicy Unified Trading Company, którzy rządzą wyspą, zanim opuścili ją wystraszeni mieszkańcy, kiedy egzotyczne grzyby w kontenerach, hodowane przez spółkę, zaczęły emitować promieniowanie radioaktywne... - Urwałem.

Twarz urzędnika wygładziła się, wyrażając niedowierzanie.

- Do widzenia - rzuciłem krótko i wstałem. - To dziecinnie proste zrobić z czegokolwiek substancję wydzielającą cząsteczki alfa. Wystarczy rozsiać nieco sproszkowanej rudy uranu. - Dałem Rupertowi wizytówkę z telefonem babuni. - Proszę zadzwonić, gdyby coś jeszcze pana interesowało.

- Chwileczkę - chciał mnie powstrzymać, wyraźnie zainteresowany.

- Ludzie słusznie się boją - powiedziałem od drzwi. - Po połknięciu bryłki wielkości ziarnka groszku, będącej źródłem promieni alfa, człowiek umiera, ale może ją długo nosić w papierowej torbie i nic mu się nie stanie. Przypuszczam jednak, że to, co mówię, jest panu znane.

- Niech pan nie odchodzi.

- Muszę zawieźć złe wieści z Akwizgranu do Gandowy. John Rupert roześmiał się.

Krisa nietrudno było znaleźć, ponieważ wrócił do Centrum Meteorologicznego BBC na Wood Lane, gdzie przygotowywał się, żeby podzielić ze mną trud zapowiedzi złej pogody przed zbliżającą się Nocą Guya Fawkesa.

Powitał mnie radosnym okrzykiem i gniotącym żebra uściskiem, a potem musiałem dać się uściskać wszystkim pozostałym kolegom w biurze. Uwagi, jaki jestem wychudzony i wymizerowany, nie mogły trwać dłużej niż kilka minut, bo przecież niezawodny Stuart powrócił z krainy umarłych i zjawił się na czas, by przekazać szykującym fajerwerki dzieciom dżdżyste wieści, z czego ucieszył się czekający w pogotowiu synoptyk, który miał go zastąpić.

Kris wyglądał wspaniale, opalony, z rozjaśnionymi na słońcu włosami i wąsami, a na mój widok jego nastrój z melancholijnych nizin poszybował do stratosfery tak szybko, jak wiersze o startujących rakietach.

- Nie mogę w to uwierzyć! - Słysząc go było chyba do końca Wood Lane. - Skąd się tu wzięłeś? Jeszcze wczoraj myśleliśmy, że twojej babci obluźowała się śrubka. Twierdziła, że dałbyś jej znać, gdybyś się utopił!

Szliśmy cichym korytarzem do pokoju, z którego korzystaliśmy w przerwach między występami przed kamerą, bo tylko nasz guru miał osobny gabinet. Kris, podskakując jak mały chłopiec, opowiedział mi, jak sunął w tratwie ratunkowej przez zachodni skraj Odyna przez kilka dni, aż spostrzegli go i wyciągnęli piloci wynajętego przez Robina helikoptera. Opis akcji ratunkowej wylewał się z niego tak, jakby puściła tama przeciwpowodziowa, jakby nie chciał, żeby wypłynął w rozmowie inny temat, więc w końcu położyłem mu uspokajającą rękę na ramieniu i pogratulowałem zaręczyn z Bell.

- Nic nie mów jej ojcu - rzekł przerażony. - Caspar wcale by nie płakał, gdyby ktoś inny przyniósł mu nowinę, że nadeszła pora sianokosów.

To bynajmniej nie było śmieszne, bo mówił prawdę. Nie zaprzeczyłem, lecz zmieniłem temat i spytałem:

- Co powiedział Robin Darcy po wszystkim?

- Nie rozmawiałem z nim. Kiedy dzwonię do jego domu w Sand Dollar Beach, odpowiada mi nagrany na sekretarce głos Evelyn. Biedny Robin, co on może powiedzieć? To przecież on nas namawiał na ten lot.

- Tak... - Zmarszczyłem czoło. - Czego on tak naprawdę od ciebie chciał? Co miałś zrobić na tej wyspie?

- Na Trox?

- Oczywiście, że na Trox.

- A skąd ja mam wiedzieć? - Kris obojętnie wzruszył ramionami, a potem obudziła się w nim czujność.

- Może sam ci to powiedział - napomknąłem łagodnie. Kris zwolnił kroku i stanął, jakby przypomniał sobie właśnie, że udzielił mi dwóch różnych odpowiedzi na jedno pytanie.

- Tak się cieszę - powiedział wylewnie. - Naprawdę się cieszę, że żyjesz.

- Ja też się cieszę, że ty żyjesz. - Popatrzyliśmy na siebie z niekłamaną radością, bo taka była prawda, niezależnie od wszystkiego, co do siebie mówiliśmy.

Pchnęliśmy ramionami wahadłowe drzwi i weszliśmy do garderoby, gdzie zmieniało się ubranie i przyczesywało włosy, a błyszczące czoła i nosy pudrowała na matowo sroga dwudziestotrzylatka, która zwykle wchodziła za każdym delikwentem w pole widzenia kamery, wymachując puszką do pudru. Kris od razu zaczął z nią flirtować, zerkając na mnie spod zmrużonych powiek, jakby miał nadzieję, że jednak zniknę.

Ale ja spytałem, lekko, jakby w żartach:

- Co powiedział Robin o naszym podejściu do lądowania na brzuchu?

- Nic. Nie rozmawiałem z nim. Już ci mówiłem. Niemiła charakteryzatorka przyciemniała mu pobielale brwi. Krisa zezłościło moje nietaktowne przypomnienie o jego niedoskonałości, więc, odsunawszy rękę dziewczyny, odciął się, że nikt nie jest cały czas doskonały. Nie był to właściwy moment, aby powiedzieć mu, że prawy silnik stanął tylko dlatego, że pilot zapomniał przerzucić przełącznik z pustego na pełen zbiornik paliwa.

Sam przelot przez cyklon był wystarczająco dużym stresem. Kris zapomniał o przełączniku, a potem było za późno i nie poradził sobie ze zgasłym silnikiem, który ciążył i destabilizował samolot.

Rów Kajmański to jedna z najgłębszych dolin na dnie oceanu, więc jeśli Robin nie zadał sobie trudu - co było mało prawdopodobne - żeby przeprowadzić kosztowną operację odnalezienia i wydobycia wraku, panika Krisa, jego sięganie z wrzaskiem w ostatniej chwili do przełącznika miało pozostać na zawsze tajemnicą.

Chciałem jednak, żeby wyjawiał mi prawdę i powiedział, dlaczego poleciał na Trox, a on widać miał już dość i z ponurą miną uległ moim naleganiom.

- To nic takiego - rzekł. - Robin chciał, żebym przywiózł mu z wyspy teczkę z dokumentami, która przez pomyłkę tam została, ale w taki sposób, żebyś ty nie mógł się jej przyjrzeć. Nie pytaj mnie, dlaczego postawił taki warunek, bo nie wiem, ale, jak już ci mówiłem, obaj wiele mu zawdzięczamy, więc się zgodziłem. Powiedział, że teczka jest w biurku w jednym z bunkrów, i chciał, żebym ją zabrał, zanim ją porwie Odyn. Ale kiedy tam wylądowaliśmy, nie mogłem znaleźć nawet tego biurka. Wszystkie meble zostały wywiezione.

- Hm... - mruknąłem. - I nie powiedziałaś Robinowi.

- Nie. Podobno kiedy nie wróciliśmy zgodnie z planem lotu, kontrolerzy lotów z Wielkiego Kajmana skontaktowali się z Evelyn przez automatyczną sekretarkę Darcy'ego i nieoceniona Evelyn opłaciła helikopter, żeby zaczął nas szukać, kiedy tylko umożliwi to pogoda.

- Prześle nam za to rachunek? - spytałem ironicznie.

- Wolałbyś być martwy czy splukany? - spytał Kris.

Całę popołudnie snułem się po Centrum Meteorologicznym, nadrabiając dwa tygodnie zaległości w dziedzinie wiatrów i plotek, a także przygotowując i prezentując zapowiedzi o wpół do siódmej i wpół do dziesiątej.

Następny dzień, wypadający w piątek piąty listopada, rocznica zdrady, spisku i wybuchu prochu, szykowałam się taki, że już słyszałam jęki tatusiów i dzieci. Deszcze miały przesuwac się nad całą Brytanią od lunchu do tej pory, kiedy dzieci powinny kłaść się spać, od zachodniej Szkocji na południe i na wschód, a pod koniec dnia skracając na zachód wiatry miały sprowadzić chmury i mżawkę nad południową Anglię, psując zabawę z fajerwerkami w Essex. Zapalić mokry lont i do łóżka.

Spędziłam spokojny późny wieczór z babunią i Jett van Els, rozluźniając ciało i umysł spokojnym oddechem i przysypiając; drzemkę przerwano mi dwa razy - najpierw podekscytowany Kris o wpół do jedenastej podawał zabawny przegląd listopadowych wałów mgły.

Potem, kiedy Jett rozpoczęła powolne przygotowania babuni do wyczynu w skali Tarzana - przeskoku z wózka do nocnego spoczynku - zadzwonił głośno telefon. Jett od razu go odebrała, ale zamiast odpowiedzieć na zwykłe pytanie w rodzaju tych, jakie stawia się w magazynach, na przykład „Jak pomalować paznokcie u nóg, jeżeli nie ma się czucia w palcach?”, usłyszałam rzeczowe: „Spytam, kiedy będzie wolny. A kto dzwoni? John Rupert?” Uniosła komicznie brwi, a ja wyciągnąłem rękę po słuchawkę.

Powiedział wprost, że ma dla mnie murzyna do pisania. Zgodziłam się na spotkanie z nim w przerwie pomiędzy porannymi prognozami.

Później, kiedy babunia spała, jak zwykle niespokojnie, w przewietrzonym pokoju, wzięliśmy z Jett parę poduszek, owinęliśmy się w ciepłe, podbite futrem jak za czasów króla Edwarda pledy i usiedliśmy na kamiennej dwuosobowej ławie w oszklonym ganku zbudowanym po to, żeby dama z początku wieku nie zmkła w drodze z powozu do łóżka dżentelmena.

Nocne powietrze było rześkie i pachniało mułem odsłoniętym przy odpływie. Siedzieliśmy dla ciepła blisko siebie i niewiele się odzywaliśmy. Gdyby całe życie było takie proste, pomyślałam, zapanowałby spokój pomiędzy mewami i nie zrywałyby się wichury. Pocałowałam Jett van Els, nie zważając na obawy babuni, a ona z radością odwzajemniła pocałunek, w tej oazie spokoju wiele daliśmy sobie do zrozumienia.

W środku każdego cyklonu jest obszar ciszy. Ale zawsze nieopodal szaleje ten drugi wiatr.

Wczesnym rankiem pożegnałam się z wygodną sofą babuni, żeby pojawić się na ekranie jej telewizora przy śniadaniu - robiłam, co mogłam, żeby złagodzić deszczową prognozę dla kraju. Zapowiadało się, że niezależnie od moich starań wieczór świętowania na

część dzielnego zdrajcy i jego materiałów wybuchowych niskiej jakości będzie równie nieudany, jak ten, który dał początek świętu.

Przed południem, pomiędzy smutnymi występami w tonie bliskim przeprosinom, podskoczyłem autobusem do Kensington i wjechałem na siódme piętro, żeby omówić z moim murzynem książkę o depresjach.

Usiadłem na niezbyt wygodnym krześle i przy kawie i imbirowych ciasteczkach wysłuchałem tego, co miał do powiedzenia John Rupert zamierzający wydać książkę nie o depresjach, a o sztormach, bo taka powinna się lepiej sprzedawać.

Spytałem, czy naprawdę chce ją wydać. Zapewnił, że nie widzi przeszkód. Pisano już książki na przykład o zębach rekinów.

- A tak na marginesie - bąknął, częstując się ciasteczkiem. - Jak dostarczono dobre wieści z Gandowy do Akwizgranu?

- Nie wiem - odparłem.

- Robert Browning - dodał.

Drzwi otworzyły się cicho i jak duch wszedł chuderlawy dziadek o rzadkich siwych włosach i mocnych ścięgnaх zaprawionych w potrząsaniu dłońmi.

Bez melodramatycznych wstępów przedstawiono mi go jako murzyna, bez żadnego pan jakiś tam, bez żadnego imienia, po prostu murzyn i już. John Rupert poprosił, żebym powtórzył to, co powiedziałem mu wczoraj.

- Mam to wszystko jeszcze raz powiedzieć?

- Proszę opowiedzieć, ale inaczej, żebym miał lepszy obraz sytuacji, kiedy murzyn będzie słuchał tej historii po raz pierwszy.

Westchnąłem.

- No więc tak. Powiedzmy, że przez pomyłkę na wyspie na Morzu Karaibskim zostawiono teczkę z dokumentami, a na tej wyspie nie ma ani radia, ani telefonu, ani poczty, ani w ogóle nikogo, jest natomiast lądowisko dla samolotów.

Mówiłem, robiąc krótkie przerwy dla zastanowienia się i po to, żeby murzyn dokładnie wszystko zapamiętał.

- Teczkę tę koniecznie trzeba odzyskać. Pauza.

- Jest do dyspozycji odpowiedni samolot, ale nie ma dyskretnego pilota, ponieważ zaufany pilot zginął w wypadku samochodowym.

Druga pauza.

- Potem na lunchu w Anglii zjawia się pilot, który marzy o tym, żeby przelecieć przez oko cyklonu. Jest meteorologiem, a na Karaibach szykuje się cyklon Nicky, bo w ogóle jest

właśnie pora cyklonów. W związku z tym pada propozycja lotu przez cyklon w zamian za zboczenie z kursu i przywiezienie teczki z dokumentami.

- To ma sens - rzekł murzyn.

- Hm. Pilot wziął ze sobą przyjaciela, również meteorologa, jako nawigatora i pomocnika.

- A tym przyjacielem był pan? - upewnił się John Rupert.

Kiwnąłem głową.

- Nasz lot przez cyklon skończył się w morzu. Pilota uratował helikopter, a mnie prąd morski wyrzucił z powrotem na wyspę. Natrafiłem na teczkę z listami, ale nie wiedziałem, że są aż takie ważne, przynajmniej na początku. Były napisane w wielu różnych językach.

- I ma pan te listy? - Murzyn był bardzo podniecony, trząsł się i podrygiwał niemal tak jak Oliver Quigley.

- Nie - rozczarowałem go. - Wszystko przeczytałem, ale nie znałem żadnego z tych języków. - W zamyśleniu skubałem palce. - Jednym z języków był rosyjski - dodałem, wiedząc to na pewno.

John Rupert, który przysiadł na rogu biurka i kiwał nogą, spytał ciekawie:

- Dlaczego rosyjski? Po czym pan to poznał?

- Pewna litera i kombinacja cyfr, mianowicie U-235, rzuca się w oczy każdemu, kto ma choćby elementarne rozeznanie w naukach ścisłych. W jednym z tych obcojęzycznych dokumentów połączenie to zapisano jako Y-235, a znak Y w języku rosyjskim jest symbolem uranu.

Napisałem im Y-235 na kartce.

- To jest uran wzbogacony i skondensowany z U-238 poprzez proces zwany przesiewaniem albo dyfuzją gazową. Pu-239 to wzbogacony pluton Pu-240. Są to materiały do produkcji broni nuklearnej.

Moi słuchacze z powagą poprosili, żebym mówił dalej.

- Ustaliłem ponad wszelką wątpliwość - rzekłem z nikłym uśmiechem - że symbole U-235 albo Pu-239 pojawiają się raz w jednym, raz w innym języku i alfabecie na każdej stronie dokumentów w teczce. Domyślałem się, że to, co początkowo wziąłem za korespondencję, zawierało także jakieś wykazy. Po grecku, niemiecku, arabsku i rosyjsku, a zapewne także po hebrajsku. A co do innych liczb, za mało rozumiałem, ale część z nich to mogły być daty lub ceny.

- Wykazy? Jakie wykazy?

- Listy składników nuklearnych ładunków wybuchowych. To właśnie one stanowią ten supertajny pakiet, o którym mówiliście, prawda?

Nie byli gotowi do złożenia oświadczenia w tej sprawie.

- O ile mogłem się zorientować - ciągnąłem - te tajemnicze kartki były jakby listą zakupów. Niektóre z nich informowały, gdzie rozszczepialny materiał jest dostępny. Niektóre podawały, na co jest zapotrzebowanie. Jeżeli na tych kartkach podawano poszukiwane towary i towary na sprzedaż, to Unified Trading Company jest pośrednikiem.

Zapadło krótkie milczenie. Ani murzyn, ani John Rupert nie wyśmiali moich domysłów, więc mówiłem dalej:

- Na świecie brakuje wielu rodzajów materiałów rozszczepialnych służących do produkcji bomb atomowych. Z drugiej strony jest nadmiar suwerennych państw i terrorystów, którzy wiedzą, jak je skonstruować. Nie jest to nadzwyczaj trudne. Na szczęście nie starcza dla wszystkich chętnych wzbogaconego uranu i plutonu. Tych materiałów, jak wspomniałem, brakuje na całym świecie. A na listach w tym pakiecie, jestem tego całkowicie pewien, odnotowano, co jest dostępne na rynku. Po zakończeniu zimnej wojny znaczna część światowego potencjału produkcji bomb, mianowicie ta, którą dysponowała Rosja, została unieruchomiona i zamknięta pod kluczem. Dawny blok sowiecki, tak samo jak my, nie chce, żeby niebezpieczne substancje były łatwo dostępne, więc pilnie ich strzeże, ale wszędzie są złodzieje i spiskowcy. Gdyby ktoś taki jak wy uniemożliwił Unified Trading Company prowadzenie interesów, niebawem ich miejsce zajęłaby jakaś inna spółka.

- Jedna mniej to też coś znaczy - rzekł murzyn surowo.

Miał jasnoszare oczy, w których odbijała się szara chmura wisząca groźnie nad świetlikiem. Uznałem, że nie ma dość zapasu i energii, żeby napisać taką książkę o sztormach, która wbija czytelnika w fotel.

- Chce pan powiedzieć, że pana zdaniem powstaną niezliczone organizacje podobne do Unified Trading Company, podejmujące się roli pośredników i zapewne zgarniające olbrzymie prowizje? - upewnił się Rupert.

- Nie wiem, ile by ich było - odparłem. - Przepowiadam pogodę. Przypadkiem wplątałem się w handel uranem i chciałbym się wyplątać.

Mój protest padł na skalisty grunt i nie został wysłuchany.

- Listy w teczce wkrótce będą nieaktualne - zaznaczyłem. - Jeżeli to były wykazy, jeżeli kontaktowano ze sobą tych, którzy mieli dostęp do U-235, z tymi, których było na niego stać... no to za pół roku sytuacja się zmieni.

Murzyn uśmiechnął się słabo.

- Uznajemy, że widział pan najlepszą, najaktualniejszą listę dostępnych dóbr, jeśli można tak to nazwać. Chociaż zwykle stosujemy zasadę „powinien wiedzieć”, to jednak czasami nie mówimy ludziom rzeczy, których znajomość, jak się później okazuje, była im niezbędna, więc to, o co pana spytam, i ewentualnie to, o czym powiem, może być, ale nie musi być panu pomocne. Wyrażam się jasno?

Jak cholera, pomyślałem. Spojrzałem na zegarek. Autobusy nie jeżdżą regularnie w dni, kiedy w sklepach panuje od rana duży ruch, a poza tym pada. Pobiegnę, pomyślałem. Ach, moje biedne stopy.

- Nie spóźni się pan, nie ma obawy - rzekł Rupert. - Odwieziemy pana do BBC samochodem.

- Proszę pomyśleć - polecił murzyn. - Proszę się skupić. Najpilniej potrzebujemy z tego pakietu nazwisk tych, którzy chcą mieć, i tych, którzy mają. Czy pamięta pan jakiegokolwiek z tych nazwisk lub nazw?

Niestety pamiętałem tylko część jednej nazwy. Cokolwiek jest lepsze niż nic.

- Jeden z nagłówek zawierał słowo Hippostat. - Przeliterowałem je. - To może być nazwa toru wyścigowego.

- Możliwe. - Murzyn pokiwał głową. - Czy wie pan, gdzie teraz jest ten pakiet?

Jasno i wyraźnie rysował się w mojej pamięci Michael Ford, który wracał z drugiego bunkra, niosąc w jednej ręce licznik Geigera, a w drugiej teczkę. Zabrał jedno i drugie do samolotu i tam zostały.

Równie ostre było poczucie, że Michael Ford dołożył starań, żeby moje życie nie dobiegło przedwcześnie kresu. A może to Amy utrzymała mnie przy życiu, bandażując mi głowę. A może nawet Robin, niewysoki i przysadzisty, ale z głową na karku.

Z mieszanymi uczuciami udzieliłem murzynowi odpowiedzi i od razu poczułem się winny.

- Nie wiem, gdzie jest teraz ten pakiet - rzekłem. Kołatała mi po głowie myśl, że mógłbym przekonać członków tej grupy, żeby porzucili swoje praktyki i zerwali z nimi jak z nałogiem palenia papierosów, tyle że bardziej śmiercionośnym. Jeszcze wszystkiego nie przemyślałem, zaabsorbowany ratowaniem własnej skóry.

John Rupert, rozczarowany moim wycofaniem się w ostatniej chwili z postawy szczerego zaangażowania, dotrzymał słowa i sprowadził samochód z kierowcą, który miał odwieźć mnie na Wood Lane.

Pomiędzy popołudniowymi prognozami dodzwoniłem się do niego. Był wprawdzie uprzejmy, lecz nie okazał wcześniejszego zapału.

- Murzyn mówi, że w środku rozmowy przeszedł pan na stronę przeciwnika - powiedział. - Chciałbym wiedzieć dlaczego.

- Handlarze ze spółki mogli mnie z łatwością unieszkodliwić na zawsze. Przypomniałem sobie, że tego nie zrobili.

- Stary dylemat - rzekł znużonym głosem. - Jeżeli wierzysz w jakąś sprawę, to czy zabijasz przyjaciela, który w nią nie wierzy?

- Nie - odparłem powoli.

- Proszę pamiętać o naszym człowieku w Meksyku.

O aligatorach. Nie okazano mu litości. Kiedy będzie pan gotów, proszę zadzwonić. I nie czekać, aż będzie za późno.

- Teraz panu powiem - zacząłem i urwałem. Podjąłem znowu: - Jeżeli jest pan zainteresowany tematem radioaktywności. Cząsteczkami alfa na wyspie Trox.

- Spytałem o to wczoraj moje dzieci - rzekł, ożywiając się trochę. - Miał pan rację, uczyły się o promieniowaniu radioaktywnym w szkole.

- Mhm - mruknąłem. - Ale ludzie, którzy mieszkali na wyspie Trox, nie wiedzieli, że można, nie narażając się na niebezpieczeństwo, sprawić, że licznik Geigera będzie trzeszczał, jakby miał się rozpaść. Usłyszeli szybkie trzaski i odpowiednią historyjkę: trzeba stąd uciekać, te dziwne grzyby są radioaktywne, z ziemi pod domami wydobywa się gaz radon, ale my, wasi dobroczyńcy, Unified Trading Company, dopilnujemy, żebyście nie zostali skażeni radioaktywnością, tylko budynki i grzyby będą skażone, przyślemy po was wygodny statek, żeby zabrał was stąd w bezpieczne miejsce.

- Chce pan powiedzieć, że Unified Trading Company z rozmysłem nakłoniła wszystkich do opuszczenia wyspy?

Uśmiechnąłem się.

- Mieszkańcy wynieśli się tak szybko, jak tylko to było możliwe. Radioaktywność przeraża, bo nie widać jej ani nie czuć. Dlatego ludziom wydaje się groźniejsza, niż jest w rzeczywistości. W końcu się uspokoją, bo u nikogo nie rozwiną się objawy choroby popromiennej.

John Rupert podziękował mi dość chłodno za show Geigera-Miillera.

- I wie pan pewnie, jak brzmi pytanie, które pozostało bez odpowiedzi - rzekł.

Skinąłem głową i zadałem je:

- Dlaczego Unified Trading Company chciała mieć wyspę wyłącznie dla siebie?

Rozdział 8



Męczący wieczór skończył się wreszcie pod roz pogodzonym niebem. Pełni poświęcenia, wytrwali fanatycy fajerwerków puszczały trzeszczące ognie, które skrzyły jak tęczowe gwiazdy nad ociekającymi wodą ogródkami.

Wiedziałem, że babunia i Jett już śpią, kiedy wychodziłem z pracy. Ale nawet gdyby nie było tak późno, nie mogłem prosić o schronienie i drugi nocleg na sofie. Na jedną noc, owszem, należało przygarnąć utrudzonego podróżnika, ale druga byłaby zbytciem dobroci. Babunia nigdy nie lubiła długo się roztkliwiać.

Przeszedłem na piechotę pół mili dzielące mnie od domu - poddasza, teleskopu, chronometru i materaca na podłodze - głęboko wdychając wilgotne nocne powietrze i obiecując sobie, że na zawsze wykreślę dzień piąty listopada z kalendarza.

Kiedy zbliżałem się do progu swojego domu, mimo że już była północ, w kieszeni spodni zabrzączał mi cicho pager; właściwie to raczej wyczułem jego drżenie, niż go usłyszałem, bo często przebywałem w miejscach, gdzie wymagano ciszy. Mimo późnej pory Belladonna z ulgą odebrała mój telefon, a kiedy spytałem „gdzie jesteś”, zachichotała.

- W pokoju George’a Loricrofta. Tylko nie mów o tym Krisowi.

- Czy jest tam może pani Loricroft?

- Wszystko zepsułeś, Perry - powiedziała niezadowolona Bell. - Ma na imię Glenda i chce z tobą porozmawiać.

Glenda Loricroft, którą zapamiętałem niezbyt dokładnie z brzemiennego w skutki niedzielnego lunchu jako blondynę w obcisłym jasnoniebieskim sweterku, miała głos, który brzmiałby swojsko w uszach dziewczyny z Lancashire. Jej George, zwierzyła się, pojechał do Baden-Baden, a przynajmniej tak powiedział, ona zaś chciała się dowiedzieć, jaka tam jest pogoda.

- Poproszę Bell - powiedziałem, a kiedy ta znów wzięła słuchawkę, spytałem ją, dlaczego miałbym o tej porze wrócić do Centrum Meteorologicznego, żeby zdobyć tę informację.

- Perry, nie bądź dzieckiem! - skarciła mnie Bell. - Glenda myśli, że George zabawia się z jakąś Fraulein. Jeżeli podam ci dzień, godzinę i miejsce, powiesz jej, czy prawdziwa pogoda zgadza się z tym, co oznajmił jej kochaś?

- Nie, Bell, nic z tego nie będzie. To się nie uda. Wystarczy, że powie, że nie pamięta albo spał.

- Glenda mówi, że nigdy nie ma go tam, gdzie zapowiadał swój pobyt. Dziś powinien być w Baden-Baden na wyścigach, a jutro nie będzie wiedział, że padał tam śnieg.

- Przestań, Bell. Niech Kris to zrobi. Padam z nóg ze zmęczenia.

- Kris niczego nie robi. Mówi tylko o pociągach.

- Gdzie on jest? - spytałem z przestrawieniem. - Dlaczego mówi o pociągach?

- Gada o jakichś przełącznikach paliwa - rzekła lekko Bell. - Nie rozumiem go. Ty jeden potrafisz się połapać w tym, o co mu chodzi.

- No to znajdź go.

Mój ostry ton podziałał na nią jak ostroga.

- Przecież się nie zgubił! - wykrzyknęła.

- No to gdzie jest?

- Powiedział, że na dachu twojego domu. Przeszedłem przez dom w rozterce, wyszedłem na zimowy trawniczek na tyłach i spojrzałem w górę - jakżeby inaczej, Kris siedział okrakiem na pokrytym dachówką spadzistym dachu, opierając się o nieczynny komin z kruszącą się cegły.

- Zejdź na dół! - zawołałem. - Nie dam rady cię złapać!

- Widać stąd fajerwerki w całym Londynie! - krzyknął. - Chodź tu!

- Idę spać.

- George Loricraft nie jest w Baden-Baden - mówił śpiewnie Kris. - Oliver Quigley nie pokazał się ani w Berlinie, ani w Hamburgu, a mój teść na pewno stchórzył i wycofał się z Kolonii.

- O czym ty mówisz?! - zawołałem.

- Robin Darcy jest w Newmarket.

Wciąż słyszałem oddalony głos Bell w telefonie, więc przyłożyłem słuchawkę do ust i spytałem, czy słyszała, co powiedział Kris.

- Powiedział, że Robin Darcy jest tu, w Newmarket, i rzeczywiście jest, zatrzymał się w Bedford Arms. Co z tego? Kiedy ma coś do załatwienia w Anglii, często przyjeżdża spotkać się z tatą. Wybierają się jutro na wyścigi do Doncaster. To ostatnie biegi płaskie w sezonie. Połowa Newmarket tam będzie. Mój szef George wystawia konia dla mojego ojca w listopadowym handicapie, w głównym biegu dnia, a jutro w Baden-Baden nie ma żadnych wyścigów, cała ta historia jest wyssana z palca.

- Wróci do domu na śniadanie - powiedziałem na pocieszenie, na co Glenda jęknęła rozdzierająco, a Bell oskarżyła mnie o bezduszną.

Dość tego, pomyślałem.

- Bell, Glenda, rozłączcie się, proszę - rzekłem. - A ciebie, Kris, proszę, żebyś zszedł z dachu. Do zobaczenia jutro.

O dziwo zapadła cisza. Wszedłem do domu, a potem na górę do mojego pokoju na poddaszu, żeby porządnie się wyspać. Obudziłem się wczesnym rankiem i zobaczyłem w kuchennej niszy Krisa, który ziewając, polewał tajskim sosem curry serek tofu, co ostatnio robił z obrzydliwym upodobaniem.

- Dzień dobry - powiedział.

- Jak się tu dostałeś?

Spojrzał tak, jakby poczuł się dotknięty.

- Dałeś mi klucz przed Bożym Narodzeniem. Cofnąłem się pamięcią.

- Po to, żebyś zaczekał na fachowca od lodówki.

- Chcesz, żebym go zwrócił? - Kris odczytywał nalepki na butelkach z olejem paprykowym, który wyjął z papierowej torby. Specjalnie poszedł wczoraj do tajskiego sklepu, gdzie kupił także trawę cytrynową i suszone przyprawy.

Powiedziałem, że może zatrzymać klucz. A także korzystać z prysznica (już to zrobił, bo ręczniki były mokre) i oglądać telewizję (telewizor był włączony, ale wyciszony). Gdy jak zwykle biegłem do drzwi, śpiesząc się na przygotowanie porannego sobotniego programu - w którym podawałem prognozy dla sobotnich imprez sportowych (sucho, zimno i słonecznie na wyścigach w Doncaster, zacinające przelotne deszcze na międzynarodowym meczu piłkarskim na Wembley) - dojrzałem kątem oka, że Kris zaznacza swoje typy w mojej gazecie z wiadomościami z wyścigów i zabiera się za moją krzyżówkę.

Wrzuciłem na siebie ciepłą kurtkę i z wielkoduszą, która mogła się wkrótce skończyć, poprosiłem go jedynie o to, żeby wychodząc, zamknął drzwi.

- Sprawdziłem twój rozkład dnia - rzucił. - Jesteś wolny po prognozie sportowej. Lecę na wyścigi do Doncaster. Obok toru jest lotnisko. Polecisz ze mną?

W odpowiedzi na to pytanie zamknąłem drzwi i ruszyłem w dół po schodach. Jeżeli nie polecę, myślałem, Kris uzna, że to z powodu niespuszczonego podwozia i pustego zbiornika na paliwo, a biorąc pod uwagę jego rozhuśtaną psychikę, ta wyobrażona negatywna opinia mogła wyrobić w nim przekonanie, że nim gardzę i że nie ma przyjaciół. Na pytanie „czy jestem stróżem brata mego?” musiałem niestety zbyt często odpowiadać twierdząco.

Kiedy znalazłem się dwa piętra niżej, zawróciłem, choć już byłem spóźniony. Otworzyłem drzwi do siebie, a Kris stał za nimi, jakby cały czas na mnie czekał.

- Wpadnij po mnie na Wood Lane kwadrans po dziesiątej - powiedziałem. - Pamiętaj, co mówiła Bell. Robin Darcy będzie na wyścigach z jej ojcem.

Kris nie dał po sobie znać, że go to zaniepokoiło.

- Kwadrans po dziesiątej - powtórzyłem i pobiegłem. No cóż, raczej pokuśtykałem, chociaż stan moich stóp stale się poprawiał.

Lot z White Waltham do Doncaster przebiegł bez najmniejszych zakłóceń. Kris z przesadną starannością przeprowadził kontrolę przedstartową. Ta perfekcja nie była konieczna, jeżeli chciał tylko zrobić na mnie wrażenie, ponieważ uważałem (czego nie zamierzałem mu zdradzać), że jest znakomitym pilotem do pewnego punktu, poza którym zaczyna się śmiertelne zagrożenie i paniczny strach. Z dala od Trox i Odyna nie mógłbym się znaleźć w bezpieczniejszych rękach. Po tamtej przygodzie wyczuliłem się, wiedziałem, na co zwracać uwagę.

Doncaster miało taką pogodę, jaka byłaby wymarzona dla biednego Guya Fawkesa.

Omaliśmy nie spóźniliśmy na pierwszy bieg, bo program wyścigów zaczął się wcześniej z powodu krótkiego dnia, ale za to drugi bieg oglądaliśmy pod jasnym, żółtoszarym niebem, które wywoływało uśmiechy, wprawiało w dobry humor, a faworytów doprowadzało pierwszych do mety.

Kris i Bell zbliżali się do siebie i oddalali przez całe popołudnie w zawiłym tańcu godowym. Caspar Harvey przyglądał im się nachmurzony. George Loricroft przeszedł koło mnie z dumnie uniesioną głową, za nim zaś dreptała żona Glenda, wymawiając mu bezustannie Baden-Baden.

Rozdygotany Oliver Quigley chodził od właściciela do właściciela, przepaszając za przegrane konie, zanim jeszcze stanęły do biegu.

Ludzie gromadzili się wokół Krisa z prośbą o autograf.

- Nie przeszkadza ci, że częściej zwracają się do niego niż do ciebie? - spytała mnie Bell.

- Ależ skąd. - Nie po raz pierwszy szóstego listopada byłem raczej bombardowany ponurymi i pełnymi wyrzutu spojrzeniami młodych oczu niż oblegany przez kolekcjonerów autografów. Gdyby to mi przeszkadzało, zrezygnowałbym z pracy.

Rozejrzałem się i zwróciłem się do Bell:

- Przyjechałaś z ojcem i Robinem Darcym? Jakoś go jeszcze nie widziałem?

- Przyjechali samochodem - odparła krótko. - Powiedzieli, że chcą porozmawiać. A ja przyjechałam z Glendą, która doprowadza mnie do szalu. Oczywiście, że George nie pojechał do Baden-Baden, po co miałby tam jechać, kiedy wyścigi są tutaj? A te wszystkie inne miejsca! Nie daje mu spokoju.

- Jakie inne miejsca? - spytałem odruchowo, patrząc na chodzące po parkurze konie i jak zawsze podziwiając ich pełne gracji, naturalne piękno.

Bell wyciągnęła z kieszeni zielonego płaszcza nierówno oddarty różowy karteluszek i popatrzyła na niego, mrużąc oczy w jasnym świetle.

- Glenda mówi, że George potrafi się wy tłumaczyć z Budapesztu, bo mówi, że padał tam śnieg, tak samo mocno padało w Pardubicach w Czechach, śnieg przykrył Berlin, mróz ścisnął Warszawę i Hamburg, a on w żadnym z tych miejsc nie był, Glenda jest tego pewna. Więc co jest grane?

- Nie mam pojęcia.

- Nie zostawiaj mnie na pastwę Glendy, jeżeli się tu napatoczy - poprosiła Bell.

Zatrzepotała różowymi powiekami i uśmiechnęła się zniewalająco. Kris od razu przestał rozdawać autografy i wsunął swój długi tułów między mnie a swoją przyszlą, jak miał nadzieję, żonę.

Wyruszyli zadziwiająco zgodnie po kanapki. Spytałem przedtem, czy do nich dołączę, ale moją odmowę przyjęli z ulgą. Zostałem przy pokoju do ważenia dżokejów, rozglądając się za Robinem. Pożałowałem, że jednak nie poszedłem po kanapkę, kiedy Glenda - i jej donośny głos z Lancashire - zbliżyła się niczym fala sztormowa, przed którą nie ma ucieczki.

Jej błyszczące, ufarbowane na blond włosy były po oczach jak obrazy Andy'ego Warhola. Czterdzieści osiem identycznych Glend mogłoby się przyśnić w koszmarnym śnie o galerii sztuki.

Nieoczekiwanie przybył mi na odsiecz, a przynajmniej tak mi się zdawało, Oliver Quigley, który zaczął coś dukać u mojego boku, patrząc na Glendę wrogo i odpychając.

Rzadko słuchałem z troskliwą uwagą drżącego głosu trenera i nadstawiałem ucha na jego problemy, tak więc i teraz udałem jedynie zainteresowanie, pytając o stan zdrowia chorującej klaczy. Glenda mimo całego ożywienia zamarła i stała z otwartymi ustami, jakby czekała na odpowiedź Olivera - odniosłem nagłe wrażenie, że spotkały się dwie osobowości znacznie głębsze, niż początkowo, powierzchownie, sądziłem. W tych oczach z Lancashire dojrzałem bynajmniej nie zabawne błyski, zacząłem się też zastanawiać, czy to dygotanie

Quigleya nie jest maską człowieka wewnątrznie silnego, sposobem ukrycia żelaznych fundamentów, których nie chciał pokazywać innym.

Przypomniałem sobie przyjęcie i lunch, przypomniałem sobie dzień, w którym poznałem ludzi z Newmarket, wówczas zupełnie obcych, a teraz znajomych. Może wtedy pokazywali światu maski, a tak naprawdę, jak w przypadku Robina Darcy'ego, liczyło się to, co się pod nimi kryje.

- To wszystko przez ciebie - rzuciła niespodziewanie Glenda z jadowitą zawziętością i zacisnęła usta. - To ty zabierasz George'a do Baden-Baden, nie próbuj zaprzeczać. - Oskarżała Olivera. O mnie zapomniała zupełnie.

Oliver Quigley minę miał niepewną, lecz nie z powodu ignorancji, jak to widziałem w świeżej perspektywie, a raczej z powodu szoku, jaki wywołała Glenda, wyrażając otwarcie to, co powinno pozostać okryte tajemnicą i milczeniem.

- Nie próbuj mi wmawiać - ciągnęła ze złością - że nie pojechałeś z nim do Polski, do Niemiec i innych miejsc. Prawie cały czas padał śnieg i Perry mógłby to udowodnić, gdyby tylko zechciał...

- Glenda! - Oliver przerwał jej krótko, rzucając jedno słowo, które było ostrzeżeniem i groźbą zarazem, a ucinało niekończącą się, nerwową gadaninę.

- Tak, tak - rzekła Glenda lekceważąco. - Jesteś zły z powodu klaczy.

Obróciła się na wysokich obcasach błyszczących butów i odeszła, stąpając na czubkach palców. Quigleyowi odebrało mowę ze zdumienia, jakby stracił od jednego ciosu i miecz, i tarczę.

Przeniósł wzrok na mnie i chociaż było już na to za późno, bo został przejrany, wolał udawać, że niczego nie widziałem ani nie słyszałem. Zaczął od nowa dygotać. Jąkał się i zacinał, nie wypowiadając żadnego zrozumiałego słowa. Po chwili powrócił do odgrywanej przez siebie zwykle roli, kiwnął głową mniej więcej w moją stronę i, przebrany na własne życzenie w kostium wzdrygnięć, odkleił się ode mnie i oddalił. Po chwili widać było, jak rozmawia, potrząsając nerwowo ręką, z właścicielem klaczy Casparem Harveyem. Obaj zresztą byli niespokojni.

Nieco dalej pochylony Kris zniżał się do niskiego wzrostem, krągłego mężczyzny, w którym rozpoznałem z pewnym zaskoczeniem Robina Darcy'ego. Wiedziałem wprawdzie, że przyjechał do Doncaster z Harveyem, ale Robin Darcy we własnej osobie budził mój niepokój.

Ostatni raz widziałem go na wyspie Trox, ubranego w maskujący kombinezon i kask. Przyglądał się, jak Michael przenosi teczkę z bunkra do samolotu - sam też byłem świadkiem,

jak Michael niesie supertajny pakiet, który stał się podobno przyczyną śmierci nieostrożnego meksykańskiego agenta.

Patrzyłem, jak Robin poklepuje przyjaźnie Krisa po ramieniu i nie jest odręczany. Normalnie mój przyjaciel wzdrygał się przed każdym dotknięciem, nawet gdyby wyciągnęła do niego rękę Bell, ale jeżeli on wyciągał rękę i dotykał - to co innego.

Kris, pomyślałem bez entuzjazmu, koniecznie chciał przysłużyć się Robinowi i dlatego zboczył z kursu i poleciał na Trox. Kris lubił sprawiać przyjemność Robinowi, musiałem o tym pamiętać.

Pograżyli się na chwilę w ożywionej rozmowie. Kris potakiwał. Na pożegnanie podali sobie ręce. Patrząc na to, zadałem sobie pytanie, czy powie mi, o czym rozmawiali. Sądząc po wcześniejszych podobnych sytuacjach - raczej nie.

Oparłem się o barierkę otaczającą pokój do ważenia zawodników i placyk, na którym rozkulbaczano zwycięzcę, i udawałem, że przechodzący trenerzy i dzokoje interesują mnie o wiele bardziej niż to, co miała do powiedzenia Glenda. Stałem rozleniwiony na słońcu i, jak nieraz robiłem, pozwoliłem myślom płynąć swobodnie i chaotycznie, aż „Baden-Baden”, „Polska” i „śnieg” narzuciły mi się natrętnie, jakby miały jakieś znaczenie, a znaczenie to wiązało się z Glendą i klaczą.

Głowa Glendy kołysała się w oddali. Glenda była zazdrosna o Quigleya i Harveya...

Bzdura, pomyślałem. Kiedy klacz zachorowała, Harvey przeniósł inne konie od Quigleya do jej męża, Loricrofta, i miałem wątpliwości, czy taki obrót sprawy był zgodny z jej oczekiwaniami.

Niespodziewanie, jak to się nieraz zdarza w niewyjaśniony sposób, kiedy błądzący umysł rozjaśnia olśnieniem pustkę, pewne słowo pojawiło się w moim umyśle tak wyraziście, że wprost pojąć nie mogłem, dlaczego nie przyszło mi do głowy wcześniej. Słowo to było częścią nagłówka w jednym z listów w teczce na Trox. Wydawało mi się, że pamiętam tylko Hippostat, ale teraz przypomniało mi się coś jeszcze - pewnie ważniejszego - adres, chociaż nie był pełny i dokładny.

Rennbahn.

Baden-Baden Rennbahn. Tralalala-bum.

Rennbahn, napisane szwabachą.

Zrobiłem coś, co jeszcze godzinę temu uznałbym za niemożliwe - umyślnie zaszedłem drogę Glendzie. Myślami była gdzie indziej. Zaczepiła modnym butem o moją nogę.

Bąknęła pod nosem „Baden-Baden”, nie zwracając na mnie uwagi, ale to się od razu zmieniło, kiedy zaproponowałem, że w każdej chwili na jej życzenie sprawdzę, jaka była i jest pogoda w dowolnym miejscu na świecie.

- Naprawdę? - spytała, a jej oczy, głos i umysł wyostrzyły się natychmiast, objawiając trzeźwe skupienie zupełnie nie pasujące do błyszczących włosów.

- Nie mogę tego zrobić przed poniedziałkiem - dodałem. - Dopiero w poniedziałek będę miał dostęp do właściwego komputera.

- Bell mówi, że jesteś kierownikiem działu prognoz krajowych - zaproponowała. - Na takim stanowisku możesz chyba robić, co chcesz.

Sprostowałem, że jestem tylko zastępcą kierownika, i pomyślałem, że nie będę korzystał z żadnych faworów, żeby osiągnąć bardzo wątpliwe, moim zdaniem, rezultaty. Uśmiechnąłem się przepaszająco do Glendy i wyjaśniłem zgodnie z prawdą, że główny komputer uruchamia się jedynie w niedziele, kiedy jest to konieczne i uzasadnione. A poszukiwań zaginionego męża nie uznano by za konieczne i uzasadnione.

- A po co on jeździ do Baden-Baden i innych miast? - spytałem luźno.

- Jak to po co? Na dziewczynki! Dam ci listę. - Błyszcząca Glenda nie była głupia. - We wszystkich tych miastach są tory wyścigowe. Pewnie nie wiedziałeś.

- Nie - przyznałem. - I wszystkie są w Niemczech?

- Bystry chłopak! Wszystkie nie, ale większość tak.

- A twój mąż wystawia tam konie?

- Przecież już mówiłam, że tak właśnie twierdzi. Opowiada, że wyścigi zostały odwołane z powodu śniegu, ale ja ci mówię, że śnieg wcale nie pada wtedy, kiedy on mnie o tym zapewnia.

- Sprawdzę to dokładnie - obiecałem.

Wyjęła z torebki kopię listy, którą wcześniej dała Bell. Przejrzałem ją pobieżnie i schowałem do kieszeni.

- Baden-Baden - powiedziała. - Bzdura.

Stałem tak blisko niej, że czułem jej alkoholowy oddech i widziałem kropeczki czarnego tuszu na końcach sztywnych rzęs. Błyszczące blond włosy miały maleńkie czarne odrosty.

- Rozwiódę się z George'em - powiedziała nagle ze złością. - Będzie miał nauczkę.

Straciłem nagle chęć rozgryzania zawitych i niszczyielskich osobowości w Newmarket. Spędziłem godzinę na Listopadowym Handicapie, podpatrując, jak się kręci ten

jakże odmienny, fascynujący świat wyścigów. Wygrałem przy tym małą sumkę, kiedy koń Harveya, typowany na drugim miejscu, dobiegł do mety trzeci.

Nie byłem pewien, czy Robin Darcy z rozmysłem mnie unika, w końcu jednak spotkaliśmy się i to najzupełniej przypadkowo - obróciliśmy się jednocześnie i stanęliśmy twarzą w twarz.

Obaj mieliśmy wiele godzin na przygotowanie do tej rozmowy. Powiedzieliśmy sobie wszystko, co należało w tej sytuacji powiedzieć. Wyraziłem żal z powodu utraty pięknego samolotu, on zaś okazał radość, że obaj z Krisem przeżyliśmy katastrofę. Podziękował mi za list, który przesłałem z lotniska w Miami pół godziny przed odlotem do Anglii. Wyraziłem nadzieję, że sam miał przyjemną podróż, i dowiedziałem się, że przybył do Newmarket poprzedniego dnia.

Zachowywał się po przyjacielsku. Podał mi rękę. Zaprosił mnie do siebie i Evelyn z wizytą. Chciałem się go spytać: „Gdzie jest teczka? Komu sprzedasz następny kawałek bomby, następny element do przetargów i nacisków?”

W brązowych oczach za okularami w dużych czarnych oprawkach czaiło się pytanie i odpowiedź: „Czy Perry Stuart czytał listy w teczce? To niemożliwe. Nie mógł przecież otworzyć sejfów. Słyszał hasło, Hereford, ale to słowo nic dla niego nie znaczyło”.

Chciałem powiedzieć: „Dziękuję wam za to, że pomyśleliście o zawiązaniu mi oczu”, i wyczytałem odpowiedź: „Nawet nie wiesz, jak mało brakowało, żebyś dostał kulkę w łeb”.

Zastanawiałem się, co powiedział Krisowi... czego od niego oczekiwał.

Wolałbym, żeby Robin Darcy był moim sprzymierzeńcem, nie wrogiem. Urodzony spryciarz. Czemu taki człowiek handlował śmiercią?

Zbyt wielu sprytnych ludzi handluje śmiercią.

Skinął głową i odszedł kawałek dalej, gdzie Caspar Harvey, bystry, lecz niegrzeszący błyskotliwością, zbierał ciepłe pochwały za trzecie miejsce, jakie zajął jego koń w Listopadowym Handicapie. Tylko wygrana zadowoliłaby jego ambicje i pragnienie pokonania przeciwników. Pomyślałem, że Oliver Quigley ściąga burzę, kiedy w obecności Caspara oznajmił, że gdyby zastosowano jego metody treningu, a dżokej słuchał jego poleceń, to koń by wygrał.

Po sześciu gonitwach, gdy razem z Krisem wróciliśmy na lotnisko, wzmógł się wysiłek fizyczny ostatnich dziesięciu dni dał o sobie znać tak, że nie byłem już sobą, myślącym i spostrzegawczym człowiekiem, a raczej zużytą baterią. Długie minuty minęły na żegnaniu się z większością towarzystwa z Newmarket na parkingu w pobliżu lądowiska, a

kiedy Kris kołował, przygotowując się do startu, zacząłem przysypiać. Ostentacyjnie zmienił zbiornik paliwa. Udałem, że tego nie widzę.

Tej soboty, ponieważ ze względu na porę roku miało nam zabraknąć dziennego światła przy lądowaniu, umówił się ze znajomym w wieży kontrolnej na lotnisku White Waltham, że ten wystawi na pasie lampy zasilane bateriami samochodowymi, aby oświetlić mu drogę lądowania, gdy nadleci po cichu około piątej po południu, pół godziny po herbacie z grzanką.

Byliśmy w powietrzu, daleko na południe od Doncaster, kiedy Kris zbudził mnie potrząśnięciem.

- Przepraszam - powiedziałem, ziewając i sięgając po mapę. - Gdzie jesteśmy? - Było jeszcze na tyle jasno, że widziałem drogi, rzeki i koleje. - Nie ma problemu z orientacją - dodałem. Kris zawsze latał po prostej.

Jednakże mojego towarzysza nie martwiło to, że się zgubił, martwił go olej na przedniej szybie.

- Co? - spytałem tępo.

- Olej. Na przedniej szybie. Perry, obudź się. Gwałtowność, z jaką wypowiedział ostatnie trzy słowa, dotarła do mnie z całą ostrością. Naprawdę się obudziłem. Serce skoczyło mi w piersi.

Zobaczyłem na szybie ciemnozłote, cienkie jak nitki linie, do których dołączały coraz to nowe, biegnące i rozchodzące się z dołu do góry!

Przerażeni, zrozumieliśmy, co się dzieje. Gorący olej, który powinien krążyć wewnątrz obudowy silnika, smarując cztery łomoczące tłoki, w niewyjaśniony sposób wydostawał się na zewnątrz i sunął kroplami w tył i do góry przez szparę w osłonie silnika, a potem trafiał na przednią szybę. Tam zaś stopniowo rozchodził się i miał niebawem pokryć ją całą, oślepiając pilota.

Sam olej nie był stary, brudny, koloru brunatnego, jakby czyścił wewnętrzne powierzchnie silnika przez wiele godzin lotu. Kris dbał o swoją ukochaną maszynę i regularnie zmieniał olej. Na przednią szybę wyciekał czysty olej zmieniony przed lotem na lunch do Newmarket.

- Boże święty - jęknął Kris. - Co my teraz zrobimy?

- Trzymaj kurs - odparłem odruchowo - żebyśmy wiedzieli, gdzie jesteśmy.

- Z tym najłatwiej. Ale co będzie, kiedy cały olej wycieknie? Suchy silnik się zatrze. - Raptem zaczął mówić z komiczną beztroską. - A jak wylądujemy, nie widząc, gdzie lecimy?

- A może byśmy stłukli szybę? - zaproponowałem.

- Daj spokój, Perry. - W jego głosie zabrzmiał sarkazm i fatalizm. - Szyba jest z hartowanego szkła, żeby wytrzymała uderzenie ptaka. A nawet gdyby udało się ją rozbić, chociaż nie wiem czym, mielibyśmy pokaleczone twarze, musielibyśmy mieć gogle, jak w czasach Tigera Motha, a w ogóle lecielibyśmy za szybko. To tak, jakby znaleźć się twarzą w twarz z huraganem kategorii trzeciej, tego się nie da zrobić.

- Trudno - odparłem. - Trzymaj kurs i wysokość. Musimy znaleźć jakieś duże komercyjne lotnisko otwarte do późna w sobotę po południu.

- Świetnie. - Spojrzał na mnie z ukosa. - A jak je znajdziemy?

- Bułka z masłem. - Tym razem, jak stwierdziłem z uczuciem ogromnej wdzięczności, mieliśmy kontakt radiowy ze światem zewnętrznym, a także mapę lotniczą podającą częstotliwości radiowe lotnisk. Nie mieliśmy spadochronów ani katapult - wszystkiego mieć nie można. - Leć prosto - powiedziałem Erisowi. - Sprowadzę nas na lotnisko.

- Ty sprowadzisz nas na dół, a ja nas rozbiję - zażartował. Cholerne głupia śmierć, pomyślałem. Oślepieni przez olej... gorzej byłoby tylko wtedy, gdybyśmy włączyli wycieraczki, które rozmasowałyby go grubą, nieprzerwaną warstwą, podczas gdy teraz przynajmniej mogliśmy pomiędzy strużkami dojrzeć daleko w dole ziemię.

Daleko w dole. Kris ulegał pokusie wytracania wysokości, żeby lepiej widzieć ziemię, ale wysokość dawała nam większe szanse na czysty odbiór radiowy po nawiązaniu łączności z jakimś lotniskiem.

- Wejdz wyżej - poprosiłem.

- To mój samolot, do cholery!

- A to moje cholerne życie.

Potrzebne nam było duże lotnisko i to jak najszybciej, no i los się do nas uśmiechnął. Spytałem Krisa z przekąsem, czy ma coś przeciwko Luton, leżącemu wprost przed nami.

- Żartujesz! Prawdziwe, tętniące życiem lotnisko? Niech skonam.

Powiedziałem przez radio rejonowemu kontrolerowi o wycieku oleju i powiadomiłem go, że zmierzamy do Luton, odległego około trzydziestu mil. W Luton zapadła pełna niedowierzania cisza na wieść, że nie mamy żadnej pomocy radiowej poza samym radiem, a potem usłyszeliśmy spokojną ocenę naszych szans (ponoć niewielkich) od usłużnego pracownika wieży kontrolnej, który powiedział, że może nas nakierować na pas i wszystkich z niego usunąć, ale reszta zależy od nas.

Podał nam prywatną częstotliwość, na której mogliśmy rozmawiać z nim bezpośrednio, nie zakłócając rozmów z pilotami innych samolotów.

- Kiedy chwilę się zastanowić, to może lepsze od pociągów! - zawołał do mnie Kris, szczerząc się w uśmiechu. W obliczu prawdziwego śmiertelnego zagrożenia dostał maniackiego odlotu.

- Pilot ze skłonnościami samobójczymi to ostatnia rzecz, jaka jest mi teraz potrzebna - powiedziałem.

- To może być ostatnia rzecz, którą dostaniesz.

- Nigdy ci tego nie wybaczę.

Człowiek z Luton powiedział nam prosto do ucha:

- Mamy tu starą maszynę D/F. Umiecie latać QDM?

Kris powiedział, „jasne”, a ja „tak”, chociaż obaj powinniśmy powiedzieć „potwierdzam”, mimo że w moim przypadku ta odpowiedź nie byłaby prawdą. Skrót D/F oznaczał Direction Finding, namierzanie, skrót QDM zaś był kodem powietrznym sygnalizującym prośbę o podawanie namiarów i moja wiedza na tym się kończyła. Kris, dzięki Bogu, wymamrotał, że raz, przed laty, podchodził do lądowania systemem QDM, kiedy się zgubił. Czy pamiętał procedurę?

Odpowiedział, że niezbyt dokładnie. Uważał to za żart. Cały on.

Nasz pomocnik w Luton z rezygnacją polecił mi nacisnąć przycisk „nadawanie” i nie mówić, potem skrócić w lewo i po dwóch minutach znów coś nadać. Zorientował się w ten sposób, którym jesteśmy punkcikiem na jego tarczy i jak powinniśmy sterować, żeby do niego dolecieć, ale nie potrafił powiedzieć, w jakiej jesteśmy od niego odległości, i mógł się o tym przekonać dopiero wtedy, kiedy znajdziemy się tuż-tuż.

Powiedzieliśmy mu, że on może nas zobaczyć, ale my nie. Olej wyciekał coraz szybciej. Widoczność z przodu mieliśmy ograniczoną niemal do zera. Boczne okna zaczynały matowieć, drobne krople uciekały w tył, rozmazując się w smugi.

Leciliśmy prosto do lotniska w Luton, wspierani fachową pomocą, Kris pilotował według instrumentów jak urodzony pilot i cały czas opowiadał kiepskie dowcipy. Na ziemi zaczęły pokazywać się światła - widoczne przez przezroczyste fragmenty szyb wzdłuż dolnych krawędzi bocznych okien. Strumyk dowcipów Krisa wysechł, kiedy operator radiowy poprowadził go starannie po trasie przypominającej wyrysowaną na niebie gruszkę i ustawił cherokee na jednej linii z pojedynczym szerokim pasem, który leżał milę przed nami.

Pas biegł z zachodu na wschód. Mieliśmy lądować w kierunku zachodnim, pod wiatr.

Z przerażeniem uzmysłowiłem sobie, że lądowanie w stronę zachodu oznacza zwrócenie się twarzą do zachodzącego słońca. Ostatnie promienie padły na olej i przednia szyba zajaśniała złotym blaskiem - podniecającym, pięknym i złowieszczym.

- O rany - powiedział Kris. - Napiszę wiersz.

- Nie teraz.

- Zmów pacierz.

- Skup się na lądowaniu.

- Wylądujemy tak czy siak.

- Byle szczęśliwie. Uśmiechnął się od ucha do ucha. Usłyszeliśmy głos z wieży kontrolnej:

- Widzę was wyraźnie. Spuścić klapy. Zejść do dwustu stóp. Trzymać kierunek. Wziąć poprawkę na boczny wiatr z lewej o prędkości dziesięciu węzłów.

Kris sprawdził, czy ustawiłem wysokościomierz zgodnie z położeniem lotniska w Luton nad poziomem morza, spuścił klapy - części skrzydeł, które zapewniają większe wznoszenie przy małej prędkości.

- To nie Odyn - powiedział. - Właściwie szkoda. Przydałoby się miłe ciepłe morze, do którego można by spaść.

Pomyślałem to samo. Olej oblepiał okna coraz grubszą warstwą.

- Jesteście na wysokości około stu stóp - usłyszałem przez radio. - Pas jest na wprost przed wami. Widzicie ziemię?

- Ani cholery - odparł Kris, niezgodnie z podręcznikiem pilotażu.

Przymknął przepustnice, żeby osiągnąć normalną prędkość lądowania, i trzymał kurs na wprost.

- Leć prosto - powiedziała wieża. - Dobrze. Zmniejsz moc. Nie, dodaj mocy. Tak trzymaj. Zmniejsz moc. Opadaj. Wyprostuj ster. Powiedziałem wyprostuj. Wyprostuj.

Lecąc z prędkością lądowania, uderzyliśmy bardzo mocno w ziemię i odbiliśmy się od niej, czując wstrząs we wszystkich kościach, a nawet w oczach, jakby miały nam wypaść z orbit.

Prędkościomierz wskazywał 80 mil na godzinę, za szybko zwalnialiśmy. Przy prędkości 60 mil na godzinę lecieliśmy za wolno i skrzydła nie utrzymałyby nas w powietrzu.

- Dodać mocy! - krzyknęła wieża. - Dodać mocy... wyrównać... ster na lewo!

- Cholera, nic nie widzę - powiedział Kris, zgrzytając zębami po wstrząsie, jaki odczuły nasze ciała.

- Dodać mocy. Mocy!

Kris otworzył przepustnicę i trzymał dziób samolotu równo, ale znów uderzyliśmy w ziemię z potwornym impetem, tyle że tym razem odbiliśmy się od trawy, nie od twardego

pasa, i pędziliśmy Bóg wie dokąd ze śmiertcionośną, lecz niezbędną prędkością, która utrzymywała nas w powietrzu i umożliwiała lądowanie dające szanse na przeżycie. Zachodzące słońce wciąż zalewało nam oczy czerwonożłotym blaskiem.

- Do diabła z tym wszystkim - powiedział Kris i przyciągnął do siebie drążek przepustnicy, odcinając dopływ paliwa i zatrzymując silnik, co byłoby w porządku, gdybyśmy dotykali kołami ziemi i gdyby nie te dziesięć stóp albo więcej, które nas od niej dzieliło.

Normalnie lądowanie Krisa składało się z gładkiego płynięcia z uniesionym dziobem, a potem miękkiego dotknięcia kołami ziemi. Tym razem przy alarmująco gwałtownym spadku prędkości, przez co Kris tracił kontrolę nad samolotem, znów uderzyliśmy w ziemię i znów odbiliśmy się w powietrze, a potem jeszcze raz i jeszcze, coraz wolniej i wolniej, odbijając się na coraz mniejszą wysokość, ale pod złym kątem, przez co koła nie trzymały się ziemi.

Kris instynktownie pociągnął do końca drążek sterowy, unosząc dziób, aż do przeciągnięcia skrzydeł, a ponieważ samolot stracił siłę nośną, śmigło opadło i zaryło w ziemi. Rozległ się zgrzyt i łomot metalu, a dwa bezwładne ciała obijały się po kabinie. Raptem samolot ostatecznie stanął, z zadartym i wskazującym niebo kadłubem i ogonem.

Cisza. Znieruchomienie. Dzwonienie w głowie.

Uratowaliśmy się jakimś cudem, dzięki wspaniałemu pilotażowi, i nie upłynęła minuta, kiedy otoczyły nas wozy strażackie z pianą, karetki i auta policyjne oraz połowa hrabstwa Bedfordshire, która słuchała na tak zwanej „prywatnej” częstotliwości, jak radziliśmy sobie w opresji.

Rozdział 9



Kris stracił przytomność po ostatnim wstrząsie, po którym stanęliśmy, i wychylał się z fotela, na wpół wisząc na pasie, na wpół leżąc na drążku sterowym. Ja zaś czułem w piersi trzeszczący, sprężynujący opór, który mnie dezorientował, ale nie pozbawiał możliwości ruchu i w żadnym razie nie mógł powstrzymać od próby otwarcia drzwi, czego niestety nie udało mi się dokonać, ponieważ były wygięte.

Zacząłem mętnie myśleć „pożar”, „cholera, mamy paliwo w obu zbiornikach na skrzydłach” i pocieszałem się, jak mogłem, w tym duchu, ale tłum ratowników wyważył drzwi, ostrożnie i dość szybko wydobył nas z przechylonej w dół kabiny, a otaczające nas wycieki paliwa pośpiesznie pokrył pianą.

Kris ocknął się, jęcząc, a słysząc własny jęk, umilkł i uśmiechnął się słabo. Kiedy zaś wśród uniformów pojawiła się pierwsza ekipa z kamerą i mikrofonem, przestał się interesować żywymi i skierował pełne troski spojrzenie na swój rozbity skarb, którego nie pozwalano mu obejrzeć z bliska.

Mógłbym mu wymienić oczywiste uszkodzenia: połamane przednie koło, trzy pęknięte opony i pocięte łopaty śmigła.

Stałem na trawie, dygocząc, a czyjeś dobre ręce zarzuciły mi na ramiona koc. Patrzyłem, jak Kris przegrywa walkę z sanitariuszami i innymi łagodnymi formami ograniczenia ruchu.

Pomyślałem, że pytanie, dlaczego olej wyciekł z silnika, będzie nieuchronnie jednym z pierwszych, jakie zostaną zadane, ale odpowiedź na nie zostanie udzielona na końcu.

Nie wiem, dlaczego mój umysł w sytuacjach kryzysowych czasami się wyostrzał i rozjaśniał, w każdym razie właśnie wtedy przypominałem sobie nagle o przyjacielu Krisa, który miał wystawić światła do lądowania na White Waltham. Nasz wybawca z wieży w Luton, schodząc z wysokości swojego posterunku, obiecał go zawiadomić, a więc dobre i złe wieści rozejdą się szeroko, odbierając nam szanse na skromne wyparcie się całej historii. Na lotnisku White Waltham zahuczało od plotek i wszyscy zgodnie orzekli, że meteorolodzy mają dziewięć albo nawet lepiej - dwadzieścia dziewięć żywotów.

Kiedy mijali mnie sanitariusze niosący na noszach - wbrew jego woli - Krisa, ten nakazał mi zostać przy cherokee aż do śmierci (a raczej aż do przewiezienia na złomowisko), ponieważ wyciek oleju nie mógł ujść jego czujnym oczom podczas drobiazgowej kontroli przed lotem. Sam zresztą patrząc, jak odnoszą mojego protestującego przyjaciela do środka dalszego transportu, zdawałem sobie sprawę, że przecież kilka godzin wcześniej dolecieliśmy szczęśliwie do Doncaster, z nienaruszonym zapasem oleju w silniku.

Zdjąłem koc z ramion i oddałem go obojętnie załodze ambulansu, a potem, osłaniając dłonią moją zbyt łatwo rozpoznawalną twarz, wmieszałem się w tłum gapiów. Nie tylko Kris chciał się czegoś dowiedzieć, ja także byłem pełen ciekawości i niepokoju. Gdyby nie radionawigator i jego operator w wieży kontrolnej w Luton oraz odważne, „dam z siebie wszystko”, pół lądowanie, pół kraksa Krisa, BBC straciłoby na zawsze dwóch synoptyków, w dodatku w piękny bezchmurny wieczór.

W końcu stało się to, co stać się musiało - obaj z Krisem padliśmy łupem prasy, udało mi się jednak zostać przy samolocie do czasu, kiedy przyjechał dźwig, za co mój przyjaciel na drugi dzień (po wyjściu ze szpitala) podziękował mi zdawkowo, po czym spytał, czego się dowiedziałem.

- Kiedy... hm... wylądowaliśmy, w silniku nie było prętowego wskaźnika poziomu oleju - odparłem.

Kris spojrzał na mnie dziko. Siedzieliśmy u mnie na poddaszu obłożeni niedzielными gazetami, które przyniósł ze sobą. We wszystkich późniejszych wydaniach pisano o nas na pierwszej stronie, zamieszczając jedno lub dwa zdjęcia zarytego dziobem wraku oraz nasze korzystne ekranowe wizerunki, nie żałując należnych pochwał w związku z opisywaną niedawno ucieczką z rozbitego przez cyklon samolotu. Aż dwie kraksy w ciągu dwóch tygodni - to za wiele.

- To nie był błąd pilota - zapewnił Kris, z rozmysłem omijając krepujący temat zbiorników z paliwem. - Widziałeś, jak używałem wskaźnika wczoraj rano przed startem. Wytarłem go i wsunąłem do miski olejowej, upewniając się, że jest dość oleju, no i było go dość. Odłożyłem wskaźnik na miejsce, zabezpieczyłem i nie mieliśmy żadnego wycieku oleju w drodze do Doncaster.

- Nie - przyznałem.

- W Doncaster nie sprawdzałem poziomu oleju. Powiedz, że tego nie zrobiłem, bo nie odlecieliśmy daleko od White Waltham. Podobnie nie sprawdzałem oleju przed powrotem do Newmarket. Nikt nie sprawdza oleju po tak krótkim locie.

- Na pewno w Doncaster nie brałeś ani nie odkładałeś na miejsce wskaźnika oleju - potwierdziłem.

- Przysięgłbyś, że tak było?

Przysypiałem w Doncaster, ale dałbym głowę, że Kris zrobił wszystko jak najstaranniej, podobnie jak ja w Odynie, i omal się przez to nie utopiłem.

W Doncaster Kris nie miał powodu do zdenerwowania. Skala strachu wskazywała zero. Nie zrobiłby tak elementarnego błędu.

Trzeba było wziąć pod uwagę jedyną drugą możliwość. Skoro nie on, to ktoś inny zabrał wskaźnik w Doncaster i nie odłożył go na miejsce.

Kris potrząsał przecząco głową na każde pytanie dotyczące Robina Darcy'ego, ale w dobrym humorze zebrał gazety i zszedł po schodach, tyle że wolniej niż zwykle, bo lekarze

ostrzegli go przed zawrotami głowy po wstrząśnieniu mózgu. Czując mocne ukłucia przy wdechu, przyznałem się wreszcie przed sobą, że musiałem złamać w Luton parę żeber.

Dobrze mnie tam potraktowano, niewątpliwie z powodu mojej pracy w Centrum Meteorologicznym, i dowiedziałem się, ile mieliśmy szczęścia, ponieważ jedyny szeroki pas i całe lotnisko leżały na wzgórzu nad miastem. Kontrolerzy lotów patrzyli przerażeni, jak po pierwszym ciężkim odbiciu cherokee zbacza z kursu - pędziliśmy po trawie w kierunku stromego zbocza, kiedy Kris postanowił gwałtownie zatrzymać samolot.

Zapewniono mnie, że cherokee będzie bezpieczny w hangarze i pozostanie tam do czasu, aż przyjadą inspektorzy powypadkowi, żeby spisać raport. Następnie poproszono mnie, żebym nie wspominał nikomu o braku wskaźnika paliwa. Zapewniłem, że będę siedział cicho jak grzyby w lesie.

Zadzwońiłem do babuni i rozproszyłem jej lęki, kładąc kres ciarkom przerażenia. Stopy Stuarta, zapewniłem, przeszły niejedno, ale szczęśliwie stanęły na twardej ziemi. Usłyszała w moim głosie bez troskę i zrozumiała ją bezbłędnie.

- Kiedyś możesz nie wyjść cało z opresji - rzekła z troską. - Noś kamizelkę kuloodporną.

W poniedziałek rano ustąpiliśmy miejsca na pierwszej stromej dziedzicze, która uciekła z narzeczonym, i nie mogłem już dłużej udawać, że nie mam połamanych żeber. Może dwa, pomyślałem, nie więcej. No i nie miałem przebitych płuc, co byłoby najgorsze.

Raz już tak samo się poturbowałem, spadając z góry w Walii. Wówczas wizyta u lekarza skończyła się poradą „zaciśnąć zęby i łykać aspirynę”; porada ta wydała mi się równie stosowna po przygodzie w Luton, z tą różnicą, że teraz miałem dla rozrywki sprawdzać opady śniegu w Europie.

Wyglądało na to, że Glenda, o dziwo, ma rację. Jeżeli jej dominujący mąż George podawał niskie temperatury jako zasłonę dymną miłostek, to nie wspominając już kwestii wierności, mijał się z prawdą.

Sporządziłem listę zanotowanej temperatury powietrza i opadu śniegu we wszystkich podanych miastach i miasteczkach, ale nic się nie zgadzało. Albo Glenda, albo George, albo oboje grali w zimowe gry.

Zadzwońiłem do Belladonny, przypuszczając, że zastanę ją przy śniadaniu, po porannej jeździe. I rzeczywiście złapałem ją razem z Loricroftem i Glendą, jak jedli płatki śniadaniowe w kuchni Loricrofta. Odniosłem wrażenie, że trenerzy koni wyścigowych pół życia spędzają w kuchni. W zimie jest tu ciepło, wyjaśniła Bell.

Kris odmówił pójścia na zwolnienie lekarskie, dodała, i miał zapowiadać pogodę w Radio 4, zgodnie z programem. Powiedział jej też, że przez najbliższe pięć dni, zaczynając od poniedziałku, ja będę przedstawiał telewizyjną prognozę po wieczornych wiadomościach o szóstej i dziewiątej.

- Mhm - mruknąłem. - Czy ty i Glenda znajdziecie dla mnie chwilę jutro rano? Wybieram się do was.

- Dobra wiadomość dla Glendy? Chcesz z nią porozmawiać? Przyjdiesz z Krisem?

- Może dobra. Może chcę. Bez Krisa.

- Chwileczkę - powiedziała Bell i zakryła dłonią słuchawkę, pytając zapewne szefa i jego żonę, co myślą o mojej propozycji. Po chwili odezwała się: - Perry? Pasuje ci środa? George mówi, że jeśli przyjdiesz wcześniej, będziesz mógł popatrzeć na jego konie skaczące przez przeszkody na torze szkoleniowym.

Zrozumiałem, że spotkał mnie spory zaszczyt i nie wypada odrzucić zaproszenia - umówiłem się więc na ósmą trzydzieści we środę, chociaż wolałbym pojechać dzień wcześniej.

A do tego czasu... Do tego czasu na pierwszym miejscu była Jett van Els, której trzeci tydzień z babunią dobiegł końca w poniedziałek rano. O dziesiątej zamieniała się miejscami z kolejną „kochaną dziewczyną” babuni, a o pierwszej miała się spotkać ze mną w barze kanapkowym.

Przyszła ubrana nie w dobrze mi znany uniform pielęgniarki, ale w czarne spodnie, gruby biały sweter i szeroki w ramionach czerwony płaszcz z czarno-złotymi guzikami. Powitałem ją ze szczerym podziwem, ona zaś rzekła:

- Złe się czujesz.

A ja i tak ją pocałowałem.

- Jestem pielęgniarką i widziałam niejedną pobladłą twarz - przypomniała.

Więcej na ten temat się nie rozwodziła, powiesiła płaszcz koło naszego stolika i rzuciła okiem na menu.

- Gdzie będziesz teraz pracować? - spytałem, wybierając ciemne pieczywo, żółty ser i pikantny sos chutney, ale nie dbając o to, co będę jadł.

- Mam tydzień wolnego, a w przyszły poniedziałek wracam do pani Mevaggissey. - Mówiła spokojnie, jakby taki rozkład zajęć był czymś zwykłym. A przecież normalnie pielęgniarka, jeżeli wracała, to nie wcześniej niż po upływie miesiąca.

- Zgodziła się? - spytałem, unosząc brwi. Jett uśmiechnęła się, widząc moje zdziwienie.

- Twoja babcia ostrzegała mnie, żebym ciebie nie polubiła, bo jesteś uosobieniem niestałości, tak mniej więcej się wyraziła.

- Nie chce, żeby spotkała cię jakaś przykrość.

- A spotka?

Takiej rozmowy jeszcze nigdy nie prowadziłem.

- Za wcześnie, żeby cokolwiek powiedzieć - odparłem słabo.

- Chętnie omówię warunki luźnego związku. Złożyliśmy zamówienie. Wybrała tuńczyka, którego nie lubiłem, a ja, patrząc na nią, miałem nadzieję, że plany życiowe nie rzuca jej w przyszłości daleko od Londynu. Prędzej Jett van Els, córka Belga, mnie złamałaby serce niż na odwrót.

- A tak na poważnie, co ci dolega? - spytała, kiedy z apetytem rozprawiała się z tuńczykiem.

- Przeczuwam, że złamiesz mi serce? Potrząsnęła głową z uśmiechem.

- Widziałam wczorajsze gazety u twojej babci. Zdumiewające, że ty i twój przyjaciel Kris wyszliście z tego cało.

Przyznałem, że chyba złamałem parę żeber, co mogło przez kilka dni utrudnić czynne amory.

- Myśl raczej w kategoriach paru tygodni - poinstruowała panna van Els. - Albo paru miesięcy. - Uśmiechnęła się ze spokojem. - Pierwsza zasada luźnego związku to na początku się nie spieszyć.

- Umówimy się jutro na lunch?

- Dobrze.

Chociaż występ przed kamerą miałem dopiero po szóstej, zawsze przychodziłem do pracy przed drugą, kiedy odbywała się jedna z dwóch codziennych konferencji na temat warunków atmosferycznych na świecie.

Synoptyk musi rozpatrywać powietrzną otoczkę kłębiącą się wokół naszej wirującej planety, przyznałem się wreszcie przed sobą, i w miarę możliwości przewidywać, jak nisko może opaść ciśnienie w niżu w gorącej strefie, wywołując wichurę.

Zawsze mnie dziwiło, że ludzie w szkole i na uniwersytecie odwracali się z niechęcią od fizyki, chociaż opinia publiczna na ten temat zaczęła się zmieniać. Fizyka to nauka o potężnych, niewidzialnych siłach, które rządzą naszym życiem. Fizyka to przyciąganie, magnetyzm, elektryczność, ciepło, dźwięk, ciśnienie powietrza, radioaktywność, a zwłaszcza radio - tajemnicze siły, które istniały niewątpliwie, których skutki odczuwamy na każdym

kroku, których moc jest nieograniczona, a które pozostają niewidoczne. Codziennie spotykałem się z nimi jak z przyjaciółmi.

W pracy nikt nie rozwodził się nad naszą sobotnią eskapadą, gdyż widocznie koledzy wyczerpali zapasy serdeczności, witając nas po Odynie. Bardzo mi odpowiadało ich rzeczowe podejście do sprawy, natomiast wołałbym słyszeć większe zainteresowanie w głosach tych, którzy bardziej na północ odpowiadali na pytania o los brakującego wskaźnika poziomu oleju. Kiedy zadzwoniłem, żeby się czegoś dowiedzieć, nic nie wskórałem, w dodatku usłyszałem, że to nie mój wskaźnik. Kiedy za moją namową zadzwonił Kris, też nic nie wskórał, ponieważ postawiono mu warunek, że musiałby stawić się osobiście na rozmowę.

- Niech ci z Luton spytają - podsunąłem, ale tamci usłyszeli, że powinni raczej dokładnie wypytać Krisa.

- Co to ma znaczyć? - spytał mój przyjaciel.

- To znaczy, że nie znaleźli tego wskaźnika - odparłem. - Inaczej mówiąc, uważają, że nie wkręciłeś go porządnie i olej wyciekł z twojej winy.

Zachmurzył się, ale kiedy pojechałem we wtorek rano do Kensington, żeby udawać, że zająłem się pisaniem podręcznika, John Rupert wyraził przekonanie, że wyciek oleju świadczy o podjęciu próby wysłania nas obu na tamten świat.

- Ja też mam samolot - rzekł. - Od dwudziestu lat jestem niedzielnym pilotem i za nic w świecie nie chciałbym lądować na ślepo. Rok temu z powodu oleju rozlanego na przedniej szybie zginęło czworo ludzi, którzy wracając z Francji, rozbili się na skalistym wybrzeżu Kentu. Ich wskaźnik znaleziono na ziemi tam, gdzie uzupełniali zapas oleju przed odlotem. Pisały o tym wszystkie gazety.

- Biedacy - powiedziałem. - Pamiętam.

- Nikt nie mógł się spodziewać, że wrócicie cali i zdrowi do pracy - stwierdził z przekonaniem Rupert.

Drzwi otworzyły się cicho i wszedł murzyn. Podał na powitanie żyłastą rękę i zjadł ostatnie imbirowe ciastko, niezauważone przez Ruperta.

- Nowiny? - spytał lakonicznie murzyn, cicho chrupiąc. - Przemyślenia?

- Poza usiłowaniem morderstwa za pomocą oleju - rzekł Rupert.

- Skoro obaj przeżyliście - skostatował ironicznie murzyn - nikt nie uzna tego za usiłowanie... - Urwał i spytał wprost: - Czy to aby nie był zwykły nieszczęśliwy wypadek?

- Tylko wówczas, jeżeli było to nieplanowane uszkodzenie przez przypadkową osobę, a tak zdaje się sądzi miejscowa policja.

- A pan jest innego zdania?

- Tak.

- I dlatego przyszedł pan do nas? Zamrugalem.

- Chyba tak - przyznałem.

Murzyn uśmiechnął się - przeraźliwy grymas groził nieprawym otchłanią.

- Nie wiem, kto wysunął pręt, ale sporządziłem listę osób, które należy wziąć pod uwagę - powiedziałem.

Odczytali ją.

- Wszyscy z Newmarket - zauważył murzyn. - Z wyjątkiem tego ostatniego, Robina Darcy'ego.

- Nie sądzę, żeby to był on - powiedziałem.

- Dlaczego?

- Uścisnął nam rękę na pożegnanie. Każdemu z nas z osobna.

- Ma pan staroświeckie przekonania - rzekł murzyn. - Szekspir był współczesny. Można rozplýwać się w uśmiechach i być złoczyńcą.

- Nie chcę, żeby to był Darcy.

- Aaa. - Był wyraźnie zadowolony. - Uczucia płynące z trzewi... to rozumiem.

Rupert uważnie czytał listę.

- Proszę nam opowiedzieć o tych ludziach - rzekł. - Kim jest Caspar Harvey? I jego córka Belladonna?

Sam się zdziwiłem, ile o tych wszystkich ludziach się dowiedziałem, i przez dobrą godzinę szkicowałem sylwetkę roztrzęsionego Olivera Quigleya (dawne i nowe spostrzeżenia) i gburowatego George'a Loricrofta, który uważał, że ma prawo poniżać swoją atrakcyjną żonę, ona zaś była bystrzejsza, niż przypuszczał, i rozumiała aż za dużo, choć połowicznie i w niewystarczającym stopniu, dlatego też, nawet o tym nie wiedząc, stanowiła sama dla siebie zagrożenie.

- Nie wydaje mi się, żeby Glenda przyłożyła rękę do tego, co się stało - wyjaśniłem, wzdychając głęboko. - Nie sądzę, żeby pragnęła mojej i Krisa śmierci. Potrzebowała nas żywych, chciała, żebyśmy sprawdzili kilka faktów, które miały potwierdzić jej podejrzenia.

Wyjaśniłem, jakie zachodziły różnice w opadach śniegu i w temperaturze między relacją Loricrofta a rzeczywistą pogodą panującą tam, gdzie ponoć podróżował.

Murzyn słuchał uważnie. Rupert polecił krótko:

- Proszę mówić dalej.

- No cóż. - Zebrałem myśli. - Kiedy tu przyszedłem, kiedy zabiegałem o rozmowę z panem, znałem nazwiska trzech handlarzy, ale ich nie podałem, bo...

- Bo kierował się pan sentymentem - rzekł z naganą murzyn, gdy się zawahałem. - Nie chciał ich pan stawiać pod sąd, ponieważ oni pana nie zabili, chociaż mogli to zrobić. Tak było?

- Na to wygląda.

- No i?

- Tak rzeczywiście było, ale to, co powiem teraz, to są jedynie domysły.

- Cieszę się, że pan je snuje - rzekł Rupert z udanym namaszczaniem. - Niech pan strzela.

- Mogą mnie panowie wyśmiać.

- O to niech się pan nie martwi.

- Unified Traders - zacząłem powoli. - Wydaje mi się, że Unified Traders są amatorami, nie profesjonalistami. Inaczej mówiąc, mają wprawdzie nieuczciwe zamiary, ale w działaniu brak im zdecydowania i przebiegłości. O ich głupocie świadczy, na przykład, pozostawienie na tak długo teczki z bardzo ważnymi informacjami, a także zatrudnienie Krisa, żeby ją zabrał. Na pierwszy rzut oka mogłoby się wydawać, że ta wymiana przysługa za przysługę jest rozsądna, ponieważ Kris gotów był zrobić wszystko w zamian za możliwość przelotu przez cyklon. Rupert pokiwał głową.

- Caspar Harvey i Robin Darcy - ciągnąłem - znają się od dawna. Harvey ma jęczmień, Darcy ma uprawę murawy, a łączy ich to, że handlują towarem w małych opakowaniach. Harvey sprzedaje karmę dla ptaków, a Darcy pakowane próżniowo egzotyczne grzyby. Darcy założył małą uprawę grzybów na wyspie Trox, ale dowiedziałem się od tych, którzy robią to na wielką skalę, że jego przedsięwzięcie jest za małe, żeby się powiodło. W końcu, jak już mówiłem, zostało wykorzystane do wystraszenia mieszkańców wyspy, którzy wkrótce ją opuścili. Wydaje mi się, że to umiejętność myślenia o małych opakowaniach zrodziła pomysł, aby kojarzyć kupujących ze sprzedającymi małe ilości materiałów radioaktywnych.

- A jeżeli złoży się razem bardzo dużo małych pakiecików, urosnie stóg - powiedział Rupert.

- Albo bomba - rzekł murzyn.

- Albo część bomby, dzięki której będzie można wytargować resztę - dodałem spokojnie. - Nie wydaje mi się, żeby ci handlarze sami mieli do czynienia z uranem czy plutonem. To bardzo niebezpieczne materiały. Ale znają się na działaniach na małą skalę.

Urwałem, lecz moi rozmówcy czekali na ciąg dalszy.

- Myślę, a szczerze mówiąc, są to tylko spekulacje, że Darcy zwerbował Caspara Harveya jako handlarza, ten zaś wciągnął Olivera Quigleya i George'a Loricrofta i przez jakiś czas pośrednictwo przebiegało sprawnie, przynosząc ogromne zyski, z trzema handlarzami po drugiej stronie Atlantyku, przy czym każdy z tej sześciuosobowej grupy działał zgodnie z wypróbowaną zasadą muszkietierów, jeden za wszystkich, wszyscy za jednego". Murzyn, mrużąc chytrze oczy, spytał:

- Po co założyciele spółki rekrutowali nowych handlarzy? Dlaczego Darcy i Harvey nie zatrzymali całego zysku dla siebie?

- Myślę... - Wszystko, co chciałem powiedzieć, przybierało formę domysłu. - Myślę, że Harvey odkrył u Loricrofta zdolność do wietrzenia interesu. George Loricroft podróżuje po całej Europie, zwłaszcza po Niemczech, opowiadając żonie, którą traktuje jak idiotkę, kłamstwa o pogodzie dla wytłumaczenia się z tego, że nie był tam, gdzie miał być. Jest całkiem możliwe, że w miejscach, których dotyczą jego kłamstwa, odbywają się transakcje. Prawie wszystkie, są w Niemczech, a ponieważ Loricroft jest szeroko znany jako trener koni wyścigowych, nigdzie na świecie nie byłoby mu poręczniej, nie rzucając się w oczy, dokonywać transakcji bądź wymiany informacji niż na torach wyścigowych.

Spuściłem wzrok, aby nie widzieć niedowierzania, jakie musiało się pojawić na ich twarzach, ale zabrnąłem już za daleko, żeby się wycofać.

- Mówiłem, że pamiętam tylko słowo Hippostat w nagłówku jednego z listów, ale przypomniałem sobie jeszcze jedno. Przyszło mi na myśl, kiedy nawet nie byłem skupiony. Wyplęnęło gdzieś z podświadomości.

- Jakie słowo? - spytał niecierpliwie murzyn. Podniosłem wzrok.

- Rennbahn. Baden-Baden Rennbahn. Rupert ożywił się.

- I wie pan, co znaczy Rennbahn?

- Tor wyścigowy - odparłem. - Sprawdziłem. Tor wyścigowy w Baden-Baden. Było to napisane po niemiecku w liście, w którym posłużono się nieznanym mi językiem.

- Mamy na dole niemieckie słowniki i wszelkie inne, jakie tylko można sobie zażyczyć - rzekł Rupert. - Czy przypomniałby pan sobie coś jeszcze, gdyby rzucił pan na nie okiem?

- Nie wiem - odparłem z powątpiewaniem.

- Można spróbować.

- Proszę nam jeszcze opowiedzieć o pozostałych dwóch handlarzach z Florydy, o tych znajomych Darcy'ego.

- Mieszkają na Kajmanach, nie na Florydzie - wyjaśniłem i opisałem Michaela i Amy Fordów. - Mogli wejść do tej gry z powodów ideologicznych lub politycznych. Nie potrafię powiedzieć, mogą też być założycielami spółki. W każdym razie są w niej najbogatsi.

- Dlaczego pan tak uważa? - spytał literat.

- Zatrzymałem się w ich domu... a samolot Amy, ten, w którym spadliśmy do morza, to było cacko nie maszyna. Podobno sprzedała go Darcy'emu.

- Ale pan w to nie wierzy? - spytał Rupert.

- Nie. Ale to tylko moje wrażenia. Nie widziałem, żeby ktoś z nich bardzo się przejął tą stratą. Nie wiem, czy samolot był ubezpieczony. Nikt o tym nie wspomniał.

Zapadło milczenie.

- Czy to już wszystko? - spytał po chwili Rupert, zamierzając wstać.

- Jeszcze jedno... - powiedziałem nieśmiało.

- Tak? - Usiadł wygodniej, słuchając mnie nadal z uwagą-

- Chodzi o to... - zacząłem, skubiąc palce. - Unified Trading Company nie ma szefa.

W tej spółce nie ma hierarchii.

- Jest pan pewien? - spytał Rupert z powątpiewaniem. - Wszystkie organizacje, z którymi się zetknąłem, miały wewnętrzną hierarchię.

- Z pewnością - przytaknąłem. - W zwykłej spółce niżsi rangą odpowiadają przed przełożonymi i otrzymują od nich instrukcje. Ale w Unified Trading Company każdy działa według własnych pomysłów, a potem składa raport ze swoich poczynań. Inni dowiadują się o podjętych działaniach już po fakcie. Rezultat jest taki, że w niektórych rzeczach się powielają, a inne zupełnie pomijają, no i przestają panować nad całością.

John Rupert i murzyn słuchali mnie z rosnącym powątpiewaniem.

- Gdyby panowie od dawna przywykli do wydawania poleceń, który z was podejmowałby decyzje? - spytałem.

- Ja - odpowiedzieli obaj natychmiast i równocześnie.

- To znaczy kto? Który z was wydawałby polecenia? - spytałem.

- Ja. - Znow odezwali się razem, ale wolniej, a potem się zamyślili.

- Każdy z tych handlarzy, których dotąd zidentyfikowaliśmy - mówiłem dalej - miał własny interes i nawyk do rozkazywania. Michael Ford prowadził sieć własnych sal gimnastycznych. Jego żona Amy zbiła majątek na wypożyczalniach wideo. Robin Darcy uprawia trawę, a na Florydzie to tak, jakby uprawiał złoto. Caspar Harvey też jest farmerem, a przy tym zarabia krocie na karmie dla ptaków. George Loricraft i Oliver Quigley są trenerami koni i obaj odnoszą sukcesy tylko dzięki temu, że trzymają krótko swoich pracowników. Cała

szóstka jest wyćwiczona w podejmowaniu decyzji. Nie przywykli do tego, żeby wykonywać czyjeś polecenia. Nie lubią słuchać poleceń, więc robią to, co uważają za najlepsze, każdy z osobna. I właśnie z tego powodu robi się bałagan.

- Interesująca teoria - skomentował murzyn.

- Na przykład - ciągnąłem - Robin Darcy spodziewał się, że Kris bez trudu odzyska teczkę, bo zostawił ją w biurku, ale ktoś inny, bez jego wiedzy, przełożył teczkę z biurka do sejf, używając hasła Darcy'ego. Są więc źle zorganizowani i Krisowi nie udało się znaleźć tecki.

Szybko opadałem z sił i bolały mnie żebra. Bardzo chciałem stamtąd wyjść, więc spytałem:

- Coś jeszcze? Jeżeli nie... Zaprzeczyli niezdecydowanie.

- Tylko te słowniki.

Zeszedłem więc z nimi do kipiącego życiem świata książek. Rzeczywiście były tam setki słowników i przejrzałem ileś tam niezrozumiałych rodzajów pisma, ale żadnego z całą pewnością nie rozpoznałem, więc wziąłem się w garść i wyszedłem, żeby zjeść lunch z Jett w czerwonym płaszczu.

- Jesteś chory - powiedziała znad sałatki z jajek z curry, a ja nie miałem siły zaprzeczyć. - Powiedz w pracy, że musisz wziąć zwolnienie.

- To tylko parę żeber. Jutro poczuję się lepiej.

- Wobec tego pozwól, że odwiozę cię rano do Newmarket. Powiedziałem, że jadę tam, żeby zobaczyć, jak skaczą przez przeszkody konie George'a Loricrofta. Nadal chciała mnie podwieźć, a ja chętnie się zgodziłem, chociaż uważałem, że to nierozważne.

Jakoś przetrzymałem dzień pracy, ale kiedy nazajutrz rano, o wpół do siódmej, Jett stanęła pod moimi drzwiami, uznała, że nie nadaje się do podróżowania i powinienem iść do lekarza.

Uzgodniliśmy, że pojedziemy jej hondą, ponieważ czuła się pewniej w swoim aucie, niż siedząc za kierownicą mojego małego gruchota. Powiedziała, że zna dobrego lekarza, a ja uparłem się, że jedziemy do Newmarket, i to był chyba ostatni raz, kiedy przy panie van Els postawiłem na swoim.

W domu George'a Loricrofta Bell pocałowała mnie na powitanie, zerkając na stojącą za mną Jett, żeby zobaczyć jej reakcję. Strata czasu. Jett była chłodna i opanowana.

Glenda objęła mnie zachłannie, przysuwając usta do mojego ucha.

- Nie mów nic George'owi... - szepnęła. A potem głośniej dodała: - Jak cudownie, że przyjechałeś, mój drogi.

George, który przy żadnej okazji nie okazywał radości na mój widok, wyraźnie poweselał, kiedy poznał Jett. W powietrzu przefrunęło tyle powitalnych słów obciążonych zmysłowością, że aż mnie zemdliło i nie mogłem zjeść śniadania.

Glenda i Bell cieszyły się od nowa szczęśliwym lądowaniem Krisa w sobotę, a George, spoglądając ze zniecierpliwieniem na zegarek, powiedział ze złością, że, jego zdaniem, Kris tak się spieszył, żeby opuścić Doncaster przed zmrokiem, że zostawił pręt na ziemi i nie zauważywszy jego braku, zatrzasnął osłonę silnika.

- To nie takie trudne - rzekł. - Zbierajcie się, dziewczyny. Ruszamy. - Nie oglądając się, poszedł do swoich koni.

George, szorstki i obcesowy, sprawiał wrażenie nie dostrojonego do swojej żony, ona zaś rzuciła w jego stronę niespokojne i złe spojrzenia. Żadne z nich nie udawało już nawet, że jest drugiemu oddane, co dla innych było dość krępujące.

W dogodnej chwili, kiedy mąż nie mógł nas widzieć, dałem Glendzie spis mroźnych miejsc, co do których relacje i przysięgi jej małżonka rozmijały się z lodowatą prawdą, i zobaczyłem na jej policzkach rumieniec satysfakcji, ale także - tak mi się zdawało - żalu i rozczarowania, że jednak miała rację.

Bell objęła przygarbioną Glendę i odprowadziła ją w głąb domu, a kiedy wróciła, dosiadła na dziedzińcu konia, żeby pokazać nam drogę (Jett poprowadziła jeepa George'a) na obiecany trening skoków. Cieszyłem się, że Jett naprawdę się tym interesuje, a Bell, chociaż sama miała przejechać forsowny odcinek, przeskakując trzy grzechoczące serie przeszkód, poświęciła czas, aby wyjaśnić zasady treningu mnie i godnej następczyni Florence Nightingale, pannie van Els, ubranej tego dnia w oliwkowe spodnie, gruby biały sweter i żakiet. Przeszliśmy we dwoje od jeepa do dogodnego punktu obserwacyjnego w pobliżu przeszkód, żeby wszystko słyszeć i dodać od siebie trochę hałasu i zaangażowania.

Po skokach zdyszana Bell podprowadziła truchtem wierzchowca tam, gdzie staliśmy, zeskoczyła na ziemię i zdumiała nas, mówiąc z uśmiechem:

- Nie znam ciebie długo, bracie Perry, ale umiem rozpoznać sprawny umysł, kiedy się przede mną pojawi. Tobie i Jett van Els niczego pod tym względem nie zbywa.

Bell zaczęła oprowadzać konia w kółko, żeby się ochłodził, a ja starałem się dotrzymać jej kroku, nie przerywając rozmowy.

- Jak na przykład u Robina Darcy'ego? - podsunąłem. Dała sobie dziesięć sekund na przeszukanie w milczeniu pamięci i wydobyła z niej prosty zapis fragmentów z wydanego przez ojca lunchu.

- Mówiłam, żebyś nie dał się zwieść pozorom.

- Mówiłaś.

- I starałam się ostrzec Krisa, że Darcy jest poza jego zasięgiem, gra winnej lidze, ale tego dnia Kris nie słuchałby mnie, nawet gdybym była archaniołem Gabrielem.

Tego dnia i później mój przyjaciel słuchał Robina.

- W Doncaster Kris rozmawiał z Robinem bez końca - rzekłem.

Bell pokiwała głową.

- Rozmawiali, kiedy poszłam do toalety. Darcy znów zaprosił Krisa na wakacje do siebie, a ja miałam pojechać razem z nim!

- Podróż poślubna?

- Czasem wydaje mi się, że nigdy nie dojdzie do ślubu. - Miała niezdecydowaną minę, a potem niespodziewanie dodała: - Zostań tu z Jett i przytrzymaj mi konia za uzdę, a ja pójdę po jeepa George'a. Jesteś zupełnie szary na twarzy.

Nie rozumiałem, co się dzieje, bo po złamaniu żeber w Walii nie czułem się chory, zaledwie trochę poturbowany, ale przyjąłem jej propozycję i stanąłem obok parującego wierzchowca, czerpiąc przyjemność z bliskości wielkiego pierwotnego zwierzęcia pod szerokim zimnym bezchmurnym niebem Newmarket Heath.

Bell przyprowadziła jeepa i zamieniliśmy się środkami lokomocji; ona pojechała konno, ja zaś usiadłem za kierownicą i powoli zawiozłem Jett do stajni George'a. Czułem się okropnie.

W ciepłej kuchni George i Glenda stali naprzeciw siebie, przesywając się wrogimi spojrzeniami, jakby mieli się pozabijać, a nasze pojawienie się niewiele pomogło w nadtopieniu lodów nienawiści.

Czterdziestokilkuletni George zawsze emanował siłą i zdecydowaniem, ale w tym momencie jego zgrabne ramiona, gęste ciemne gładko zaczesane włosy, cienkie palce, które z gracją zaciskał i rozprostowywał, cała stylowość jego postaci służyła jedynie podkreśleniu złej woli i niecných zamiarów.

Gniew George'a zapewne znalazłby ujście w fizycznej napaści na żonę, gdyby nie to, że uzbrajał ją nieprzenikniony, choć niewidzialny pancerz.

Wycofaliśmy się z Jett bez słowa, a przygnębiona Bell podążyła za nami, bardzo nas przeprasząc.

- Nie przeprasza - powstrzymałem ją, ale dwa słowa to było za mało, żeby podnieść ją na duchu.

Przeszliśmy przez parking do hondy Jett. Obejrzałem się na wielki dom Loricroftów i zobaczyłem spokój i bogactwo. Fasada kryjąca piekło, pomyślałem.

- Bell... wyjedź z Newmarket i zamieszkać z Krisem w Londynie - zwróciłem się do niej błagalnie, choć czułem się niezręcznie.

Zaczęła potrząsać głową, zanim skończyłem mówić.

- Nie mogę wyjechać. Zresztą po co? Kris mnie nie potrzebuje, sam tak powiedział.

Ani Bell, ani Jett nie czuły tego co ja - a mnie ścisnęło w brzuchu i swędziała głowa. Babunia rozpoznałaby ten nerwowy niepokój i nazwałaby go ciarkami, ale ja nie wiedziałem, czy to, co czuję, płynie z rozsądku, instynktu czy z choroby.

Powiedziałem więc tonem szczerzej perswazji:

- Bell, mówię poważnie. Wyjedź z Newmarket. Mam złe przeczucia... możesz to nazwać intuicją, jak chcesz, tylko wyjedź stąd...

- Jesteś chory - wtrąciła się Jett.

- Może... Mniejsza o to, Bell, natychmiast wyjedź z Newmarket.

Moja natarczywość zaskoczyła je obie, niemniej zaczęły się wahać. Nie mogłem powiedzieć Bell, że jej ojciec, pracodawca, a także Quigley i Robin Darcy biorą udział w spisku, którego celem jest dostarczanie różnym klikom w wielu niepraworządnych rejonach świata informacji potrzebnych do zdobycia niewielkich ilości wysoko wzbogaconych materiałów rozszczepialnych do produkcji broni. Niewielkie ilości, zgromadzone w jednym miejscu, stwarzają zagrożenie, masę... bombę...

Ci czterej mężczyźni handlowali śmiercią i z pewnością o tym wiedzieli.

Przynajmniej jeden z nich sam w sobie był śmiertelnie groźny.

Loricroft, który wyszukiwał i gromadził towar będący przedmiotem zyskownych transakcji, z pewnością on właśnie, przekonany o swojej wyższości, z żoną deptającą mu po piętach na handlowym szlaku, był najbliższy detonacji.

Uważałem, że jest niebezpieczny, i tak samo po nim, jakpo każdym z jego bezwzględnych klientów, można się było spodziewać, że z zimną krwią spowoduje ogromne szkody.

- Jeżeli Glenda chce wyjechać, zabierz ją ze sobą - rzekłem do Bell.

Potrząsnęła głową.

- Wrócę za godzinę - powiedziałem i poprosiłem Jett, żeby przewiozła mnie swoim autem przez miasto.

- Do szpitala? - spytała z nadzieją.

- Można tak powiedzieć - odparłem.

Rozdział 10



W szpitalu, do którego chciałem jechać, opiekowano się końmi.

Zadzwoiłem wcześniej i uprzedziłem o swoim przyjeździe. Tuż za drzwiami do Ośrodka Badań nad Końmi powitała mnie kobieta o imieniu Zinnia. Chociaż w zasadzie była naukowcem weterynarzem, przedstawiła się jako specjalistka od roślin trujących i skutków ich spożycia przez konie.

To właśnie jej powierzono zadanie nie tylko uratowania życia klaczy Caspara Harveya, lecz przede wszystkim ustalenia przyczyny jej choroby.

Zinnia przekroczyła już, jak się domyślałem, pięćdziesiątkę i była ubrana w biały kitel i szarą flanelową spódnicę. Na przekór kolorowemu imieniu miała krótkie siwe włosy, usta bez śladu szminki, pantofle na płaskim obcasie i zmęczenie w ruchach, które było raczej przybraną na stałe pozą niż znakiem świadczącym o niedoborach snu.

- Doktor Stuart?

Na powitanie obejrzała mnie od stóp do głów, nie okazując entuzjazmu, a potem, lekko unosząc brwi, popatrzyła na Jett, która nie chciała zostać w samochodzie. Kiedy wyrecytowałem, jakimi dyplomami pielęgniarzkimi może się pochwalić, brwi zjechały na dół i zostaliśmy zaprowadzeni do laboratorium, wyposażonego w mikroskopy, wirówki, przyrządy do mierzenia i chromatograf gazowy. Usiedliśmy na wysokich stołkach. Nadal czułem się parszywie.

- Klacz pana Harveya została przywieziona z poważnymi objawami zaburzeń jelitowych - powiedziała beznamiętnie Zinnia. - Kiedy mnie do niej wezwano, późnym popołudniem w niedzielę, zwierzę nie mogło ustać na nogach.

Opisała, co wtedy zrobiła i co myślała. Ponieważ natura nie wyposażyła koni w antyperystaltykę, czyli mówiąc prościej, konie nie potrafią wymiotować, jedyne, co można było zrobić, to podawać środki przeczyszczające i duże ilości wody, którą klacz na szczęście wypija.

- Pomyślałam, że na pewno zjadła jakąś trującą roślinę, którą posiekano i zmieszano z sianem, bo w sianie przywiezionym razem z nią nie znalazłam całych liści ani łodyg, które mogłyby posłużyć do rozpoznania rośliny. Spodziewałam się, że zdechnie, a wtedy oczywiście zbadałabym treść żołądka, ale ponieważ trzymała się życia, musiałam się

zadowolić obfitymi odchodami. Pomyślałam, że spożyła starca, który jest bardzo trujący i często powoduje śmierć konia. Atakuje wątrobę i daje objawy chroniczne, ale czasem tak ostre, jakie obserwowaliśmy u klaczy Harveya.

Urwała, popatrzyła na mnie i na Jett, a widząc po naszych twarzach, że jej nie zrozumieliśmy, spytała:

- Znacie roślinę o nazwie *Senecio jacobaea*!

- Hm... nie - odparłem.

- Bardziej znana jako starzec albo marzymłodek. - Uśmiechnęła się słabo. - Występuje najczęściej na nieużytkach i mocą ustawy o chwastach z pięćdziesiątego dziewiątego roku została uznana za roślinę szkodliwą, a zatem naszym obowiązkiem jest wyrwać ją, kiedy tylko gdzieś ją zobaczymy.

Gdyby powiedziała, że ani Jett, ani ja nie mamy pojęcia, jak ten chwast wygląda, nie minęłaby się z prawdą. Poprosiliśmy więc, żeby nam go opisała.

- Ma żółte kwiaty i ząbkowane liście. - Urwała. - Marzymłodek to pierścieniowe dwuestry, najbardziej toksyczne alkaloidy pyrrolizidyny. Powoduje takie objawy, jakie miała klacz, rozstrój przewodu pokarmowego, bóle brzucha i ataksję, niedowład nóg.

Słuchaliśmy z szacunkiem. Zastanawiałem się, czy sam przypadkiem nie zjadłem tego świństwa.

- Liście po wysuszeniu długo zachowują trujące właściwości, przez co niestety jak najbardziej nadają się do tego, żeby je posiekać i zmieszać z suchą paszą, na przykład z sianem.

- Więc znalazła pani marzymłodka w odchodach klaczy? - spytała Jett.

Zinnia przeniosła spojrzenie z Jett na mnie.

- Nie - odparła bez dramatyzmu. - Nie zidentyfikowałam marzymłodka w odchodach klaczy. Podaliśmy jej serię antybiotyków, żeby zwalczyć ewentualną infekcję, i zwierzę stopniowo wyzdrowiało. Potem odesłaliśmy ją do George'a Loricrofta, ponieważ takie otrzymaliśmy instrukcje od właściciela, Caspara Harveya. Klacz trenował uprzednio Oliver Quigley i w jego stajni przeprowadziliśmy dochodzenie, zaczynając od głównego stajennego, ale wszyscy pracownicy zdecydowanie twierdzili, że nie nafaszerowali siana klaczy dodatkami. Żaden inny koń nie miał podobnych objawów.

- Więc co jej było? - spytała Jett. - Odkryła to pani?

- Są podobno jakieś inne teorie - powiedziała takim tonem, jakby każda teoria sformułowana przez kogoś innego musiała być siłą rzeczy błędna. - Ale klaczy już tu nie ma.

Czy chciałby pan przeprowadzić próby na obecność przeciwciał we krwi? Zaproponowaliśmy wykonanie tych badań Casparowi Harveyowi, ale odmówił.

Zinnia miała na myśli to, że po wyleczeniu konia - podobnie zresztą jak po wyleczeniu człowieka - w jego krwi pozostaje trwały ślad w postaci antyciał wyprodukowanych dla obrony przed infekcją. Obecność przeciwciał jakiegokolwiek choroby dowodzi, że dany osobnik miał z nią kontakt.

- Nie, nie chcę przeprowadzać prób na obecność przeciwciał - odparłem. - Ale czy zachowała pani część tych odchodów? Czy znajdzie się trochę w laboratorium?

- Zapewniam pana, doktorze Stuart, że przebadaliśmy odchody pod kątem wszystkich znanych nauce infekcji oraz trucizn i nic nie znaleźliśmy - odparła sztywno Zinnia.

Czoło miałem mokre od potu. Czuję się chyba tak jak ta chora klacz. Nie słyszałem, żeby złamanie kości powodowało aż takie zaburzenia jelitowe.

Zinnia przyznała niechętnie, że ośrodek rzeczywiście zachował część rzeczonoego materiału, ponieważ zagadka choroby klaczy nie została rozwiązana.

- Caspar Harvey może zmienić zdanie - rzekła Zinnia. Pomyślałem, że akurat jemu będzie najmniej zależało na wyświeceniu tajemnicy niedomagania zwierzęcia, ale nie cofnąłem się przed zadaniem pytania:

- Czy Ośrodek Badań nad Końmi nie jest przypadkiem wyposażony w licznik Geigera?

- Licznik... - Głos mojej rozmówczynie uwiązł w gardle.

- Jestem przekonany, że ktoś tutaj uważa, że klacz cierpiała na chorobę popromienną - powiedziałem spokojnie.

- Ależ skąd. - Zinnia zdecydowanie potrząsnęła głową. - Przy tej chorobie byłaby w coraz gorszym stanie, aż w końcu by padła, a przecież doszła do siebie po kuracji antybiotykowej. Jeden z naszych naukowców wysunął teorię napromieniowania, głównie, jak sądzę, z powodu wypadającej sierści. Ale wracając do pańskiego pytania, owszem, mamy gdzieś licznik Geigera, ale jego wskazania nie wykrczały poza normę, kiedy klacz opuszczała nasz zakład.

Nastało milczenie. Nie miałem zamiaru denerwować tej kobiety ani zaprzeczać jej słowom. Po chwili przymusiła się do na wpół przyjaznego uśmiechu i powiedziała, że pójdzie poszukać naukowca, o którym wspomniała. Po pięciu minutach wróciła z panią, która tak samo była w białym fartuchu i której wiedza na temat radioaktywności wymagała odświeżenia.

Miała na imię Vera; była poważna, dokładna i nikt tak jak ona nie potrafił wyleczyć konia z najgorszej kolki.

- Jestem weterynarzem, nie fizykiem - wyjaśniła. - Kiedy Zinnia nie znalazła nawet śladowych ilości trucizny, a proszę mi wierzyć, że jeżeli ona nic nie znalazła, to nikomu by się to nie udało, zaczęłam rozważać inne możliwości i rzuciłam myśl o chorobie popromiennej... To oczywiście wywołało natychmiast strach, ale sprowadzony przez nas ekspert od promieniowania przeprowadził badania i uspokoił nas, że ani choroba popromienna, ani klacz nie stwarzają dla nas zagrożenia. Niestety nie pamiętam wszystkiego, co powiedział.

- Doktor Stuart jest fizykiem - wtrąciła Zinnia.

- Czyta prognozy pogody w BBC - poprawiła twardo druga pani weterynarz.

- Jest jednym i drugim - zapewniła Jett. - I jeszcze wykładowcą.

Spojrzałam na nią zdumiony.

- Twoja babcia mi powiedziała - rzekła z uśmiechem. - Mówiła, że wygłaszasz wykłady o fizyce, a zwłaszcza o radioaktywności. Głównie dla młodych ludzi.

Vera nie miała ciągle zmęczonej miny jak Zinnia, wręcz przeciwnie. Ożywiła się, jakby zobaczyła we mnie kogoś innego.

- Proszę przedstawić mi próbkę swojego wykładu, a ja w zamian pożyczę panu dane na temat odchodów klaczy.

- Ależ to karygodne - rzekła z wyrzutem Zinnia. - Nie do przyjęcia.

Jej koleżanka pokiwała głową, ani trochę nie zmieszana.

- Obiecuje pani? - spytałam.

- Oczywiście.

Pomyślałam, że to mi pomoże zapomnieć o kiepskim samopoczuciu, i zacząłem od fragmentu wykładu, który wygłosiłem tyle razy, że znałem go na pamięć.

- Będę mówił o uranie - zapowiedziałam. - To część wykładu dla szesnasto - i siedemnastolatków.

- Dobrze. Proszę bardzo - zachęciła Vera. Zaczęłam mówić z pamięci, swobodnie, jakbym prowadził rozmowę.

- Zaledwie jeden gram rudy uranowej zawiera przeszło dwa tysiące milionów milionów milionów atomów; to jest dwójka, a za nią dwadzieścia jeden zer. To niewyobrażalnie wielka liczba. Naturalny uran nie jest bardzo radioaktywny w porównaniu z innymi naprawdę niebezpiecznymi substancjami, ale kilka gramów, mniej niż pół łyżeczki, będzie wysyłało około trzydziestu tysięcy cząsteczek alfa co sekundę i proces ten będzie trwał

niemal bez zmian przez miliony lat. Trzydzieści tysięcy cząsteczek alfa, atakujących wnętrze człowieka co sekundę przez kilka dni, na pewno pogorszy mu samopoczucie, jednak po pewnym czasie powinien dojść do siebie.

Urwałem. Moje samopoczucie pozostawiało wiele do życzenia, chociaż nie dotykałem uranu. Jett przyglądała mi się mocno zaniepokojona, a Vera, widocznie uznawszy, że wypełniłem swoją część umowy, wyszła na chwilę i wróciła z teczką, która na pierwszy rzut oka wydawała się taka sama jak ta, która wywołała wielkie poruszenie wśród handlarzy Unified Traders.

Ale w środku nie było niestety dwudziestu listów proponujących sprzedaż lub kupno wzbogaconej rudy pierwiastka, o którym przed chwilą opowiadałem, lecz naukowe sprawozdanie i wykres przedstawiający, ile radioaktywnych odchodów wydalila dwuletnia klacz w ciągu kilkudniowej rekonwalescencji.

Kiedy Vera pomyślała o chorobie popromiennej, radioaktywność już spadała. Jej źródło, jak przypuszczałem, zostało wydalone na samym początku, może nawet tego niedzielnego popołudnia, kiedy miała rozwolnienie i leżała, stękając, w boksie w stajni Quigleya.

Vera dała mi także - co za uroczy gest - paczkę wielkości pudełka na buty, prosząc, żebym jej nie otwierał w kulturalnym towarzystwie. Zinnia, patrząc na to wszystko niechętnym okiem, zaznaczyła, że zawartość paczki jest własnością Ośrodka Badań nad Końmi, ewentualnie Caspara Harveya, a nawet, w ostateczności, klaczy, zdecydowanie jednak nie moją.

Wstałem nagle i spytałem, jak się idzie do toalety, a kiedy zamykały się za mną drzwi, usłyszałem, jak Jett dziękuje paniom w białych fartuchach i żegna się, po chwili zaś, wciąż czując się niedobrze, siedziałem koło mej i wracaliśmy do stajni Loricrofta.

- Czy to właśnie ci dolega? - spytała niespokojnie Jett.

- Choroba popromienna?

- Masz typowe objawy.

- Nie wiem.

Zatrzymała się na żwirowanym podjeździe Loricrofta. Nie było widać nikogo.

- Tylko nie kłóć się ze mną - powiedziała. - Idę z tobą.

Czułem się tak sponiewierany, że nie miałem siły protestować. Wysunąłem się z hondy i z Jett, nie odstępującą mnie na krok, przeszedłem po żwirze, zastukałem krótko kołatką i zaraz udałem się do kuchni.

Loricrofta tam nie było, co stwierdziłem z wielką ulgą. Wyobrażałem sobie, że będę musiał zmierzyć się z nim fizycznie, a wciąż osłabiały mnie mdłości, George zaś był wyższy, silniejszy i już raz próbował się mnie pozbyć.

Zastaliśmy tylko Glendę, która siedziała przy dużym stole pośrodku, trzęsąc się ze strachu, z poszarzałą twarzą. Wyraźnie jej ulżyło, kiedy zobaczyła, że to tylko my, Jett i ja.

- George'a nie ma - rzekła. - Powiedział, że wybiera się z drugą partią koni, żeby poskakały na wrzosowisku. - Jej głos brzmiał pusto, bez życia.

- A Bell? - spytałem.

Glenda siedziała bez ruchu, nawet nie mrugnęła sztywnymi od tuszu rzęsami. Wyglądała cały czas jak wysztafirowana, niezbyt mądra osóbką - miała na sobie przyciasny sweterek, buty na wysokim cienkim obcasie, wysoko upięte, błyszczące blond włosy, ale Glenda sprzed Doncaster znikła. Kobieta, która rozzłościła Olivera Quigleya i zdarła z niego maskę nerwusa, doszła do głosu i przejęła władzę, tyle że jeszcze nie całkiem weszła w rolę.

- Bell poszła do siebie spakować walizkę - przyznała w końcu. - Wróci tu po mnie.

Po chwili spytałem ją, czy omówiła z George'em listę pogodowych niezgodności, którą jej dostarczyłem.

- Czy omówiłam?! - Niemal się zaśmiała. - To nie miało nic wspólnego z dziewczynkami. - Mimo goryczy zabrzmiało to tak, jakby sobie tego życzyła. - W Baden-Baden od września nie było wyścigów konnych.

Skinąłem głową. Też to sprawdziłem.

- George jest zdrajcą ojczyzny - oznajmiła.

- To chyba zbyt melodramatyczne - bąknąłem.

- Wie, że tak uważam. Jadę do Londynu z Bell, bo nie chcę, żeby mnie tu zastał, kiedy wróci. Nie mylicie się, jeżeli myślicie, że się go boję. Powiem wam rzeczy, których nie zamierzałam zdradzić nikomu.

Przełknęła ślinę i chwilę odczekała, zbierając się na odwagę.

- Wszędzie tam, gdzie myślałam, że romansuje, handlował tajemnicami broni nuklearnej. - Trzeba przyznać, że mówiła to ze szczerym oburzeniem. - A kiedyś - ciągnęła z jeszcze większym wstrętem - kiedyś przyniósł do domu mały ciężki pakunek, a ponieważ myślałam, że to złoto... coś ze złota dla dziewczyny... byłam taka wściekła...

Wzięła głęboki oddech, jakby chciała opanować odrazę.

- Jak on mógł... zawsze mieliśmy udany seks... Wyjęłam pakunek z teczki i rozpakowałam, ale w środku była tylko ciężka szara skrzyneczka. Ją też otworzyłam i w

piance do pakowania znalazłam odrobinę grubego szarego proszku zawiniętego w bibułę, której nie mogłam zwinąć dokładnie tak, jak przedtem, no i przyszedł George.

- I zauważył, że otwierasz pakunek? - dodałem, kiedy przerwała, żeby zaczerpnąć tchu.

- Nie, nie zauważył, ale bałam się tego, bo kręcił się w pobliżu... a ponieważ miałam to zawiniątko pod ręką, wsunęłam je do torebki i nadal miałam przy sobie, kiedy poszliśmy do stajni Olivera Quigleya w drodze do wyścigów Nottingham, w przeddzień lunchu u Caspara Harveya. Kiedy szukałam szminki... bibułka wypadła z torebki i proszek wysypał się do miski z jęczmieniem przygotowanym dla jednego z koni Olivera. Nie zrobiłam tego umyślnie i nie wiedziałam, że zwierzę się rozchoruje. Ale nie powiedziałam nic George'owi, bo się go bałam. Zostawiłam proszek tam, gdzie spadł.

- Widziałś, który koń dostał tę miskę? - spytałem zdumiony, ale wierząc jej całkowicie.

Oczy miała szeroko rozwarte, kiedy zaprzeczyła.

- Glenda!

- No, dobrze, zgadłeś. Widziałam, do którego boksu trafiła miska, ale nie wiedziałam, że w tym boksie jest klacz Caspara. Nawet o tym nie myślałam, dopóki Bell nie powiedziała, że klacz może mieć chorobę popromienną, wtedy zrozumiałam, czym zajmuje się George, dlatego jeździ do tych wszystkich miejsc i kłamie. Kupował materiał do produkcji bomb, więc poprosiłam ciebie, żebyś posprawdzał to, co powiedział o miejscach, w których był. Gdzie ta Bell? Niech się pośpieszy. Ja też nie mogłem się jej doczekać.

- Czy w Doncaster George wiedział, że obiecałem sprawdzić niezgodności pogody? - spytałem.

- Pewnie. Powiedziałam mu. Nie mógł mi zrobić krzywdy, wiedząc, że ktoś może na niego donieść.

Glenda, w nowym wydaniu, z cieńszą warstwą lakieru, była nadal bardzo naiwna. Miałem coraz mniejszą ochotę na spotkanie z George'em w jego domu, w końcu jednak przyszła Bell i oznajmiła, że się spakowała, pokłóciła z ojcem i przekonała przez telefon Krisa, żeby przyjął ją pod swój dach.

Bez ponagrania zapakowała Glendę do swojego auta, cały czas tłumacząc jej, że te nerwy i pośpiech nie są wcale konieczne.

- Dzięki temu unikniemy sceny - przypominałem i jak niegdyś wozy na prerii ruszyliśmy wreszcie dwoma samochodami do Londynu.

Jett obejrzała się na mnie i spytała:

- Jak się czujesz?

- Lepiej nie pytaj.

- Nie zrozumiałam wszystkiego, co mówiła Glenda.

- Weszłaś w połowie filmu.

- Czy ten proszek to był uran?

- Sądząc po tym, że zawinięto go w bibułę i opakowano w ołów, bo ten ciężki pojemnik zapewne był z ołowiu, mogła to być zwykła ruda uranowa, ale nie wykluczam, że była to inna substancja radioaktywna wydzielająca cząsteczki alfa.

- I George handluje uranem? Glenda słusznie go o to podejrzewa?

- W połowie słusznie. George kontaktuje ze sobą ludzi, którzy wiedzą, gdzie kupuje się wzbogacony uran, a wzbogacony uran z ludźmi, którzy chcą go kupić. Ale ten szary proszek nie był materiałem do produkcji bomby, bo klacz wyzdrowiała.

Opowiedziałem Jett, jak Unified Traders nastraszyli mieszkańców wyspy Trox, na co odparła, że teraz rozumie, dlaczego moja babcia całymi dniami obgryzała wymanikiowane paznokcie.

- Więc nie powiększaj jej zdenerwowania... a co do tego wskaźnika oleju... - Urwałem i zawahałem się.

- Wiesz, kto go zabrał? - spytała Jett.

- Pamiętasz, co George Loricraft powiedział przy śniadaniu?

Zmarszczyła czoło.

- Ze w Doncaster Kris zamknął osłonę silnika i zostawił wskaźnik na ziemi.

- No właśnie, ale Kris wcale nie otwierał osłony silnika w Doncaster, więc George nie mógł tego widzieć. Dodaj inne fakty. Samochód George'a stał na parkingu niedaleko prywatnego samolotu Krisa. Glenda właśnie powiedziała mężowi, że go sprawdzę. Wiedział, że byłem na wyspie Trox, ale nie miał pojęcia, czego się tam dowiedziałem. Mógł też wiedzieć, że olej na przedniej szybie może zabić, ponieważ w zeszłym roku w wiadomościach opisywano taki przypadek.

- To obciążające okoliczności - orzekła Jett.

- Jedynie poszlaki. Mógł podnieść osłonę silnika i wyjąć wskaźnik poziomemu oleju. Ale równie dobrze mógł tego nie zrobić.

Jakiś czas potem spytałem, dlaczego nie jedziemy drogą do Londynu. Cierpliwości, zaraz zobaczysz, odparła spokojnie panna van Els i niebawem zaparkowała w bocznej uliczce obok szerokiej ruchliwej Marylebone Road.

- Chodź ze mną... w zdrowiu i w chorobie - zażartowała i znalazłem się w poczekalni w aneksie małego prywatnego szpitala, na który z pewnością nie było mnie stać. Na tabliczce widniało nazwisko specjalisty - doktor Ravi Chand, obywatel Uttar Pradesh.

- Nie mogę zostać długo - uprzedziłem. - O drugiej trzydzieści muszę być na Wood Lane.

Jett nie odpowiedziała, ale widocznie miała cudotwórczą moc, bo w bardzo krótkim czasie energiczny Hindus, odslaniający w uśmiechu wspaniałe zęby, opukał mnie, obejrzał i generalnie wywrócił podszewką na wierzch. Jett została wezwana jako towarzysząca mi opiekunka i usłyszała dziwną nowinę, którą pan doktor oznajmił z czystym akcentem z New Delhi.

- Droga Jett, twój niecierpliwy podopieczny bynajmniej nie cierpi na chorobę popromienną ani też nie czuje się źle z powodu złamanych żeber. Ma lekką wysypkę, z której za parę dni, a nawet jeszcze dzisiaj mogą rozwinąć się wrzody. Zaraził się chorobą, której nie potrafię od razu rozpoznać. Muszę wyhodować kultury bakterii i pobrać krew do analizy. Na razie nie powinien chodzić do pracy i przepiszę mu lekarstwo, które złagodzi silne mdłości. Bardzo miło znów cię widzieć, moja droga Jett, ale muszę powiedzieć ci coś, co zapewne cię nie ucieszy, otóż nie radzę ci spać z tym młodym człowiekiem, dopóki się nie dowiemy, czy zaraża.

- Jeszcze mnie o nic nie poprosił - odparła skromnie.

- To nie fair - zaprotestowałem. - Kto powiedział, żebym się nie spieszył? Uważaj się za poproszoną.

Ravi Chand uśmiechnął się, zamyślił, obejrzał paznokcie, wyraźnie jaśniejsze od brązowych palców, i powiedział, żebym położył się do łóżka (sam) w szpitalu obok chociaż na dzień albo do czasu, gdy ustali, na co jestem chory.

- Nie stać mnie na to - odparłem, ale doktor Chand szybko odparował, że pieniądze nie są tak ważne jak zdrowie.

Sam zadzwonił do BBC i bardzo ich nastraszył. Spędziłem więc okropne popołudnie, znosząc ukłucia, łykając pigułki, poddając się prześwietleniu, tomografii komputerowej i przykrym wewnętrznym badaniom, a także sporządzając na żądanie długą listę miejsc, w których przebywałem w ciągu ostatnich dwóch miesięcy. Nim doszedłem do połowy tej listy, uzmysłowiłem sobie, co może być ze mną nie tak, i podzieliłem się odkryciem z moim hinduskim inkwizytorem, który przyjął je z radosną satysfakcją.

- Krowy! - wykrzyknął. - Tak myślałem. Niepasteryzowane mleko! Gruźlica rzekoma!
- Zmarszczył czoło. - Ale to nie jest zwykła gruźlica. Rutynowy test na gruźlicę zrobiłem panu od razu.

Oddalił się zaaferowany - chudy, dobroduszny, oddany rozwikływaniu tajemnic.

W pokoju tak komfortowym, że nie powstydziliby się go hotel, obejrzałem w telewizji, jak ktoś inny zapowiada na następny dzień zimne przelotne deszcze z możliwością późniejszych przejaśnień w Walii, i z ulgą zaobserwowałem, że choroba, która mnie powaliła, nieco zelżała i stała się znośna. Jett, kiedy przyszła mnie odwiedzić wieczorem, miała twarz osłoniętą maską chirurgiczną. Skrzywiła się, patrząc na długą listę rzeczy do załatwienia, którą sporządziłem na jej nieprzemyślaną prośbę.

- W zdrowiu i w chorobie - przypomniałem żartem.

- W bogactwie i w biedzie - odparła, kiwając głową. - Obiecałam Raviemu, że zapłacę twoje rachunki, więc możesz skreślić numer jeden na liście „przyniesć karty kredytowe”. Nie są ci potrzebne.

- Do diabła! Proszę cię, przynieś mi te karty.

- Zapłacę za ciebie z pieniędzy, które zarobiłam, opie wyjątkowo trudno jest wyhodować tę bakterię na płytce Petriego - wyznał precyzyjnie.

- Nie mogę tak długo nie pracować - rzekłem przerażony.

- Ależ oczywiście. Zaczęliśmy już podawać panu antybiotyki, a z tego, co na razie widać, nie rozwija się u pana choroba Crohna, to dobra wiadomość, ani występująca endemicznie u bydła choroba Johne'a, a to jeszcze lepsza wiadomość. Najlepsza zaś jest ta, że powinien pan całkowicie wyzdrowieć, bo wszystko na to wskazuje. - Urwał, zastanowił się i dodał: - Ta infekcja, którą pan ma, ten niezwykły wariant prątka gruźlicy rzekomej... pochodzi ze szczepu wyhodowanego specjalnie po to, aby zmierzyć, ile potrzeba ciepła, żeby po pasteryzacji rozwinęły się i przeżyły bakterie chorobotwórcze. Mógł pan wypić surowe mleko od krowy zakażonej jakąś nową odmianą... - Urwał i dokończył: - Widzę, że rozumie pan, o czym mówię.

Eksperymentalne stado, pomyślałem. Mieszane stado z krowami różnych ras: charolaise, hereford, angus, zebu... fryzyjska...

Stado izolowane na wyspie, rozmnażające się tylko między sobą... Obecność i cel, któremu miały służyć krowy na Trox, raptem stały się zrozumiałe.

- Bardzo mało wiadomo o występowaniu gruźlicy rzekomej u ludzi - rzekł wesoło Hindus. - Przyniosę panu kilka broszur na ten temat. A w zamian proszę powiedzieć, gdzie znajdę tę krowę.

- Dziękuję, tak, dobrze. Kiedy mogę stąd wyjść? Spojrzał na zegarek, ale zawiódł moje nadzieje.

- W niedzielę - odparł. - Może. Badania, które prowadzę, mogą przynieść wyniki dopiero w niedzielę rano, a i tak je przyśpieszam. - Uśmiechnął się chytrze. - Kiedyś opublikuję wyniki tych badań. Do tego czasu będę je trzymał kując się twoją babcią. Pochodzą przecież z twojej pensji w BBC, prawda? - przypomniała. - Wiem, że tak.

- Przeszedłem dziś tyle okropnych badań, zostaw mi chociaż trochę dumy.

- Ach tak. - Zamrugła. - Nie jestem przyzwyczajona do mężczyzn takich jak ty. Nie jestem przyzwyczajona do samowystarczalnych śmiazków. Mam zwykle do czynienia z dorosłymi chłopcami, którzy udają dzielnych, a potrzebują pomocy. Chcą, żeby ktoś ich pocieszył. Potrzymał za rękę. Dlaczego ty taki nie jesteś?

Kiedyś spróbuję, pomyślałem, ale nie teraz.

- Proszę cię, przynieś moje karty - powiedziałem.

Lustro we wtorek rano potwierdziło prognozę hinduskiego lekarza. Wokół ust wyskoczyły mi trzy wrzody i tak samo źle rokowało kilkanaście początkujących pryszczycy od czoła do brody, od brody do pasa i jeszcze gdzie indziej. Uczony przybysz z New Delhi wydawał się jednak zadowolony i przysyłał do mnie dobrze zabezpieczone pielęgniarki z coraz to nowymi pigułkami i zastrzykami.

Sam też się zjawiał zaaferowany w porze, o której normalnie jadłbym lunch, ale tego dnia nie miałem ochoty. Z zadowoleniem przedstawił diagnozę.

- Dobra wiadomość to naturalnie ta, że nie ma pan zwykłej gruźlicy, co już ustaliliśmy - zatrajkotał. - A ciąg dalszy jest taki, drogi doktorze Stuart, że cierpi pan na odmianę rzadkiej komplikacji zarażenia prątkiem gruźlicy rzekomej.

Czekał z zaciekawieniem, jak zareaguję, a ja pomyślałem tępo, że mam w tym tygodniu wyjątkowe szczęście do niezrozumiałej medycznej terminologii.

- Aby zdobyć absolutną pewność, trzeba wyhodować kulturę bakterii, co może potrwać kilka tygodni, ponieważ pod kluczem: Nawet pan nie pozna żadnych szczegółów przed publikacją...

- Czy to znaczy, że zamknie pan wyniki w sejfie? - spytałem powoli.

- Oczywiście. Wśród naukowców panuje ostra konkurencja. Nie chciałbym, żeby jakiś rywal zgarnął mi temat.

Dziwnie to zabrzmiało w jego ustach, ale tłumaczyło, dlaczego na wyspie Trox trzymano sejf. Wyniki badań nad eksperymentalną trzodą były warte fortunę w kategoriach

prestżu. Byłem swego czasu wdzięczny tym krowom. Trudno, żebym teraz żałował, że nie głodowałem.

- Czy mogę kogoś zarazić? - spytałem. Zastanawiał się dłuższą chwilę, nim odpowiedział.

- Proszę pamiętać, że nikt tego nie wie. Wśród bydła główna choroba, choroba Johne'a, przenosi się tylko przez spożycie odchodów albo zakażonego mleka. - Uśmiechnął się. - Powinien pan być niegroźny. Goście mogą przychodzić bez maski.

Jett odwiedzała mnie często, zwykle przynosząc od babuni niezbyt ciężką książkę, żebym mógł ją utrzymać, siedząc na wózku czy w łóżku z dzinem z tonikiem i złamanymi żebrami. I chociaż stanąłem już na nogi i chodziłem po pokoju, w ciągu tych kilku dni nabrałem pewnego pojęcia, od środy do niedzieli, jak wygląda pełne ograniczeń życie mojej babuni.

W czwartek rozmawiałem z nią przez telefon i przesłałem jej bukiet lilii i wodę kolońską w spreju.

W piątek z samego rana zadzwonili koledzy z pracy, domagając się, żebym czym prędzej wrócił, ponieważ wygrałem doroczną nagrodę Bracknell Met Office, bo przewidziałem, którego dnia zostanie odnotowana najwyższa temperatura w cieniu na dachu (pierwszego września), więc chcieli mi pomóc przy odkorkowywaniu zdobyczej butelki szampana.

Uśmiechałem się jeszcze po tej rozmowie, gdy wtem zdenerwowana Bell rozsadziła mi ucho pięciogwiazdkową katastrofą, którą trudno było mi pojąć.

- Trochę wolniej, najdroższa Bell - rzekłem błagalnie, mając nadzieję, że jej histeryczna relacja jest najwyżej w połowie prawdą. - Co mówiłaś o Glendzie?

- Już ci powiedziałam! - krzyknęła. - Dlaczego nie słuchasz, do cholery?! Kris wariuje. Ukradła mu pociągi.

- Bell! Spokojnie.

- Rzuciła się pod pociąg.

Te słowa długo do mnie docierały.

- Glenda?

- No właśnie, Glenda. Przestań tak głupio pytać. To było w metrze. Wczoraj wieczorem. Policja przyszła tu dziś rano. Ona... okropnie... umarła. Niedawno poszli.

Bell połykała łzy między słowami, które z takim trudem wypowiadała, ale i tak było słychać, że płacze.

- Rozmawiałam z tatą...

- Bell. - Wreszcie, z rosnącym żalem, pojąłem sens jej słów. - Gdzie jesteś? Czy ktoś z tobą jest? Kris? Jett mogłaby z tobą posiedzieć. Ja też mogę przyjechać.

- Nie, ty nie możesz, jesteś w szpitalu. Glendzie buzia się nie zamykała przez całą drogę do Londynu w środę, że aż miałam jej serdecznie dosyć, a niech to... - Przełknęła ślinę, lecz Izy nie przestały płynąć. - Żałuję, że nie byłam dla niej miłsza, ale tak naprawdę nigdy jej nie lubiłam... Staralam się, kiedy pracowałam dla George'a, miałam jednak zmienić pracę... a to jeszcze nie wszystko, reszta jest gorsza.

Nie może być wiele gorsza, pomyślałem, ale oczywiście się myliłem.

- Glenda mówiła w kółko o George'u, o tym, że jest zdrajcą - ciągnęła Bell. - Że nie może pogodzić się z myślą, że wyszła za mąż za zdrajcę. Mówiła, że tobie o tym powiedziała, że znasz prawdę i jaki to byłby dla niej wstyd, gdyby musiała stanąć przed sądem. Nie przeżyłaby takiej hańby... a ja myślałam... myślałam, że przesadza. Wiesz, jak ona zawsze trajkotała i gestykulowała... o Boże. O Boże...

Próbowałem wcześniej dodzwonić się do Krisa, ale nikt nie odbierał, więc kiedy szlochała, powtórzyłem pytanie:

- Bell, gdzie teraz jesteś?

- Na twoim strychu. - Oznajmiła to tak, jakbym powinien się tego spodziewać. - Wprowadziliśmy się tu wczoraj wieczorem. Kris miał klucz - dodała. - Powiedział, że nie miałbyś nic przeciwko temu. Glenda tak nas zanudziła swoim gadaniem przez cały wczorajszy dzień, że kiedy wreszcie sobie poszła, przyjechaliśmy tutaj, żeby się od niej uwolnić, no i oczywiście do głowy nam nie przyszło...

Pomyślałem, że niepowstrzymany szloch może być także spowodowany poczuciem winy.

- Kiedy Glenda była z tobą, nie mogłaś jej jakoś uspokoić? - spytałem.

- Perry - zawodziła Bell do słuchawki. - Nie rozumiesz. Policjanci z Newmarket poszli do domu George'a, żeby zawiadomić go o śmierci Glendy. Nie po to, by go aresztować. Poszli tylko z powodu Glendy... - Umilkła, jakby nie miała już nawet siły szlochać.

- No i co powiedział George?

- On już nie żył - odparła Bell.

- Nie żył?

- Był na górze w sypialni - powiedziała trzęsącym się głosem. - Uderzono go w tył głowy. Miał rozłupaną czaszkę. Policjanci poszli do mojego taty, ponieważ pracowałam dla George'a, i powiedzieli mu, że nie żyje... a Glenda zostawiła w sypialni list, w którym

napisła, że nie zniesie tej hańby... - Szloch. - Tata powiedział policjantom, żeby szukali nas tutaj, bo nie było mnie u Krisa.

- Chcesz powiedzieć, że kiedy Glenda siedziała w kuchni, w Newmarket, i opowiadała Jett i mnie, jak wywołała chorobę popromienną u klaczy, przez cały ten czas George leżał martwy na górze w sypialni?

- Tak. - Zdenerwowanie Bell podszyte było przerażeniem. - Tak musiało być. Kiedy ty i Jett pojechaliście do tego Ośrodka Badań nad Końmi, a ja poszłam się spakować... zostali we dwójkę, ziejąc do siebie morderczą nienawiścią... Musiała go zabić wtedy, kiedy nas tam nie było. Zapakowała trochę rzeczy i zeszła na dół, gdzie na nas zaczekała. - Bell wciąż nie panowała nad głosem. - Zdaniem Krisa, powiedziała George'owi, że idzie się spakować, ponieważ go opuszcza, i że opowie całemu światu o jego handlu uranem, a on poszedł na górę, żeby ją powstrzymać...

Mogłem wyobrazić sobie, jak wściekły George pochyla się nad walizką żony i zaczyna wyrzucać z niej rzeczy... mogłem też sobie wyobrazić, jak Glenda chwyta ciężki przedmiot...

- Czym go uderzyła? - spytałem.

- Nie wiem. Do diabła, Perry, co za różnica? Nie bywałam w ich sypialni... mają ciężki mosiężny zegar... nowoczesny... - Głos jej się załamał i Jett uznałaby pewnie, że dobrze byłoby jej podać środek uspokajający albo lepiej przytulić.

- Czy Kris jest z tobą? - spytałem.

- Wyszedł kupić coś do jedzenia.

- Koniecznie coś zjedz.

- Glenda! - powiedziała załóżnie. - I George!

Nie mogła uwierzyć w to, co się stało, i czuła silniejszy ból po ich śmierci niż sympatię do nich za życia.

Nic by to nie dało, gdybym powiedział, żeby o nich nie myślała. Znała ich prawie od urodzenia.

Sam o nich myślałem, przypominając sobie, jak zobaczyłem ich pierwszy raz na lunchu u Caspara Harveya - nie różnili się od wielu skłóconych par małżeńskich. Potem w każdym z nich zaczął się powoli topić rdzeń i ujawnił się prawdziwy charakter.

Wrodzona niegodziwość szanowanego trenera koni wzięła górę, aż w końcu George gotów był zabić, oślepiając olejem. Glenda snuła głupawe bezpodstawne podejrzenia natury seksualnej i odkryła, zamiast niewiernego męża, zdrajcę, a potem zabiła jego i siebie, nie mogąc znieść rozczarowania i wstydu.

Pomyślałem, jak objawił się niszczycielski instynkt, od którego aż pulsowało powietrze, kiedy tych dwoje było w kuchni. W tamtą środę rano doszedł do głosu dziki zew natury - wyszczerzone kły i krwawe szpony.

Czy w każdym z nas żyje głęboko ukryty morderca?

Rozdział 11



Okolo południa dopadłem rozczochraną Melanie po drugiej stronie drutu i spytałem, czy mogę rozmawiać ze swoim murzynem o książce o sztormach.

- Oczywiście - odparła wesoło. Po chwili usłyszałem jego głos:

- Podobno dostał pan wysypki.

- Ale nie na gardle.

- Rozumiem, że chciałby pan porozmawiać.

- Rozszalał się sztorm, który nie będzie ostatni - rzekłem. - Są rzeczy, o których powinien pan wiedzieć.

- Już jedziemy.

Przyjechali - dryblas Rupert i murzyn chuchro.

Poprosiłem, żeby usiedli, i przeprosiłem za tę niby odrę, która była mi potrzebna jak dziura w moście. Ravi Chand zapowiedział, że wysypka powinna zejść do niedzieli, ale mnie wydawało się, że do niedzieli jest bardzo daleko. Wyglądałem okropnie.

- Co panu jest? - spytał John Rupert.

- Prątki gruźlicy rzekomej, odmiana X.

- Ach tak, no tak - powiedzieli jeden i drugi.

Obaj widzieli coś takiego pierwszy raz w życiu, nie tylko oni zresztą.

- Wczoraj wieczorem - zacząłem, starając się uniknąć teatralnego efektu - Glenda Loricroft, żona George'a, rzuciła się pod pociąg metra. - Otworzyli usta, nie dobywając głosu.

- Wszystko wskazuje na to, że w środę rano w Newmarket rozbiła głowę mężowi. Leżał martwy w sypialni, aż znaleźli go dziś rano policjanci, kiedy przyszli mu powiedzieć, że jego żona się zabiła.

John Rupert i murzyn zaczęli oddychać, a ja mówiłem dalej:

- Zanim spytacie, wyjaśnię, że pracownicy stajni wyścigowej nie dziwili się jego nieobecności, ponieważ stale podróżował za granicę, nie uprzedzając, dokąd wyjeżdża. Czuwał nad treningiem wczesnym rankiem w środę, sam zresztą przy tym byłem. Podobnie jak jego asystentka Belladonna Harvey, a kiedy ani ona, ani George, ani żona George'a nie pokazali się wczoraj rano, starszy stajenny przypilnował wykonania codziennych obowiązków jak nieraz przedtem.

Słuchali uważnie mojej opowieści o Glendzie, o klaczy, o proszku emitującym cząsteczki alfa i pojemniku z ołowiu. Spytałem następnie, czy mają władzę pozwalającą spenetrować świątek Loricrofta. Odpowiedź mieściła się między „nie”, „to zależy”, „policja w Newmarket musiałaby wyrazić zgodę”. Nie usłyszałem zwykłego „tak”.

- Jest bardzo prawdopodobne, że w tej grupie handlarzy właśnie George Loricroft zajmował się zamówieniami z zagranicznych źródeł, ale on od dwóch dni nie żyje.

John Rupert pokiwał głową.

- Jego koledzy z Unified Traders wyczyścili go pewnie tak, że ślad nie został. Ale na co pan liczył? Co chciał pan znaleźć? Na pewno był do przesady ostrożny. Tacy już oni są. Zasadnicze pytanie brzmi: kto zajmie jego miejsce?

Zapadło pełne zamyślenia milczenie. Wytropione przez Glendę fałszywe opady śniegu, powiedział murzyn, wyłączyły z akcji nie tylko jej męża. Musiała nastąpić przerwa w działaniu i przegrupowanie. Okres słabości dla Unified Traders.

- Co spodziewa się pan znaleźć w domu Loricrofta? - spytał ponownie John Rupert.

- Przesadą byłoby liczyć na znalezienie nazwisk i adresów - przyznałem. - Glenda mogłaby się pozbyć wszystkich wyraźnie obciążających dowodów. Miała dość czasu. Ale gdyby tak w bagażniku jego auta znalazł się wskaźnik poziomu oleju ze śladami takiego samego oleju jak w rozbitym samolocie? A może jakieś oświadczenia bankowe, rachunki telefoniczne, papierkowy ślad?

Potrząsnęli głowami, zamysłem i przygnębieni.

- Chociaż ci handlarze nie są w pełni profesjonalistami, Loricroft z pewnością nie był na tyle niedoświadczony, żeby zostawić w łatwo dostępnym miejscu obciążające dokumenty.

Murzyn był tego samego zdania.

- Wiecie, co myślę? - rzekł. - Jestem przekonany, że łatwiej się teraz do nich dostać, bo są niezdecydowani, nie wiedzą, co robić dalej, ale to nie potrwa długo. Potrzebujemy zatem dobrych pomysłów. Pomysłów, które przyniosą owoce. Pora na genialne posunięcie.

John Rupert uśmiechnął się półgębkiem.

- Potrzebujemy kogoś, kogo by nie podejrzewali o to, że pracuje przeciwko nim.

Obaj goście obrócili się do mnie i utkwili wzrok w mojej twarzy. Jeżeli spodziewają się owocnych pomysłów ode mnie, pomyślałem, to źle trafili - studnia wyschła.

- To ja zwróciłem się do panów o pomoc - przypomniałem. - Moja specjalność to prognozowanie wiatru, deszczu i słońca, a nie bycie mózgiem akcji antyterrorystycznej. Wicie lepiej ode mnie, jak wyciągnąć korzyść ze śmierci członka Unified Traders.

Odczekałem dłuższą chwilę, ale nie wystąpili z żadną propozycją z gatunku owocnych pomysłów, nie mówiąc już o genialnych posunięciach, i z niepokojem stwierdziłem, że to oni czekają na moją inicjatywę, a nie na odwrót.

- Muszę usłyszeć odpowiedź na kilka pytań - powiedziałem z ociąganiem. Chyba zwariowałem, pomyślałem, wypuszczając się w taką podróż, dopóki jednak nie dowiem się, dokąd zmierzam, nie zgodzę się wyruszyć nigdzie. Tylko idiota wyrusza w drogę bez mapy. - Główne pytanie brzmi: czego ode mnie oczekujecie? Następnie, czy jesteście częścią większej organizacji? Czy przekazujecie dalej to, co wam mówię? Co dla was znaczy słowo „my”? Czy na coś się przydam, czy mam raczej chuchać na swoje prątkowe pryszcze i zapomnieć o Unified Traders?

Obserwowałem zmieniający się wyraz ich twarzy i uzmysłowiłem sobie, że stawiam przed nimi bardzo trudną decyzję, mianowicie, co zalicza się, a co nie do kategorii „powinien wiedzieć”.

John Rupert spojrział na swego towarzysza i wstał, wyciągając się na całą wysokość. Murzyn podążył za nim bez słowa do drzwi.

- Skonsultujemy się - powiedzieli. - Wrócimy tu. Życie byłoby prostsze, pomyślałem, gdyby sobie poszli na dobre. O wiele prostsze, gdybym wypłatał się z tej sytuacji. O wiele prostsze, gdybym w ogóle nie poszedł do Kensington. Czego właściwie chciałem? Wypłatać się czy zanurkować?

Podszedłem do okna i spojrzałem na ulicę biegnącą przy budynku. Często zatrzymywały się tu taksówki, przywożące bądź zabierające pasażerów, a mimo to nie byłem przygotowany na to, że John Rupert i murzyn przebiegną chodnik, pomachają na pierwszą taksówkę i odjadą w niewiadome strony. Nawet z wysokości trzeciego piętra rzucały się w oczy siwe włosy murzyna, a długie nogi Johna Ruperta wydawały się jeszcze dłuższe, kiedy stawał bocianie kroki.

Ledwie wioząca ich taksówka skręciła za róg, do pokoju weszła Jett.

- Słyszałeś? - spytała z oczami szeroko rozwartymi z niedowierzania. - George Loricraft leżał martwy.

Przyniosła faks wysłany z BBC do szpitala z wiadomością, że doktor Chand poprosił o zwolnienie mnie na jeszcze jeden tydzień z powodu choroby gruźliczej, a więc nie spodziewają się mnie w pracy do czasu, aż zupełnie wyzdrowieję.

- Proszę się nie martwić - rzekł Ravi Chand, kiedy zajrzał, żeby pocieszyć protestującego pacjenta. - Pewnie i tak wyjdzie pan w niedzielę, ale musi pan jeszcze odpocząć. Ma pan silny organizm, ale nie wie pan, gdzie przebiega granica, poza którą grozi panu sforsowanie. Choroby takie jak ta osłabiają siłę mięśni.

Pomachał do Jett i wyszedł szybko, aż załopotał za nim fartuch.

- Dobrze go znasz - powiedziałem i dodałem, naśladując jego ćwierkliwy akcent: - Moja droga Jett.

- Opiekowałam się kilkoma jego pacjentami, kiedy stąd wyszli - odparła Jett, uśmiechając się do wspomnień. - Jest bardzo ceniony. Przywiozłam cię tutaj, bo Ravi jest specjalistą od choroby popromiennej, a myślałam, że właśnie to ci dolega. Jest okropnie podniecony tym, że znalazł u ciebie chorobę, z którą jeszcze nigdy się nie zetknął. Wiesz, że zamierza opisać twój przypadek i opublikować o nim artykuł?

Została, dotrzymując mi towarzystwa do czasu, aż wrócili John Rupert i murzyn, a wtedy wyszła, zapowiadając się wieczorem.

John Rupert pokiwał głową.

- Kiedy go spytałem, co ma na myśli, powiedział, że pan zrozumie.

Wyglądał nieswojo. Zorientowałem się, że nawet „władza” nie bardzo wie, jak szeroko rozciąga się terytorium tego, co ktoś postronny „powinien wiedzieć”. Moi rozmówcy sprawiali też wrażenie, że nie znają tożsamości swojego przełożonego. Spytałem, kto to jest. Potrząsnęli głowami i przyznali się, że nie wiedzą, ale ponieważ ich praca w ogóle miała tajemniczy charakter, nie byłem pewien, czy im wierzyć.

Obaj oczekiwali, że wobec braku w pełni zadowalających odpowiedzi na moje pytania natychmiast wycofam się z areny. Ale ponieważ nałogowo rozwiązywałem krzyżówki i zachęcono mnie, żebym szukał drogi w labiryncie, który mógł nie istnieć, pomyślałem, że nie zaszkodzi dowiedzieć się więcej o tym, jak pracuje umysł tajnego agenta. Ku zdziwieniu wydawcy i murzyna, spytałem ich o książki.

Murzyn znał się na sztormach jak kura na pieprzu, ale stwierdził, że jeżeli nagram swoje wypowiedzi na taśmę, tak jak mówiłem w biurze, opowiadając z burzliwą swadą i dając popisowy występ, to może z tego być bestseller, a John Rupert radośnie wyliczył, ile by na to wyszło ton papieru. Książka, która na początku była kamuflażem, nieoczekiwanie wypaliła jako dobry pomysł.

W ciągu następnej godziny moi goście coraz bardziej się rozluźniali i nabierali beztroski, domyśliłem się więc, że pani „władza” w Wydziale Zdrowia i Bezpieczeństwa Publicznego, która wysłała mnie do Kensington, nie skierowała mnie na wysoki szczebel antyterrorystycznej drabiny. John Rupert okazał się jednak solidnym środkowym szczeblem prowadzącym do wyższego poziomu i wskazał mi ścieżkę, którą mógłbym pójść, gdybym chciał.

- Co pan postanowił? - spytał.

Panowie przynieśli ze sobą zimne listopadowe powietrze, ale owocnej pomocy jak na lekarstwo.

Murzyn wbił wzrok w czubki butów, przesunął dłonią po włosach i zrobił swoje najlepiej, jak umiał.

- Skonsultowaliśmy się z naszym... hm... przełożonym, który polecił nam przekazać panu następujące odpowiedzi. - Zawahał się, bo widocznie trudno było przełamać nawyk trzymania języka za zębami. - Oto odpowiedzi. - Wyjął z kieszeni na piersi małą kartkę i przeczytał zduszonym głosem. - Tak, jest pan użyteczny, tak, informacje uzyskane od pana są przekazywane dalej, a co do ostatecznego celu działania... - Znow się zawahał i trwał w wymownym milczeniu, aż znow mógł mówić. Spoglądając na kartkę, rzekł: - Zależy nam na ukróceniu działalności Unified Trading Company, ale chcemy także czegoś więcej, chcemy dostać ludzi, którzy się za tym kryją, nieznane zagraniczne grupy, które knują i składają bombę, żeby nią straszyć. To trochę jak infiltrowanie gangu narkotykowego, trzeba dotrzeć poza ulicznych handlarzy, do głównych dostawców towaru.

- Z tą różnicą, że wasi dostawcy handlują wzbogaconym uranem i plutonem, a nie względnie nieszkodliwym towarem, jakim jest kokaina - wytknąłem.

Murzyn poprawił się nerwowo na krześle i czytał dalej.

- Ponieważ doktor Stuart jest przede wszystkim meteorologiem, nie oczekujemy, że będzie nadal zajmował się tą sprawą. - Złożył kartkę i schował. - To wszystko, co mam do przekazania - rzekł z westchnieniem. - John Rupert ma krótszą wiadomość.

Obróciłem się do Johna Ruperta, który także z wahaniem wydobył znacznie krótszą instrukcję. Przeczytał:

- Zwyciężaj cichaczem. Rozglądaj się na boki, bacząc, czegoś się nauczyłeś. Wierzę w ciebie. Jeżeli przepłynąłeś huragan, znajdziesz drogę w labiryncie.

- To są jego dokładne słowa? - spytałem.

- Muszę się namyślić - odparłem.

Kiedy wyszli, siedziałem w fotelu w zapadającym zmierzchu i dałem mojemu umysłowi czas na przefiltrowanie udzielonych mi odpowiedzi i dojście do pełniejszego ich zrozumienia.

Po pierwsze, pomyślałem, dowiedziałem się mimochodem, że mogę znać z widzenia osobę stojącą na następnym szczeblu. Osoba ta miała zapewne, podobnie jak ja, publicznie znaną twarz. Może ten ktoś na następnym szczeblu był politykiem.

Człowiek ten wcale mnie nie zniechęcił, raczej zachęcił do dalszego działania. Wydawało mi się, że zasadniczą treść przekazanego mi przesłania można by zinterpretować tak: „Zniszcz organizację Unified Trading, ale nie pozwól, żeby jej członkowie dowiedzieli się, jak to zrobiłeś”.

Przeniosłem się w swoich rozważaniach z ewentualnej przyszłości do zaskakującej przeszłości i próbowałem na spokojnie, czy dopatrzę się jakiegoś wzoru, któremu mógłbym zaufać, tak jak to się dzieje, kiedy na krosnach kładzie się pozornie bez ładu i składu nici, a one nagle ukazują się jako trójwymiarowa tkanina. Zdarzyło mi się widzieć niejedną taki magiczny obrazek, kiedy efekt trójwymiarowości osiągało się, patrząc nie na to, co bliskie i oczywiste, a na to, co odległe. Prognozowanie pogody w znacznym stopniu opiera się na obrazkach przedstawiających ciśnienie atmosferyczne bliskich i odległych frontów - trójwymiarowych i w ciągłym ruchu.

Bliski i oczywisty w związku z Unified Trading - widziałem to teraz, kiedy było już za późno - był George Loricraft, mający liczne kontakty na torach wyścigowych Europy.

Gdybym był handlarzem, szukałbym albo nieuczciwego fizyka, albo lingwisty, a najlepiej człowieka łączącego obie specjalności. A przecież George Loricraft nie był ani jednym, ani drugim... może zatem trenera koni wyścigowych...

Może handlarze z Unified Trading rzeczywiście byli jedynie łącznikami, a George złamał zasadę spółki zabraniającą przynoszenia towaru do domu, zwłaszcza jeżeli ma się zazdrosną żonę.

Jett przyszła, kiedy doszedłem do tego martwego punktu, włączyła jaskrawe szpitalne światła i spytała, dlaczego siedzę po ciemku.

Błądzą w ciemnościach, pomyślałem.

- Cześć - powitałem ją. - Znasz takie krzyżówki, w których nie ma czarnych kwadratów ani nawet czarnych linii?

- Są okropne - powiedziała. - Nie umiem ich rozwiązywać.

- Czasem zajmują mi tydzień wertowania w bibliotece podręcznej.

- O co w nich właściwie chodzi?

- Trzeba znaleźć, gdzie, u licha, jest jeden poziomo.

- To znaczy, że nie wiadomo, gdzie zacząć?

- Droga Jett, masz rację. A gdzie szukałabyś teczki z zamówieniami i rachunkami?

Gdzie byś ją trzymała, gdyby była twoja?

Odparła, że nie wie, ale spytała, czy mam na myśli teczkę Very z Ośrodka Badań nad Końmi, w której przechowywano dokumentację dotyczącą klaczy Harveya. Teczka wraz z pudełkiem z wonnymi odchodami nadal były w samochodzie.

- Nie - powiedziałem, choć uderzyło mnie podobieństwo. - Ostatnim razem, kiedy widziałem tę teczkę, wnoszono ją na pokład samolotu na wyspie Trox. Gdzie ona teraz jest?

- W samolocie? Potrząsnąłem głową.

- Samolot był wynajęty i wszystko, co znajdowało się na pokładzie, zostało usunięte przed następnym lotem. Przypuszczam, że ma tę teczkę jeden z handlarzy. Nic innego mi nie pasuje, chyba że... - Urwałem, złapałem szybki oddech i doszedłszy do siebie, powiedziałem:

- Zadzwońmy do Krisa.

- Zapomniałeś o mnie - rzekła Jett.

Ale za to przypomniałem sobie o Krisie. Siedział z Bell u siebie w mieszkaniu, jadł tajski ryż i miał zgnębiony głos.

Na moją propozycję złożenia krótkiej wizyty w szpitalu zareagowali natychmiast - przyjechali bardzo szybko z sześcioma butelkami heinekena. Niestety żywe wspomnienia o George'u i Glendzie unosiły się w pokoju, nie pozwalając nam głośno się śmiać.

Bell przywiozła walizkę Glendy, o co ją prosiłem, i sama ją przy mnie otworzyła, ale w środku były tylko najpotrzebniejsze rzeczy osobiste na krótki wyjazd, a teczki ani śladu. Pomysł był dobry, lecz nie przyniósł owoców.

- Ciekawe, że spytałeś o teczkę - rzekła Bell. - Rozmawiałam dziś rano z ojcem o Glendzie i George'u, a tak mi było przykro, że cały czas płakałam, no i tata zadzwonił jeszcze raz i spytał mnie, czy w walizce Glendy była teczka. Błagał mnie, żebym natychmiast poszła i sprawdziła.

- I znalazłaś? - przerwałem jej w pół zdania.

- Niecierpliwisz się jak ojciec. Był okropnie zdenerwowany. A jeśli chcesz wiedzieć, przyjechała z tymi rzeczami, co są teraz w walizce, niewiele tego, ale jeżeli przedtem zabiła George'a... O Boże. - Niepowstrzymane łzy napłynęły jej do oczu.

- Nawet go nie lubiałaś - rzekł ze złością Kris, podając jej chusteczki.

On lubił Robina Darcy'ego.

- Robin Darcy był w Newmarket, prawda? - spytałem BeU.

- Tak - potwierdziła. - Ale wrócił na Florydę.

- Którego dnia?

- Spytaj Krisa.

- We wtorek - rzekł Kris ze znużeniem. - Na długo przedtem, zanim Glenda buchnęła teczkę.

- Co wy tak wszyscy uwzięliście się na tę teczkę? - spytała z irytacją Bell. - Jakby przechowywano w niej klejnoty koronne. Było w niej tylko kilka list zakupów, głównie po niemiecku albo w jakimś innym języku. - Nie spostrzegła, że słucham jak rażony gromem, i beztrąsko ciągnęła: - Tata dostał świra i odleciał w kosmos, ale wrócił na ziemię, kiedy powiedziałam, że teczka wróciła do Newmarket i jest bezpieczna.

Wzięłem oddech, żeby się opanować, i spytałem z niemal zupełnym spokojem, kto ją zabrał do Newmarket.

- Chłopak na motocyklu - odparła. - Kurier.

- A... do kogo z nią pojechał? - spytałem.

- Właściwie to dosyć dziwne - przyznała Bell. - Zwłaszcza kiedy się pomyśli, że Glenda omal nie wydrapała mu oczu na wyścigach w Doncaster.

- Do Olivera Quigleya? - spytałem nerwowo, olśniony odkryciem, a zarazem przerażony.

Skinęła głową.

- Zgadza się. Kurier przyjechał dziś rano z wielką kopertą, wszystko miał opłacone z góry, więc Kris włożył teczkę do koperty, zakleił ją i oddaliśmy ją chłopakowi. Od tamtej pory w ogóle o tym nie myślałam. Kurier przyjechał, zanim dowiedzieliśmy się o George'u. Zanim dowiedzieliśmy się o jego śmierci. A kiedy o tym usłyszeliśmy, wszystko inne odeszło na dalszy plan.

- Hm... A czy Glenda wspominała o przesłaniu teczki Quigleyowi? - spytałem ostrożnie.

- O tym akurat nie trajkotała, ale z Oliverem, owszem, rozmawiała, tyle że niezbyt długo. Może niezupełnie rozmawiała, raczej się kłóciła. Powiedziała, żebyśmy oddali teczkę kurierowi, gdyby po nią przyjechał, a potem wyszła zaczerpnąć trochę powietrza... O Boże, biedna Glenda... Nie wróciła...Kris uniósł oczy w górę i podał jej chusteczki.

- Kurier czekał pod moimi drzwiami, kiedy przyjechaliśmy od ciebie - rzekł. - Powiedział, że strasznie długo czekał. Był trochę zły, ale poczęstowaliśmy go kawą i grzankami, a potem dałem mu duży napiwek, bo mnie rozpoznał, więc odjechał całkiem zadowolony.

- To właściwie głupie, ale odczuliśmy przyjemność z tego powodu, że mogliśmy zrobić coś dla Glendy, chociaż już nie żyła - rzekła Bell. Powiedziała to z całą powagą, ale Kris ukrył uśmiech.

- Wypij piwo - zachęciłem go, ale oddał drugą puszkę Bell.

Przysiadł na parapecie, tyczkowaty, blady, zrównoważony jak nigdy. Po tym, jak otarł się o śmierć w Luton, i po spełnieniu przez Glendę jego głównej samobójczej groźby, dziksza część jego natury w przedziwny sposób uspokoiła się i wyciszyła. Spojrzał na mnie w zamyśleniu i rzekł:

- Zacznijmy od początku, stary. Znajdziemy dla ciebie te papiery, wyjaśnisz nam, po co ci są potrzebne, a potem dam je ojcu Bell, żeby mnie choć trochę polubił jako zięcia.

- Więc ślub nadal jest aktualny? - spytałem.

- Chwilowo tak - potwierdziła Bell.

- Teczka - twardo wrócił do tematu Kris. - Glenda przywiozła ją w walizce, a z całego szumu domyślałam się, że ją ukradła. Jak sobie radzę?

- Świetnie - rzekłem.

- No proszę. W teczce były rzeczy, które chciał dostać Oliver Quigley, i Glenda o tym wiedziała. - Kris urwał, podrapał się w głowę i ciągnął niepewnie: - Pokłócili się przez telefon, Glenda ustąpiła i zgodziła się przesłać teczkę Oliverowi przez opłaconego przez niego kuriera. Rzeczywiście podesłał kuriera z kopertą i tego było dla niej za wiele.

Bell i Jett kiwały głowami, a ja zastanawiałem się, czy Kris naprawdę wierzy w swoją wersję wydarzeń, czy też próbuje wyprowadzić nas w pole... Zacząłem żałować, że stałem się taki podejrzliwy zaledwie po czterech godzinach bycia nieoficjalnym agentem.

O dziewiątej trójka moich gości postanowiła poszukać rozrywki bardziej urozmaiconej niż oglądanie wysypki, tak więc przed północą odkryłem smak samotności splecionej z rozwiązywaniem problemów, przy czym sukces oznaczał, że nikt nie wiedział, że w ogóle istnieje jakiś problem.

W sobotę rano przeprowadziłem pobieżne samooględziny i stwierdziłem, że nastąpiła pewna poprawa, chociaż swędziało mnie teraz pod trzydniowym zarostem. Tydzień po Luton nadal miałem czarne sińce na żebrach, które boleśnie mi o sobie przypominały, ilekroć zapomniałem, że muszę się poruszać powoli i ostrożnie. Tylko w dziedzinie nudności zdecydowanie się poprawiło. Wyjawszy radosne chwile odwiedzin Jett, nie był to najmilszy tydzień mojego życia. Przypominał raczej długą lekcję życiowej filozofii wyznawanej przez babunię: jeżeli nie możesz tego zmienić, myśl o czymś innym.

Przez prawie cały sobotni ranek nabijałem okropnie wysoki rachunek telefoniczny w szpitalu, poszukując motocyklisty, który w czwartek przewoził dużą kopertę dla Olivera Quigleya w Newmarket, i gdy wreszcie znalazłem firmę kurierską, która w ogóle słyszała o Oliverze Quigleyu, dowiedziałem się, że oskarżono ją właśnie o niedostarczenie przesyłki, mimo że paczka została dostarczona według życzenia i potwierdzono jej odbiór.

Pracownik firmy był zdenerwowany i chwilami aż bełkotał ze złości. Poprosiłem go, żeby łaskawie opowiedział mi wszystko jeszcze raz od początku, tylko wolniej.

Zipalong Couriers zgodził się i powiedział, że firma przyjęła zlecenie odebrania i przekazania przesyłki, którą opisałem, że ich człowiek, niestety, musiał wystawić sporo większy rachunek za czas oczekiwania. Ale pan Ironside wynagrodził mu to. Następnie kurier przejechał na motorze do Newmarket, odnalazł dom pana Quigleya, jakiś pan Quigley odebrał kopertę i podpisał pokwitowanie. Cóż winna firma, że teraz pan Quigley się skarży, jakoby kurier Zipalong wcale nie przyjechał, i twierdzi, że w czasie dostarczenia przesyłki on, Quigley, był na wyścigach w Cheltenham.

- O której godzinie dostarczono przesyłkę? - spytałem.

- W południe.

Zanim mojemu rozmówcy przyszło na myśl spytać, jaki mam interes w związku z tą sprawą, dowiedziałem się dosyć na temat kurierskiej etykiety, żeby napisać poradnik dla murzyna.

Podziękowawszy, rozłączyłem się z Zipalong i zadzwoniłem na komórkę Olivera Quigleya, niespokojnego trenera koni, który teraz zdaje się powrócił do swojej normalnej osobowości wyrażanej roztrzęsieniem.

Kiedy złapałem go przez telefon, znowu był na wyścigach w Cheltenham, przed barem Golden Miller. Powitał mnie, zacinając się popisowo i zapominając o własnym, pozbawionym maski obliczu, jakie ujrzałem w Doncaster.

- Zastanawiałem się właśnie, co stało się z Zipalong Couriers - rzekłem.

Pełna zająknięć odpowiedź obfitowała w najmocniejsze słowa ze stajennego języka, ale wyłowiłem z mej zasadniczą informację, że wczoraj, czyli w piątek, kiedy podobno Oliver Quigley kwitował odbiór kopert od kuriera w Newmarket, on był na wyścigach w Cheltenham i siodłał konia startującego w biegu z przeszkodami dla trzylatków. Niepotrzebnie się starał, bo ten wierzchowiec biegał z jedną prędkością - powoli - i nie wygrałby, nawet gdyby Perry Stuart stał tam, gdzie powinien stać - przed kamerami - i podawał dokładną prognozę pogody, zamiast rozczulać się nad sobą i leżeć w szpitalu z powodu paru sińców.

Przy moim trzecim „panie Quigley” zwolnił i spytał „co, co?” Skoro był w Cheltenham, powiedziałem, to kto pokwitował odbiór przesyłki od Glendy?

W przypiływie złego humoru Oliver rzucił coś o tym, żebym nie wtykał nosa w nie swoje sprawy. Bąknąłem, że chętnie mu pomogę przy przewidywaniu warunków na torze na ostatnią chwilę. W takim razie Oliver Quigley wyraził przekonanie, że kiedy kurier ponownie nie zastał nikogo w domu, tak się wkurzył, że sam się podpisał nazwiskiem Quigley, wziął paczkę ze sobą i cisnął ją gdzieś do rowu.

- Naprawdę tak pan sądzi? - spytałem.

- Już oni mnie popamiętają - rzekł, a trząsał się tak, że zastukał słuchawką w zęby. - Wcale nie dostarczyli tej paczki, podam ich do sądu i tak ich przycisnę, aż mi ją zwrócą.

- Powodzenia - rzekłem.

- Mógłbym zabić tę sukę Glendę. Gdyby nie to, że już nie żyje, tobym ją zabił. Jeżeli Zipalong nie znajdzie od razu mojej paczki, nie warto podawać ich do sądu... ale i tak to zrobię. Już ja się postaram, żeby ten złodziej przestał jeździć na motocyklu.

Kiedy tak słuchałem jego niekończących się jęków, pomyślałem z ulgą, jak to dobrze, że tor wyścigowy w Cheltenham jest co najmniej o sto mil na zachód ode mnie.

Po rozmowie z Oliverem spędziłem parę godzin w ciszy i samotności - lekkie trybiki, niczym w milczących jednoręcznych bandytach, weszły gładko na swoje miejsca - potem zaś wykonałem dwa telefony, jeden do Bedford Lodge Hotel w Newmarket, a drugi do Biura Meteorologicznego w Bracknell.

John Rupert i murzyn wyrazili słuszny domysł. Zamordowanie jednego z handlarzy pozostawiło resztę w rozsypce.

Ponieważ John Rupert dał mi numer swojej komórki („na wszelki wypadek”, wyjaśnił), dodzwoniłem się do niego w połowie rozgrywki golfowej, w której chętnie zrobił małą przerwę.

- Mam nadzieję, że się panu nie pogorszyło - rzekł.

- Wręcz przeciwnie. Czy mogę o coś spytać?

- Zawsze.

- Jak poważna była pańska propozycja dotycząca książki o sztormach?

Po głośnym westchnieniu poznałem, że go zaskoczyłem.

- Czemu pan pyta? - rzekł ostrożnie.

- Bopotrzebna jest mi umowa... - przyznałem szczerze. - A właściwie to nie umowa, a zaliczka.

- Zaliczka... na coś specjalnego? Coś pilnego? Jest sobota po południu.

- Myślę, że mogę wam wystawić jeszcze jednego handlarza, ale potrzebuję na bilet do Miami.

Decyzja zajęła mu niecałe dziesięć sekund.

- Jutro wystarczy? - spytał.

Przed niedzielnym lunchem (to był ów jutrzejszy dzień) Ravi Chand przyglądał się mojej blednącej wysypce przez szkło powiększające przy jasnym świetle. Minę miał rozczarowaną.

- Co się stało? - spytałem niespokojnie.

- Z pańskiego punktu widzenia nic. Ale ja widzę to inaczej. Moje laboratoryjne zwierzę wychodzi w polowie badań. - Westchnął. - Jett obiecuje, że będzie przyprowadzała pana co tydzień na nieprzerwane leczenie. Opublikuję artykuł najprędzej, jak to będzie możliwe.

- A co z właścicielami trzody, od której się tym zaraziłem? - spytałem nieśmiało. - Czy moja wysypka nie należy do nich?

- Właściciele, kimkolwiek są, używają trzody jako żywego laboratorium, całkowicie izolowanego od wpływów zewnętrznych. Idealne warunki. Mogą zarobić miliony na nowych metodach pasteryzacji.

- Jak to? - spytałem.

- Zgodnie z obowiązującymi przepisami proces pasteryzacji wymaga, by surowe mleko zostało podgrzane do temperatury 71,7 stopnia Celsjusza, to znaczy 161 stopni Fahrenheita, przez co najmniej piętnaście sekund. Gdyby ktoś opatentował nowy proces wymagający niższej temperatury bądź krótszego czasu, zbiłby fortunę dzięki oszczędności na paliwie. Oto czego szukają. Nie są zainteresowani ani nie eksperymentują na nowej chorobie atakującej ludzi. Gdyby byli, istniałoby ogromne zainteresowanie każdym przypadkiem przypominającym pańskie dolegliwości. A nie było żadnej reakcji na to, co się z panem dzieje. Czas inkubacji był krótki, choroba rozpoczęła się nagle, a proces wyzdrowienia szybko zmierza ku końcowi. To nowa choroba. Jest inna. Jest pan wyjątkowy. Nadałem jej specjalną nazwę dla uczczenia nas obu, *Mycobacterium paratuberculosis Chand-Stuart X*.

Serdecznie uściskał mi rękę.

- Nie mogę zamknąć pana w sejfie razem ze swoimi notatkami, ale bardzo pana proszę, drogi doktorze Stuart, drogi Perry, niechże się pan utrzyma przy życiu do czasu mojej publikacji.

Jett przyjechała po mnie samochodem i Ravi Chand stanął na progu w białym fartuchu, machając nam ze smutkiem, choć zębał się z nami na krótko. Przebywałem pod

jego opieką zaledwie od środy do niedzieli, a już szybka choroba Chanda-Stuarta (uleczalna, dzięki Bogu) rozwijała się na wielu płytkach Petriego w laboratorium, aby zdobyć powszechne uznanie.

Jett podjechała do mieszkania babuni, gdzie na drugi dzień miała znów podjąć pracę. Wydawała się zadowolona z tego, ale dla mnie nadchodził kres bliskości, którą tak sobie cenilem przez cały tydzień. Jett zapadła mi w serce.

Babunia wykrzyknęła przestraszona, widząc, jak wychudłem. Oczekiwanie na mnie uprzyjemni, jej John Rupert, który z mojego powodu przełożył grę w golfa i porozkładał wszędzie, gdzie się dało, kontrakty na książkę o sztormie.

Kiedy wszystko już było podpisane, uściśnął rękę babuni, a mnie obdarzył ogromnym czekiem wystawionym na towarzystwo kredytowe, które miało pokryć wszelkie moje wydatki.

- Pieniądze na wyciągnięcie ręki, a będzie ich jeszcze więcej, kiedy murzyn napisze pierwszą stronę - obiecał.

Kiedy wyszedł, babunia poprosiła mieszkającą u niej „kochaną dziewczynę”, żeby oddała mi małą przesyłkę, przyniesioną dzień wcześniej przez listonosza. Znaczek wskazywał, że wysłano ją z Miami, a dałem tam adres babuni tylko jednej osobie.

Unwin z żółtożęby uśmiechem przesłał mi, o dziwo, najwspanialszy prezent, ponieważ kiedy przekopałem się przez długie zwoje zabezpieczającej folii, znalazłem list owinięty wokół plastikowej torebki, a w niej jakże znajomy mały przedmiot - stary ubłocony aparat fotograficzny. Zaskoczony i uradowany, otworzyłem list i przeczytałem:

Perry,

Przewiozłem grupę ludzi na Trox. Na ich czele stała kobieta. Twierdziła, że wyspa należy do niej. Straszna baba. Znalazłem aparat tam, gdzie mówiliś. Wszyscy pas naprzykrzali się okropnie przez cały dzień, więc nie powiedziałem im o aparacie. Powodzenia

Unwin.

Wyjaśniłem, skąd się wzięła przesyłka, zadowolony odłożyłem aparat do kieszeni i zacząłem telefoniczne poszukiwania Krisa i Bell. Okazało się, że Bell pojechała do domu do Newmarket, gdzie razem z ojcem nieoficjalnie kierowała stajnią Loricrofta.

- To okropne - powiedziała bliska łez. - Oliver Quigley i tata nie myślą o niczym innym, jak tylko o tej cholernej teczce, której nigdzie nie widać. Pojechali dziś znów do Cheltenham, a mnie zostawili na posterunku. Tata szaleje z niepokoju i nie chce mi powiedzieć dlaczego.

- Gdzie jest Kris? - spytałem ze współczuciem. Odpowiedziała, że złapię go w Centrum Meteorologicznym, gdzie miał czytać radiowe prognozy pogody aż do północy; nie spodziewała się, że będzie spał u siebie.

- Lepiej się czujesz? - nie zapomniała się spytać. Podziękowałem, że nieźle, dodając, że wypuszczono mnie z klatki.

- Co znaczy „pas”? - spytała Jeff, czytając list Unwina.

- Pasażerowie - podpowiedziała babunia, która przez większą część życia występowała w tej roli. - Perry, kiedy już zjesz kolację z baru i powiesz dobranoc naszej kochanej Jett van Els, połóżysz się na sofie i porządnie się wyśpisz. Nawet nie myśl o powrocie do domu. Nie dałbyś rady wejść na te strome schody, wyglądasz zbyt krucho.

Nigdy nie sprzeciwiałem się wprost babuni, ale znajdowałem sposoby obchodzenia jej zakazów, kiedy zatem poprosiłem, żeby pożyczyła mi ciepły edwardiański płaszcz z głębokimi kieszeniami w stylu Sherlocka Holmesa, rzuciła tylko „weź rękawiczki” i „wracaj szczęśliwie”. Nie było mowy o żadnych ciarkach, co podniosło mnie na duchu.

Pocałowałem ją w czoło - oboje byliśmy zmęczeni - i pojechałem z Jett jej samochodem na dworzec Paddington, terminal pociągów jadących na zachód, miejsce igrania ze śmiercią maniaków popadających w depresję (ale nie Glendy) i przybytek prostej samoobsługowej fotokopiarki z otworem na monety.

Po pożegnaniu tak długim i intensywnym, że było godne Romea i Julii, Jett przyznała się, że wysłuchała opinii lekarskiej Raviego Chanda w niedzielnym wydaniu.

- Co powiedział?

- Wstrzymaj się jeszcze tydzień. Już i tak za długo czekałem.

- Jeżeli tak wolno będziemy to rozkręcać, nasze zaręczyny bez zaangażowania mogą potrwać pięćdziesiąt lat.

Uśmiechając się błyszczącymi oczyma, pomogła mi zrobić odbitki wyników badań Very nad końmi. Kiedy rozstaliśmy się dwie krótkie uliczki dalej, zostałem z kompletem odbitek Very w żółtej teczce i z oryginałami spiętymi klipssem w dwu głębokich kieszeniach z przodu płaszcza.

Okolo północy siedziałem pod drzwiami Krisa i czekałem, jak niedawno kurier Zipalong, aż pan synoptyk wróci do domu.

Stanął jak wryty, z kluczem w ręku, kiedy zobaczył, że czekam na niego o tak późnej porze.

- Zatrzasnąłem u siebie drzwi i nie mogłem wejść - wyjaśniłem, wzruszając ramionami. - Czy mógłbym się u ciebie przespać?

Spojrzał na zegarek. Powiedział okej bez wielkiego entuzjazmu, ale sam przecież nieraz łądował o północy pod moimi drzwiami.

- Wchodź - zaprosił mnie. - Zdejmij płaszcz. Wyglądasz, jakbyś był okropnie chory. Kawa czy herbata?

Nie chciałem się rozbierać, bo było mi za zimno. Kris zagotował wodę i zaczął stukać kubkami.

- Nie wiem, co wysłałeś do Newmarket przez kuriera, ale to nie były zabrane przez Glendę papiery George'a.

- A ty skąd to wiesz, u licha? - Wybałuszył na mnie oczy.

- Kto inny mógł się postarać, żeby kurier dotarł do domu Quigleya o odpowiedniej porze? Zatrzymałeś biednego motocyklistę, częstując go grzankami, aż nabrałeś pewności, że dotrze na miejsce po wyjeździe Quigleya na wyścigi w Cheltenham.

- Zrobiłem tylko taki żart staremu marudzie - rzekł ze śmiechem Kris.

- Łatwy z niego obiekt do żartów - przyznałem.

- Glenda doprowadzała nas do szału, kiedy przez cały czwartek mówiła o tym, że ma mnóstwo papierów George'a, stanowiących niezbity dowód jego zdrady. Mieliśmy tego dosyć. Potem zadzwonił Oliver i strasznie się z nią pokłócił. Powiedział jej, że zabrała listę koni, które miały startować w Niemczech, że ta lista należy do niego i że żąda jej zwrotu.

- Ale ty jej nie odesłałeś.

- No nie. - Uśmiechnął się wesoło. - Głupi Oliver zaświrował jak nie wiem co.

- To co ty w końcu wysłałeś do Newmarket?

- Listę koni. Wycinki z gazet. A bo co?

- Czytałeś listę, którą powinieneś był wysłać?

- Skądże znowu - odparł. - Jest po niemiecku.

- Pokaż - poprosiłem.

Skinął głową, chętnie przeszedł do swojej spartańskiej sypialni, otworzył szufladę i wyjął spod skarpetek najzwyklejszą żółtą teczkę. Bez cienia żalu podał mi ją, a jeden rzut oka wystarczył, żeby przekonać się o jej zawartości. Inne dokumenty niż na Trox, lecz służące temu samemu celowi.

- Proszę bardzo - rzekł Kris. - Glenda myślała, że to listy miłosne. Ale to są tylko listy koni. Widzisz to słowo? - Pokazał je. - Oznacza konie wyścigowe.

Wskazał słowo Pferderrennbahn.

- Ono znaczy tor wyścigowy - poprawiłem łagodnie.

- No i co z tego?

- Hm... no cóż... Kto spotkał się z kurierem w domu Olivera i pokwitował odbiór? - spytałem.

- Zgadnij.

- Bo ja wiem... może Robin Darcy?

- Jesteś cholernie sprytny.

- Przyjaźnisz się z Robinem, który zatrzymał się w Bedford Lodge Hotel, zaledwie sto jardów od stajni Quigleya, z tego, co wiem. Więc któżby inny? To było oczywiste, nie trzeba być sprytnym, żeby odgadnąć.

- Tak, to był tylko żart. Jak go przejrzałeś?

- Mówiłeś nam, że Robin wyjechał do Miami we wtorek... Jakie to ma znaczenie? Tak się złożyło, że zadzwoniłem do tego hotelu i powiedziano mi, że wyjechał wczoraj. Nieważne. Może zrobimy kopie tych niemieckich listów. Da się to zrobić po drodze na stacji Paddington, a potem zobaczysz, jaką minę zrobi Oliver, kiedy mu pokażesz, że jednak ocaliłeś te jego bezcenne listy. Rozsądek nakazuje zrobić kopie. Byłoby fatalnie, gdyby Oliver pozwał cię do sądu za to, że zgubiłeś oryginały.

Kris ziewnął, westchnął i przyznał mi rację.

- Zrobię to dla ciebie - powiedziałem. - Jeżeli chcesz.

- Lepiej, żebym z tobą poszedł. Chodźmy od razu i załatwmy sprawę.

- Świetnie.

Wziąłem teczkę, mobilizując energię, o którą się nie posądzałem, opuściłem sypialnię Krisa, przemierzyłem hol i wyszedłem z mieszkania, nie oglądając się za siebie i nucąc marszową melodię, jakbyśmy udawali się na dawno zaplanowaną miłą przechadzkę.

Słyszałem, jak Kris pomrukuje z powątpiewaniem za moimi plecami, ale na dworzec nie było daleko, a mój zapal zagrzewał nas obu.

Wysłałem Krisa po monety do maszyny i szybko zrobiłem kopie, kładąc na wierzchu niemiecką listę, żeby cały świat - Kris także - mógł ją zobaczyć. Ruszyliśmy z powrotem do jego mieszkania - ja z teczką ukrytą w babcinym płaszczu, a on, przyciskając do piersi teczkę Glendy.

Traciliśmy zapal i rozpęd, noc przeniknęła nas chłodem, a Kris powiedział niepewnie:

- Mam nadzieję, że Robin uzna zrobienie tych kopii za dobry pomysł. Lada chwila przyjdzie po teczkę. Zapowiedział się po pierwszej, kiedy przyjdę z dyżuru.

- Myślałem, że jest w Miami - rzekłem też niepewnie.

- Jedzie jutro. Zmienił plany. - Spojrzył na zegarek. - W każdej chwili może się tu zjawić.

- Naprawdę?

To mi się nie podobało. Musiałem spokojnie się wycofać, powoli odejść. Kris szedł przede mną, opanowany przez narastające wątpliwości, gdy wtem przyspieszył kroku, mówiąc:

- Sam nie wiem. O, jest! - wykrzyknął radośnie. - Powiedzmy mu...

Zatrzymałem się, przestałem go słuchać, obróciłem się na pięcie i ruszyłem w stronę stacji, wyteżając siły, nadszarpnięte gruzlicą rzekomą, do chwiejnego biegu.

To był dzień, w którym przyszło mi zużyć jeden z dwudziestu dziewięciu żywotów.

Kris zawsze biegał szybciej ode mnie, ale nie od krążącej taksówki, której kierowca był przekonany, że ratuje nowego pasażera przed napaścią. Wgramoliłem się niezgrabnie do taksówki, która skręciła na dwóch kołach w boczną uliczkę, a wtedy dojrzałem, że dwie goniące mnie postacie stanęły tuż przed mieszkaniem Krisa i trzymając się pod boki, podążają spojrzeniem za ofiarą, która wymknęła im się z rąk.

W świetle latarni błysnęły ciemne szkła w grubej oprawie, a po okrągłej głowie i niskiej posturze bez trudu rozpoznałem Robina. Za nim stał wysoki, jasnowłosy, sfrustrowany, boski Nordyk.

Kris wciąż przyciskał do piersi żółtą teczkę Glendy, chociaż nie zawierała teraz niebezpiecznych materiałów po niemiecku, lecz wykonane z pomocą Jett kopie sporządzonej przez Vere po angielsku dokumentacji przebiegu choroby popromiennej u klaczy przebywającej w Ośrodku Badań nad Końmi.

W jednej głębokiej kieszeni miałem, tak jak poprzednio, oryginały Very, a w drugiej prawdziwy dar United Trading Company dla ludzkości, spuściznę Loricrofta - gdzie, kiedy, ile i o jakiej mocy będzie można kupić U-235 i Pu-239.

Taksówkarz spytał, gdzie chcę jechać. Gdybym się przyznał, czego naprawdę chcę, musiałbym powiedzieć, że chcę iść do łóżka z ciepłą, zdrową, kochaną Jett. Poprosiłem natomiast, żeby zrobił kółko i odwiózł mnie z powrotem na stację, gdzie mogłem znaleźć dość ciepła, aby nie pogrążyć się w czarnej melancholii.

Usiadłem na ławce w poczekalni, popadając w takie samo odrętwienie, w jakim znajdowali się prawdziwi pasażerowie i głodni biedacy.

Moja odruchowa reakcja, nagła ucieczka od Krisa i Robina, była głupim posunięciem, jak stwierdziłem po chwili zastanowienia, nie mogłem jej wyjaśnić ani odpowiednio za nią przeprosić. Chwilowe szaleństwo, oto czym była ta ucieczka. Owszem, miałem w kieszeni listy nielegalnych materiałów, obciążające dowody, ale dowody przeciw komu? Komu

miałem oddać teczkę? Komuś o szczebel wyżej od Johna Ruperta? Gdzie go znaleźć? I kto by to był?

Długo myślałem o tajemniczych przesłaniach przekazanych z góry.

Zwyciężaj po cichu.

Przyglądaj się uważnie temu, czego się dowiesz.

Nie zrobiłem ani jednego, ani drugiego.

Jeżeli przez ten labirynt wiodła jakaś ścieżka - jeżeli był w ogóle jakiś labirynt - czy zagadkę należało rozwiązywać, wychodząc na zewnątrz czy schodząc coraz głębiej?

Teczkę z kopiami Very dałoby się wyjaśnić jako dalszy ciąg żartów pod adresem Olivera Quigleya. Chciałem skwitować ją śmiechem i mogłem tak zrobić. Dlaczego uciekłem przed Robinem?

Goniłem za rozsądkiem przy końcu delirycznej wizji, w której Robin i Kris stali ramię w ramię i kiwali na mnie, żebym zbliżył się do wymierzonego we mnie rewolweru i tak zakończył życie. Podświadomie od tamtej pory myślałem o nich jako o współnikach, chociaż nie wierzyłem, żeby Kris był zdolny do okrucieństwa i zbrodni. Wiara w dwa przeciwieństwa jest powszechna, na przykład ludzie, którzy nie znoszą bogaczy, kupują co tydzień los na loterii, mając nadzieję, że staną się tacy jak ci, którymi pogardzają.

Przyglądaj się uważnie... O co mu chodziło?

Starałem przyjrzeć się uważnie wyspie Trox. Grzybom, krowom, ogólnoswiatowej anarchii.

Przyjrzałem się uważnie Odynowi...

Zasnąłem.

Kiedy obudziłem się o szóstej, stwierdziłem, że mój śpiący umysł rozwikłał tajemnicę uważnego przyglądania się. Uważnie, pomyślałem ziewając, znaczyło w głębokim uśpieniu.

Nikt nie zakłócił mojego spokoju w ciągu pięciu godzin, które spędziłem skulony w kącie. Kiedy jednak zerknąłem w lustro paradujące jako reklama piwa, zobaczyłem, że wprawdzie wysypka zbladła i zostały z niej różowo-brązowe cętki, ale oczy miałem zapuchnięte, a szczęki pokryły się czarnym zarostem. Ponieważ przypuszczałem, że nikt nie rozpozna w takim ludzkim wraku schludnego człowieka, jakim zwykle byłem, nie zmieniłem niczego w swoim wyglądzie i przeszukałem napełnione poprzedniego dnia kieszenie babcinego płaszcza a la Sherlock Holmes.

Oprócz teczki z niemieckimi papierami Lorierofta i kopiami znalazłem oryginały Very, aparat fotograficzny i portfel. W aparacie było trochę błota z wyspy Trox, za to z portfela wysypałem bardziej przydatną zawartość: paszport, kartę kredytową, czek, kartę telefoniczną, międzynarodowe prawo jazdy i garść pieniędzy pożyczonych od Jett.

Ledwie zapaliło się światło w pobliskim punkcie fotograficznym, gdzie już od ósmej rano - jak głosił napis - można było zrobić sobie od ręki zdjęcie do paszportu, zapukałem do drzwi z zamiarem sprawdzenia umiejętności rezydującego w środku rozlazłego nastolatka, który zdumiał mnie tym, że się ożywił, kiedy spytałem, czy zna jakiś zakład, gdzie mógłbym o tak wczesnej porze uzyskać fachową pomoc. Popatrzył na aparat, a potem przyjrzał się mnie.

- Perry Stuart? - spytał. - Wygląda pan gorzej niż zwykle. Coś się stało?

- Już mi się polepsza - zapewniłem.

- Mogę pożyczyć panu maszynkę do golenia - zaproponował, pukając bezmyślnie ołówkiem w aparat. - Chce pan sprawdzić, czy pod tym błotem coś się zachowało i nadaje się do wywołania?

- Zna pan kogoś, kto mógłby to zrobić?

- Daj pan spokój! - Poczul się urażony moim pytaniem. - Cztery lata uczyłem się w szkole wieczorowej tego zawodu. Proszę wrócić za godzinę. To zaszczyt wywoływać pana film, panie Stuart. Zrobię to na medal.

Moje nadzieje przygasały. Rozlazły głos; rozlazła mowa. Żałowałem, że nie poszedłem gdzie indziej.

W sumie jednak więcej było plusów niż minusów z posiadania znanej twarzy. Kiedy wróciłem po godzinie, zobaczyłem tacę przykrytą serwetą, a na niej dzbanek z kawą, koszyczek z ciepłymi bułeczkami i kilka innych luksusów.

Nawet elektryczną maszynkę do golenia w ozdobnie wyciętej na brzegach papierowej serwetce. Podziękowałem rezydentowi punktu usługowego za okazaną troskliwość i z konieczności wysłuchałem szczegółowego wykładu o ratowaniu negatywu uwięzionego w krowim placku.

Zjadłem, ogoliłem się, wyraziłem szczerzy podziw dla jego umiejętności. Przyglądałem się, jak fachowo wykonuje kolorowe odbitki, i dałem mu kilkadziesiąt autografów, kiedy odmówił przyjęcia zapłaty. Nazywał się Jason Wells. Uścisnąłem mu rękę, nie wiedząc, co powiedzieć, i poprosiłem o wizytówkę.

- To interes mojego wujka - wyjaśnił. - Kiedyś będę miał własny. Czy pozwoli pan, że zrobię panu zdjęcie i powieszę je potem na ścianie?

Zaczął mnie pstrykać ze wszystkich stron i sprawiał wrażenie, że został dostatecznie nagrodzony za trzydzieści sześć oczyszczonych negatywów i zdumiewające powiększenia, które po chwili ze sobą zabrałem.

Rozdział 12



Paradoksalnie podziw i szacunek bijące z rozlanej twarzy Jasona Wellsa, jak również jego fachowość i poświęcenie, rozbudziły we mnie poczucie własnej wartości uspięne podczas okropnie osłabiającej choroby. Zbyt długo umysł nawykły do dziesięciu tysięcy obrotów na minutę tracił czas na szukanie hasła numer jeden poziomo.

Jason Wells mógł uważać, że niechlujny wygląd jest w sam raz dla niego, ale mnie nie pasował, moje ekranowe ja było zupełnie inne. Pora, żeby ekranowe ja zabrało się do roboty, postanowiłem.

Powiedzieć, że tweedowy płaszcz babuni był edwardiański, to za mało, on był po prostu wspaniały; miał charakter. Moja twarz wyglądała znacznie lepiej, kiedy się ogoliłem i miałem gładkie policzki. Uczesane włosy ułożyły się zgodnie z zamysłem fryzjera, który nadawał mojej głowie zgrabny kształt przed występami w BBC. Kupiłem w drogerii niezbędne przybory toaletowe, a w sklepie odzieżowym koszulę, krawat i spodnie, żeby wyglądać jak należy. Nabyłem także neseser, żeby gdzieś pomieścić swoje rzeczy, oraz kilka filmów, nowy aparat i baterie od Jasona Wellsa.

Potem wystarczyło, że trzymałem się prosto, podawałem swoje nazwisko, wyjaśniałem, czego mi potrzeba, i wymagałem. Cóż z tego, że nadal nie czułem się dobrze, miałem mdłości. Przez te ostatnie tygodnie, poniewierany przez los, zapomniałem, jaki jestem przebojowy.

Chcę pojechać pociągiem na lotnisko Heathrow, powiedziałem.

- Oczywiście, doktorze Stuart, proszę tędy. Ekspres do Heathrow jedzie piętnaście minut bez zatrzymywania się.

Chcę lecieć do Miami.

- Oczywiście, doktorze Stuart. Pierwsza klasa, naturalnie?

Chcę zdeponować czek w towarzystwie kredytowym, żeby mieć stale pieniądze w podróży.

- Oczywiście, doktorze Stuart, towarzystwo kredytowe zaraz przyśle przedstawiciela do poczekalni pasażerów pierwszej klasy, żeby to uzgodnić. Będą też panu potrzebne dolary na drogę.

Chciałbym wziąć prysznic przed wejściem na pokład.

- Oczywiście, doktorze Stuart. Nasz wydział usług specjalnych zaspokoi wszystkie pańskie potrzeby.

Muszę zadzwonić do moich wydawców w Kensington i zorganizować spotkanie w jakimś pokoju na osobności.

- To żaden kłopot, doktorze Stuart. W poczekalni Executive Club jest nasze centrum biznesowe.

Czując się rozpieszczany, gdy tak dbano o moje potrzeby, koniec końców wylądowałem przed telewizorem. I jak to zwykle bywa, ktoś przełączył na kanał z zapowiedzią pogody po drugiej stronie Atlantyku.

- Będzie pan miał złą pogodę w Miami, doktorze Stuart - mówili ludzie, kiwając z zadowoleniem głową. Myśleli, że wybieram się w podróż właśnie z powodu złej pogody, chociaż kiedy ostatni raz dzwoniłem do Biura Meteorologicznego, zostałem aż z pięciodniowym wyprzedzeniem ostrzeżony o nadciągających burzach. Stojąc przed najświeższą dokładną prognozą pogody na Heathrow, usłyszałem, że bardzo późno jak na tę porę roku w rejonie Karaibów może się ukształtować słaby cyklon. Gdyby ten tropikalny sztorm się rozbudował, co według przeszłych prognoz wydawało się mało prawdopodobne, miał dostać imię Sheila.

Przy obecnym ciśnieniu 1002 hektopaskali wyglądało na to, że wszystko rozejdzie się po kościach, ale nie tak dawno temu podobnie było z Odysem.

Prezenter wyjaśniał, jak nowoczesne metody przewidywania sztormów pozwalają ratować życie i mienie. Samym przygotowaniem nie można odeprzeć ataku sztormu, powiedział, ale można zmniejszyć jego skutki. Wiedza z wyprzedzeniem jest nieoceniona.

Zblazowany biznesmen stał obok ranie, ze szklaneczką z lodem w ręce, patrzył cynicznie na prawdziwy postęp w technologii badania atmosfery i spytał znudzony:

- Jest jeszcze coś nowego?

Nowy jest radar Dopplera, pomyślałem, powstały nowe satelity i generowane komputerowo trójwymiarowe modele, no i jeszcze są idioci, którzy uganiają się za huraganami, wlatują w oko cyklonu i omal nie toną w morzu. Tyle starań, taki ogromny trud, żeby znudzony cyniczny biznesmen popijał sobie dzin z tomkiem.

Usługi specjalne zabrały mnie stamtąd, proponując wygodne fotele, coś do zjedzenia, gazety z krzyżówkami, telefon do Londynu. Wystukałem numer babuni, ale odebrała Jett, na co zresztą liczyłem. Właśnie zaczęła tygodniowy dyżur i ucieszyła się, że słyszy mój głos.

- Gdzie się podziewałeś wczoraj wieczorem? - spytała niespokojnie. - Kris mówi, że szukał ciebie wszędzie. Rozmawiałam z nim dziesięć minut temu. Myślał, że tu cię zastanie.

- I pewnie nie był ze mnie zadowolony - powiedziałem z żalem.

- Nie mówiłabym ci tego, ale był bardzo, bardzo zły. Więc gdzie teraz jesteś?

Jeżeli przepłynąłem huragan, pomyślałem, to znajdę drogę w labiryncie. Zaczynałem rozumieć, dokąd zmierzam, i ogarnęło mnie lekkie oszołomienie i beztroška.

- Czekaj na mnie - rzekłem z uśmiechem. - Innych porzucaj.

- Chciałbyś!

- Zachowaj siebie tylko dla mnie. - Po cóż, u licha, wypowiedziałem te słowa?

- Dopóki śmierć nas nie rozłączy? Czy ty wiesz, o czym mówisz?

- Na dobre i na złe - odpowiedziałem z przekonaniem.

- Jesteś pewien? - spytała niepewnie. - Czy to tylko żart?

- W poniedziałek rano nie żartuje się na temat małżeństwa. Tak czy nie?

- Wobec tego... tak.

- Świetnie! Powiedz babuni, że tym razem to na dobre... i... jeżeli rozwiążę tę krzyżówkę, wrócę pod koniec tygodnia.

- Perry! To wszystko? Za mało.

- Uważajcie na siebie, ty i babunia - powiedziałem i odłożyłem słuchawkę, słysząc jeszcze jej protest: „Perry!”, bo nie chciała, żebym się rozłączał.

Czy powiedziałem to szczerze? - myślałem gorączkowo. Czy naprawdę można całkiem spokojnie oświadczać się w poniedziałek rano? Czy to był jakiś głupi impuls, czy też obietnica na zawsze? Takie impulsy, które przychodzą nie wiadomo skąd, odpowiedziałem sobie, nie są wcale impulsami, są to już podjęte decyzje, które czekały, aż zostaną wypowiedziane na głos.

Oddałem się marzeniom, snując je wokół Jett, gdy tymczasem John Rupert i murzyn przyjechali na Heathrow i odnaleźli drogę do centrum biznesu. Poznałem po ich minach, że nie byli przygotowani na wspaniałość płaszczka babuni oraz schludność, na zdecydowanie i wzmocnioną siłę P. Stuarta.

Uśmiechnąłem się. Jak inaczej pokonałbym drabinę konkurencji w meteorologii? A skoro już myślałem o drabinach, to czy mój wydawca i mój murzyn wspinali się coraz wyżej, czy też schodzili coraz niżej?

Obiecałem im przez telefon paczkę z interesującą zawartością, jeżeli przyjadą na terminal czwarty. Kiedy się zjawili, dałem im niemieckie zamówienia i faktury, a także świeże kopie, które zrobiłem na dostępnych dokoła kopiarkach.

- Same te kopie wystarczą, żeby rozwścieczyć handlarzy Olivera Quigleya i Caspara Harveya, którzy ich szukają dzień i noc. Oryginały składały się na dzieła zebrane nieżyjącego już członka Unified Trading Company, George'a Loricrofta. Zbierał zamówienia od klientów, którzy spotykali się z nim w tym celu na wyścigach konnych, głównie w Niemczech. Gdyby nie umarł, rozdzieliby te zamówienia, jedno po drugim, tym, którzy albo sami mogli je zrealizować, albo przekazywali je dalej. Przypuszczam, że zawartość tych teczek stale się zmienia, czasami na liście zakupów lub sprzedaży jest niewiele pozycji, ale tym razem na szczęście jest ich czternaście. - Umilkłem na chwilę. - Belladonna Harvey nic na ten temat nie wie - ciągnąłem. - Tak samo mój kolega meteorolog, Kris Ironside. Jeżeli mają panowie jakiegokolwiek wpływy u tych, którzy mają rozgryźć tę spółkę handlarzy, postarajcie się, żeby tych dwoje uniknęło kłopotów.

Moje „władze” obiecały, że się postarają. Nawet jeżeli im się uda, pomyślałem, straciłem na zawsze dwoje przyjaciół.

Popatrzyłem na Johna Ruperta i murzyna z szacunkiem i rosnącą sympatią. Niewielu ludzi poświęca swój czas tak jak oni, prowadząc podwójne życie i pozostając w cieniu. Murzyn, jakby równocześnie zapałał do mnie podobnym afektem, wyraził nadzieję, że któregoś dnia zasiądziemy razem nad książką o sztormach.

- Po tej wielkiej zaliczce radziłbym to zrobić - rzekł z ironią John Rupert.

Murzyn pod wpływem nagłego impulsu złamał zasady tajnych operacji.

- Perry, nie martw się - powiedział, a z jego twarzy była pozasłużbowa sympatia i świadomość popełnienia zawodowej niedyskrecji. - Pańscy przyjaciele nie staną przed sądem. Ani Harvey czy Quigley, chyba że popełnią jakieś głupstwo. Nasz przełożony postanowił nie ruszać tych dwóch, żeby znów podjęli działalność. Śledziliśmy handlarzy po to, żeby zdobyć to, co właśnie dostaliśmy od pana, listy materiałów, które klienci zamierzają kupić bądź sprzedać. Jeżeli uda nam się zdobyć listę - taką jak ta, czyste złoto - wysyłamy każde zamówienie, każdy składnik pakietu do naszych kolegów w Niemczech czy też w innym kraju, gdzie prowadzona jest taka działalność, oni zaś kierują sprawę do sądu, zamykają interes, używają dowolnych środków przymusu. John Rupert, ja i kilku innych uważamy, że

należy zidentyfikować handlarzy z Unified Trading Company, czy jak się tam nazywają w tym roku, w tym miesiącu czy w ogóle, następnie na podstawie identyfikacji postaralibyśmy się zdobyć lub skopiować ich zapotrzebowania, najlepiej w taki sposób, żeby o tym nie wiedzieli. Bardzo często, podobnie jak zrobimy to tym razem, nie ruszamy handlarzy i pozwalamy im działać, żeby znów wykraść im informacje. Dzięki tym niemieckim listom, które pan dla nas znalazł, wszyscy ci ludzie, którzy je napisali, którzy zamierzali handlować, staną przed sądem i przestaną robić interesy, niektórzy w sposób gwałtowny. Dzięki tym listom zostaną zebrane i złożone w bezpiecznym miejscu materiały oferowane na sprzedaż. Naszym zadaniem jest właśnie zdobywanie dokumentów takich jak te, które nam pan dostarczył. W ten sposób zduszamy w zarodku akty terroryzmu, zanim terroryści dotrą do etapu szczegółowego planowania. Nie można zrobić bomby atomowej bez odpowiednich materiałów.

Urwał, ale nie z żalem, że tyle mówi! - raczej z zadowoleniem.

John Rupert, który mógłby spojrzeć krzywym okiem na tę szczerłość i próbować powstrzymać murzyna, nie trzymającego się ustaleń „powinien wiedzieć” - nawet John Rupert kiwał głową z aprobatą.

- Widzi pan teraz, że wiemy więcej o uranie i tak dalej, niż się do tego przyznajemy - rzekł. - Dla bezpieczeństwa chowamy się pod maską ignorancji. Już w piątek, w szpitalu, chcieliśmy pana oświecić. Nasz zwierzchnik nie będzie z nas zadowolony.

- Nie przyznawajcie się. Uścisnąłem im dłoń, mocno i ciepło.

- Zawsze szukamy właśnie takich najświeższych listów, jak w tej teczce, o której pan opowiedział za pierwszym razem. I w tylu obcych językach!

- O ile nam wiadomo, nie wypłynęły nigdzie indziej - rzekł murzyn. - Są tak ważne, że ktoś musi ich dobrze pilnować. Zabawne, gdyby wróciły tam, skąd przyszły.

John Rupert uznał tę myśl za niepoważną i puścił ją mimo uszu.

- W Rosji i w Niemczech - rzekł - podobnie jak w wielu innych krajach, rządy są przeciwne terroryzmowi. Z zadowoleniem przyjmują to, co im przesyłamy. Nie wiemy dokładnie, kiedy udaje nam się zapobiec aktom sabotażu czy szantażu, ale dostajemy gorące wyrazy podziękowania.

- Pamięta pan, co stało się z człowiekiem w Everglades... - przestrzegł murzyn.

- Zastrzelono go, bo za dużo widział?

- Zgadza się. Znaliśmy go. Więc niech pan uważa. Ci z Trading Company czasem powstrzymają się od zadania śmierci, ale ci główni handlarze bombami, którzy własnoręcznie wypisują zamówienia na wzbogacony uran, ci prawie zawsze są do tego zdolni.

Zanim cokolwiek obiecałem, przybiegł miły człowiek od usług specjalnych, powiedział, że wszyscy już wsiedli do samolotu oprócz mnie, i ruszył szybkim krokiem, niosąc moją torbę.

Zdażyłem tylko pomachać na pożegnanie Johnowi Rupertowi i mojemu murzynowi. Potwierdzili to, czego się z grubsza domyślałem. Handlarze z Trading Company byli pośrednikami, a John Rupert, murzyn i inni byli łowcami pośredników.

Wszedłem do samolotu obsadzonego niemal do ostatniego miejsca i wypełnionego szumem silników. Powitały mnie domyślne, natarczywe spojrzenia i porozumiewawcze trącanie się łokciami. Z ilu milionów lat składa się pół życia łowcy handlarzy, pomyślałem.

Wydział usług specjalnych przeszedł sam siebie, aranżując wynajęcie samochodu na lotnisku w Miami, w dodatku ten, który mi się trafił, był wyposażony w nieoczekiwane i mile widziane ułatwienie w postaci gadającej mapy. „Skręć w lewo na najbliższym skrzyżowaniu, aby dostać się do autostrady federalnej prowadzącej do Sand Dollar Beach...”

Poruszyłem gałkami i znalazłem kanał radiowy, na którym aż huczało od prognoz pogody.

Nieźródwanie szybki głos terkotał:

- Górne wiatry słabną i zmieniają kierunek nad zachodnim krańcem Morza Karaibskiego, w związku z czym jednocześnie wzmacnia się układ niżowy na wschodzie. Jak się przed chwilą dowiedzieliśmy, cyklon otrzymał oficjalną nazwę Sheila, a prędkość wiatru utrzymuje się powyżej 50 mil na godzinę. Współrzędne Sheili na godzinę czwartą czasu wschodniego dziś po południu wynoszą 16 stopni szerokości północnej, 78 stopni długości zachodniej. Cyklon przemieszcza się z prędkością około 10 mil na godzinę. Przedstawimy zaraz państwu prognozy lokalne, ale najpierw pora na reklamy.

Prezenter mówił głosem tak beznamiętnym, jakby interesowało go tylko jak najszybsze zakończenie biuletynu meteorologicznego i powrót do reklam, zawsze ważniejszych (jako źródło dochodów kanału) niż powstawanie sztormów.

Podane współrzędne sytuowały Sheilę około czterystu mil na południowy wschód od Wielkiego Kajmana; zbyt małe jak na razie zagrożenie, żeby Michael i Amy Ford zaczęli objąć swój wielki dom płytami z dykty zabezpieczającymi przed atakiem morza.

Zmieniłem kanał.

- Jedź dalej autostradą federalną, przejedź nad najbliższym skrzyżowaniem, a potem skręć w lewo.

Samochód doprowadził mnie do właściwej ulicy, a pamięć do liczb niezawodnie zawiadła mnie do posiadłości Robina Darcy'ego.

Zapadł już zmierzch. Zadzwoniłem do drzwi z uczuciem, jakbym robił krok nad przepaścią.

Ciężkich drzwi w średniowiecznym stylu nie otworzył Robin. Evelyn, szczupła w długiej czarnej sukni i mieniąca się sznurami pereł i paciorków, spodziewała się kogoś innego. Powitalny uśmiech spęłzył z jej twarzy, obrzuciła mnie przenikliwym spojrzeniem od stóp do brwi, przyznając niechętnie, że zna mnie, gościłem w jej domu przed trzema tygodniami i że teraz tego żałuje.

- Perry Stuart - rzekła oskarżycielskim tonem - 'dlaczego tu jesteś? Robin na pewno ciebie nie oczekuje.

Pojawił się i on we własnej osobie, ujęty w ramę dwuskrzydłowych drzwi po drugiej stronie holu z marmurową posadzką. Znieruchomiał, nie wykonując żadnych gestów, jakimi zwykle gospodarz daje znać, że cieszy się z przybycia cenionego gościa.

- Tak - rzekł spokojnie. - Perry Stuart. Tak, spodziewałem się ciebie. Może nie dzisiaj, może jutro, ale owszem, spodziewałem się. Jak się tu dostałeś?

- British Airways i Hertz - odparłem. - A ty? Uśmiechnął się słabo.

- Wejdz - rzekł. - American Airlines i żona.

Wyszedłem na środek holu i zatrzymałem się pod zapalonym żyrandolem. Przede mną, jak pamiętałem, był salon, za nim taras, na którym siedzieliśmy wieczorem, a poniżej basen. Po prawej miałem sypialnię, w której spałem, kiedy mnie tu goszczono. Robin i Evelyn zamieszkiwali niezbadane rejony po lewej, tam także była kuchnia jak stodoła, a na samym końcu duży pokój, który przypadł Krisowi.

- Słucham? - rzekł Darcy.

Za moimi plecami - nie mogłem się mylić - Evelyn odbezpieczyła pistolet.

- Nie strzelaj - powiedział Darcy beznamiętnie. - To byłoby nierozsądne.

- Ale czy to nie ten, który... - zaprotestowała Evelyn.

- Ten - przyznał Robin. - Ale martwy na nic nam się nie przyda.

Miałem nową białą koszulę i ciemnoszare spodnie, lecz byłem bez obszernego edwardiańskiego płaszcza, więc z grubsza wyglądałem jak na lunchu u Caspara Harveya.

Robin też - konwencjonalnie ubrany, niepozorny, korpulentny, z chłodnymi oczami za czarnymi oprawkami, które upodabniały go do sowy - on też wyglądał, jakby jego codzienne zajęcie, uprawianie murawy, wypełniało mu całe życie.

Stałem spokojnie pod żyrandolem i myślałem, że popełniłbym fatalny błąd, gdyby ciekawość Robina nie powstrzymała go od zabicia mnie. Po pełnej napięcia chwili podszedł do żony, a ja, chociaż nie opanowałem nerwowego odruchu przełknięcia śliny, stałem, twardo nic nie mówiąc.

- Hm - mruknął. - Zimny, kiedy w niego celują. - Obszedł mnie, a gdy znalazł się przede mną, zaczął wyjmować kule, trzymając pistolet od niechcienia. - O czym myślisz, kiedy nie wiesz, czy nie nadchodzi ostatnia chwila twojego życia? - spytał z zaciekawieniem. - Dwa razy widziałem, jak stałeś w takim bezruchu.

- Kamienieję - odparłem. - Czuję strach. Wykrzywił usta i potrząsnął głową.

- Nie w moim stylu. Napijesz się?

Evelyn powstrzymała go gestem, ale Robin odwrócił się i wszedł do salonu, gdzie stała otwarta butelka szampana i cztery kryształowe kieliszki.

- Ponieważ uciekłeś przede mną w Londynie wczoraj wieczorem - mówił, a ja szedłem za nim - a ściślej mówiąc dzisiaj nad ranem, przybyłeś po to, jak mniemam, aby mnie przeprosić i zwrócić to, co Kris chciał mi oddać, czy tak?

Spróbowałem szampana; wytrawny, ale za dużo bąbelków. Odstawiłem smukły kieliszek.

- Nie masz powodu tak mniemac - powiedziałem spokojnie.

- Pozbądź się go - ponagliła Evelyn, patrząc na zegarek. Robin też spojrział na zegarek i kiwając głową, rzekł do żony:

- Oczywiście, masz rację, kochanie. - A potem zwrócił się do mnie: - Możesz przyjść jutro? O tej samej porze?

Zabrzmiało to jak najzwyczajniejsze zaproszenie. Który z nas, pomyślałem, wygląda na bardziej godnego zaufania, a jednocześnie jest mniej szczery.

Evelyn odprowadziła mnie szybko do drzwi wejściowych. Kiedy się obejrzałem, natrafiłem na odprowadzające mnie spojrzenie - bez wyrazu. Jeżeli chciał mi coś powiedzieć, to nie mógł tego zrobić w obecności żony.

Wyszedłem w ciepłą noc. Gdy drzwi się za mną zatrzasnęły, odnalazłem wynajęty samochód, podjechałem do najbliższego ruchliwego centrum, zaparkowałem przed czteroekranowym kinem i przemierzyłem na piechotę odległość dzielącą mnie od posiadłości Darcych.

Podjazd i masywne drzwi były jasno oświetlone. Skryłem się w bujnej zieleni po drugiej stronie drogi, jak najbliżej domu. Przypuszczałem, że spodziewani goście będą dla

mnie ludźmi obcymi, zarazem jednak miałem nadzieję, że tak nie będzie, bo Evelyn tak bardzo chciała się mnie pozbyć.

Perłowa Evelyn wspaniale udawała semafor, wymachując zegarkiem, także Robin świetnie się spisał, pokazując mi cztery czekające kieliszki do szampana, ale tymi sygnałami jedynie podsyćili moją ciekawość. Kiedy przyjechali goście, gospodarze stanęli w oświetlonych drzwiach, żeby ich powitać.

Gośćmi byli Michael Ford i Amy - poznałbym ich wszędzie. Evelyn i Robin powitali ich wylewnie, a kierowca w czarnej bejsbolowej czapce wysunął się cicho z limuzyny i skrył niedaleko mnie. Potem wyszedł z kryjówki i ruszył na powolny obchód, to pojawiając się, to znikając w pasiastych cieniach liści palmowych - ochroniarz dbający o bezpieczeństwo pracodawców.

Różniliśmy się tylko tym, że on miał broń.

Szofer ochroniarz skończył kolejne okrążenie, w czasie którego stale ginął mi z oczu, i zatrzymał się na drodze przed bramą wjazdową do Darcych, bezpośrednio na wprost mojej kryjówki. Widoczny w świetle gwiazd, oparł się o drzewo i zapalił papierosa. Trwał na swoim stanowisku obserwacyjnym, niczym nieniekuszony, a moją jedyną rozrywką tego wieczoru była snująca się do mnie smuga słodkiego aromatu rozżarzonego tytoniu.

Obaj czekaliśmy dwie i pół godziny na ponowne pojawienie się Michaela i Amy. Szofer ożył bez trudu, otworzył drzwi wozu i odjechał, a ja, choć przykuły mnie do miejsca zeszywniałe mięśnie, już miałem przejść przez drogę i ruszyć do Robina, który, stojąc w drzwiach, patrzył za odjeżdżającym samochodem gości, kiedy pojawiła się za nim Evelyn, położyła mu przekonująco rękę na ramieniu i wciągnęła do domu.

Światła w środku stopniowo gasły, aż paliło się tylko w sypialni właścicieli. Nie widziałem możliwości zobaczenia się tego wieczoru z Robinem sam na sam. W drogę weszła mi Evelyn.

Przez nią straciłem dużo czasu, studiując kształty liści otaczających mnie krzewów Florydy, które słabą mi były rekompensatą za numer rejestracyjny na samochodzie gości, wskazujący, że pochodzą ze stanu - jakżeby inaczej - Floryda. Jak się później dowiedziałem, dla Michaela i Amy dom na Kajmanie był miejscem weekendowych wypadów. Równie okazała rezydencja na północ od Miami była domem.

Wynajęty samochód, który zostawiłem przed kinem, był za daleko, żebym mógł pojechać za Michaeliem i Amy, choćbym bardzo się starał, zresztą chciałem się znaleźć sam na sam z Robinem. Nie wiedziałem, że Michael i Amy nie będą u siebie w domu na Wielkim Kajmanie, a nigdzie ich nie spostrzegłem, kiedy wróciłem do średniej klasy motelu

oddalonego o jedną ulicę od plaży, gdzie znalazłem, jak mi się zdawało, odpowiednio anonimowe lokum.

W skromnym, lecz wystarczająco wygodnym hotelu napisałem długi list do Jett, przelewając na papier wszystkie czułe słowa, które tak trudno mi było powiedzieć jej wprost. Moja kochana babunia mogła ją przestrzec, że kochałem i porzucałem już trzy razy, ale z Jett było inaczej. Tylko jak określić to „inaczej”? Chyba tylko tak, że ktoś, kto mógł kochać *Mycobacterium paratuberculosis Chand-Stuart X*, tak różnił się od innych jak te prątki od Pu-239.

Telewizor w moim pokoju przewidywał krótki żywot cyklonu Sheila, umiejscowionego nad otwartymi wodami 16 stopni szerokości północnej, 79 stopni długości zachodniej i nadal przesuwanego się na północny zachód z prędkością 10 mil na godzinę. Na ekranie pojawiła się na chwilę mapa wraz z ostrzeżeniem o nadciągającym sztormie dla miejscowości Rosalind Bank.

Rano biedna Rosalind Bank mokła w deszczu, ale tropikalny sztorm Sheila, wirujący wprawdzie z prędkością 60 mil na godzinę, nie dawał poważnych oznak organizowania się i przemieszczał się na północ.

Cyklon Sheila, jak obliczyłem w myślach, był oddalony o sześćset mil na południe od Sand Dollar Beach. Gdyby posuwał się cały czas prosto na północ (mało prawdopodobne), uderzyłby w dom Darcych za jakieś sześćdziesiąt godzin, o dziewiątej w czwartek wieczorem, za dwie i pół doby.

Cyklon Sheila perwersyjnie wykręcił znów na północny zachód, przyśpieszył i zasłużył na miano huraganu kategorii pierwszej.

Popływałem trochę w nadal błękitnym i spokojnym Atlantyku, ale większą część dnia spędziłem bardziej produktywnie - kupiłem lokalną gazetę ze szczegółowym programem wyścigów konnych i sporządziłem wiele mówiące listy. Wysłałem kopię swoich prac do Kensington pocztą kurierską, potem przepakowałem swoje rzeczy i krążące po głowie myśli, a w ciągu paru godzin, które mi zostały, porozmawiałem przez telefon z Willem w Centrum Obserwacji Huraganów w Miami (Sheila ładnie rosła w siłę) i z Unwinem, któremu podziękowałem za aparat.

Automatyczna sekretarka Unwina odpowiadała, że go nie ma, ale za trzecim podejściem podniósł słuchawkę, powitał mnie zdziwionymi „halo, halo” i bardzo się ucieszył, że udało mi się wywołać zdjęcia z tego zabłoconego pudełka.

Spytałem go, jak wyglądał dzień Amy na Trox, i nauczyłem się kilku nowych przekleństw. Nigdy więcej, zapewnił, nie poleci nigdzie z tą kobietą. Przyznał, że otwierała i zamykała sejf, ale nikomu nie pozwoliła się do niego zbliżyć.

Wysłuchał uważnie, co miałem mu do powiedzenia, i po głębszym zastanowieniu odparł, że nie będzie problemu i że oddzwoni.

Zostałem w motelu dłużej, niż zamierzałem, ale kiedy w końcu zadzwonił, okazało się, że warto było czekać. Wszystko było przygotowane na następny dzień. Skończył papierkową robotę.

- Spij smacznie, Perry - powiedział.

Podjechałem i podszedłem do tego samego miejsca, gdzie byłem poprzedniego wieczoru, i stojąc przed domem Darcy'ego, nacisnąłem dzwonek.

Tym razem, jakby na mnie czekał, Robin Darcy sam otworzył bez chwili zwłoki ciężkie drzwi i ukazał się moim oczom, a padające ze środka światło uwydatniło jego znieruchomiałą sylwetkę.

Może nie wyglądał jak śmiertelne zagrożenie, ale groźnie na pewno.

Ze swojej strony zobaczył oświetlonego od przodu, odcinającego się na ciemnym tle mężczyznę, wyższego od siebie, młodszego, szczuplejszego i z lepszym wzrokiem, ale posiadającego zaledwie ułamek tej wiedzy i doświadczenia, których on potrzebował. Darcy nie zaprosił mnie do środka.

- Gdzie są listy George'a Loricrofta? - spytał.

- W Niemczech - odparłem twardo.

- Kto z nich korzysta?

- Jeżeli ty nie wiesz, to wracam do domu. Triumfalny głos zdradzający pochodzenie z zachodniego Berkshire zazgrzytał mi nagle i głośno w uszach.

- Nigdzie nie wracasz, kolego. A ten twardy sprzęt, który wbija ci się w nerkę, to nie zabawka, może zrobić dziurkę w głupim chłopcu.

- Masz duży zapas tego twardego sprzętu? - spytałem lekko Darcy'ego.

Dostrzegłem za okularami błysk, który mógł być ostrzeżeniem. Obrócił się na pięcie, kiwnął głową, żebym szedł za nim, i ruszył bezszelestnie, sunąc filcowymi kapciami po marmurowej posadzce do odległego salonu.

Nikt nie musiał mi mówić, że skrzypią za mną buty Michaela Forda ani że klapią za nim sandały Amy jak echo wysokich obcasów Glendy Loricroft.

- Zatrzymaj się i obróć - rozkazał Michael. Pochwyciłem przelotnie wyraz twarzy Darcy'ego, kiedy wykonywałem polecenie, i stanął mi przed oczami niepokojący obraz aligatorów.

Michael miał spodnie do kolan w kolorze khaki i białą koszulkę z krótkimi rękawami, jakby umyślnie chciał zademonstrować wyćwiczone bicepsy. Lekko skrzywione nogi tak jak wcześniej sprawiały wrażenie, że pod ciężarem muskularnych ramion uginają mu się kolana, a gruby kark nie pozostawiał wątpliwości, że opór wobec jego siły byłby daremny.

Amy, o drobnokościstej, wąskiej twarzy, uśmiechała się z satysfakcją, uważając mnie pewnie za kompletnego durnia, skoro wszedłem w taką prostą zasadzkę. Ona też - w płowych spodniach i białej bluzce podobnej do koszuli Michaela - była uzbrojona.

Udając, że nie dostrzegam pistoletu, powiedziałem z wylewną radością:

- Witaj, Amy, jak miło cię widzieć! Ileż to czasu upłynęło od tego wieczoru, kiedy wyratowano mnie z wyspy Trox i znalazłem u ciebie nocleg.

To, co mówiłem, miało być krokiem ku schowaniu nagich mieczy, ale Amy zachmurzyła się i rzuciła ostro:

- Nigdy nie byłeś na wyspie Trox. - Słuchałem ze zdumieniem, jak mówi dalej: - Wyspa Trox jest moja i nikt od czasu Odyna nie ma prawa do niczego, co się na niej znajduje. Powtarzam, nigdy na niej nie byłeś. Widocznie wyratowano cię z innej wyspy. Pomyliły ci się.

Michael skinął potwierdzająco głową, mierząc mnie wzrokiem, i dodał:

- Wszystko na wyspie Trox należy do Amy. Jeżeli nigdy tam nie byłeś, a przecież tak jest, nie możesz do niczego rościć pretensji.

- Kris... - zacząłem.

- Twój przyjaciel Kris potwierdza, że nigdy tam nie byłeś.

Mój przyjaciel Unwin opowiedziałby co innego, pomyślałem, i na razie odpuściłem sobie temat wyspy Trox. Ale obecna sytuacja wymagała trybu postępowania jak na oddziale intensywnej terapii albo w szpitalnym punkcie przyjęć. Chciałem dopaść Darcy'ego sam na sam.

Michael, Amy i Robin Darcy, uporządkowałem myśli, wszyscy troje działali w spółce, byli pośrednikami. W ich grupie było jeszcze co najmniej troje: Evelyn, człowiek, który poprzedniego wieczoru stał na straży, cierpliwy, lojalny i uzbrojony, a szóstym mógł być pilot, siedzący za sterami wynajętego w Downsouth samolotu, którym leciałem z zawiązanymi oczami.

Wszyscy ci ludzie czasami nosili broń, ale najbardziej skora do pociągnięcia za spust była, w moim przekonaniu, Evelyn, obwieszona klejnotami, zadbana i wypowiadająca bez ogródek swoje zdanie. Jej balem się najbardziej.

Obróciłem się i stanąłem twarzą w twarz z Michaeliem.

- Po co ta artyleria? Czemu ma służyć? - spytałem.

- Listy po niemiecku.

- Jakie listy?

Nawet Robin Darcy dokładnie tego nie wiedział, jak spostrzegłem. Gdyby Kris nie powiedział mi, jaki zrobił kawał Quigleyowi, pozostali zapewne nie mieliby pojęcia o istnieniu niemieckich listów.

Zapewne... ale w tym ich pokręconym świecie nie było nic pewnego.

- Komu sprzedałeś te listy? - spytał Michael. Cholera, pomyślałem.

- Jakie listy? - spytałem ponownie.

- Powiedz mi dla własnego dobra - rzekł do mnie Darcy. Uznałem, że rozmowa, jeżeli tak można było nazwać ten zestaw pytań i odpowiedzi, jest na wielu płaszczyznach niezadowolająca. Oni chcieli jednego, ja czegoś innego. Moja kolej. Skok na główkę.

- Jak wypadł wasz koń w sobotnich wyścigach w Calder? - spytałem Amy.

Zupełnie jakbym rzucił bombę. Fala wstrząsu przebiegła po uzbrojonej ręce Amy, aż czarny otwór lufy, skierowany na mój pępek, opadł ku podłodze. Tak silna reakcja była dla mnie dostatecznym dowodem, że Amy także wykorzystuje tory wyścigowe jako przykrywkę do handlu. Długa lista, którą wysłałem do Kensington, zawierała daty i miejsca, gdzie Amy jako właścicielka była kryta. Listy były w moim przekonaniu jedną z możliwości, którą należało udowodnić. Po tym, co przekażę, pomyślałem, John Rupert i murzyn powinni wiedzieć, gdzie szukać.

Robin Darcy zeszywniał.

Michael Ford napiął imponujące mięśnie.

Evelyn weszła z umundurowanym kierowcą ochroniarzem, wykonującym zapewne wszelkie inne zadania. Nikt mi go nie przedstawił, ale mówiono do niego Arnold. Nie miał bejsbolowej czapki ani nie zachowywał się jak służący. Nie poznałbym go, gdyby nie to, że przyglądałem się prawie dwie godziny, jak wypala paczkę papierosów.

Arnold, w czarnej koszuli, nosił pod lewą ręką pistolet w kaburze, przytrzymywanej dla zrównoważenia ciężaru dwoma paskami jak szelki.

Wychowywałem się w środowisku, w którym nie noszono ręcznej broni, nigdy nie oddałem strzału i jak dotąd tego nie żałowałem, ale w domu Darcy'ego poczułem się nagi. Pchać się z gołymi rękami między strzelających to najkrótsza droga na katafalk.

Evelyn miała oczywiście przy sobie tę samą broń co wczoraj, pewnie świeżo nabitą. Mijałoby się z celem prosić ją, żeby obniżyła wzrastającą temperaturę zagrożenia w salonie, ponieważ jej donośny surowy głos raczej by ją podwyższył.

Jedynie Robin Darcy, chwilowo nieuzbrojony, podejmował starania, by utrzymać sytuację w ryzach zdrowego rozsądku.

Zademonstrowana na początku wojowniczość Michaela Forda spotęgowała się jakby sama przez się. Raz po raz prężył mięśnie, jakby rozwinął je wyłącznie w celach destrukcyjnych. Zwrot „rwać się do walki” przebiegł przez mój pokojowy umysł i odruchowo sięgnąłem do języka ciała, żeby rozbroić przeciwnika.

Perry Stuart chodzący w płaszczu babuni uznał, że kulenie się ze strachu nie wchodzi w grę. Jeżeli Michael wyczytał w mojej twarzy mimowolną hardość, to go tylko bardziej rozwścieczyło.

Amy, która najwyraźniej odczytywała reakcje męża z taką wprawą jak wyścigowy Racing Post, postawiła na czempiona, nie tylko żeby wygrać, ale żeby wybić mi z głowy wszelką myśl o ewentualnej późniejszej konfrontacji. Uśmiechnęła się. Lubi patrzeć, jak mąż walczy, pomyślałem. To ją podnieca. W Koloseum wyciem domagałaby się krwi..

- No dalej, Michael - zachęciła go. - Zmusz go, żeby się przyznał, co naprawdę zrobił z tymi niemieckimi zamówieniami. Nie pozwolisz chyba, żeby uszło mu to na sucho. Daj mu wycisk, Michael.

Żadne z nich, prócz Robina, nie wykazywało chęci czy wręcz umiejętności omawiania czegokolwiek, włącznie z niemieckimi listami, jeżeli nie celowało przy tym z broni do swego rozmówcy. Gwałtownie wymyślali straszliwe groźby (bez udziału aligatorów), aż za ich poduszczeniem, wśród głośnych okrzyków, w Michaelu coś pękło i ruszyła lawina nieprawości, najpierw powoli, a potem przyspieszając tak, że już nie można jej było zatrzymać.

W przypadku Michaela Forda lawina oznaczała ciężki atak pięściami, uniesienie przeciwnika nad podłogą i ciśnienie go na meble o ostrych kantach przy akompaniamencie radosnych okrzyków żony.

Evelyn i Arnold bili brawo.

Tylko gospodarz zachował milczenie.

Moje próby osłabienia ataku Michaela, rozpaczliwe ciosy, uniki, kopniaki i uderzanie jego głową w ścianę nie wystarczyły. Nawet gdybym był w najlepszej formie, nie pokonałbym go w walce wręcz, w której był zawodowcem.

Nie śpieszył się. Działał z rozmysłem. Każdy kontakt się liczył.

W pewnym momencie, kiedy uciekłem od niego przez pokój, a on zatrzymał się, żeby złapać oddech, przewróciłem się na najlepszym dywanie Evelyn i podciąłem Darcy'ego.

Pociągnąłem go za włosy, przybliżając jego ucho do moich ust, i szepnąłem wyraźnie, z desperacją:

- Otwórz drzwi na taras i idź do łóżka.

Zobaczyłem zdumienie w jego szeroko rozwartych oczach, a potem z rykiem, na świeżym oddechu nadbiegł Michael i dopingowany bezmyślnymi okrzykami towarzyszy zaczął znów udowodniać miażdżący potencjał swoich mięśni. Wydawało się, że zdobywa się na maksymalny wysiłek, bo rzadko miał po temu okazję.

Wyczerpanie i przegrana były nieuniknione, padłem na kolana dosłownie i w przenośni, kiedy Darcy doszedł do suwanych szklanych drzwi na taras. W tym momencie nie dałbym rady odsunąć nawet jednej ich części, ale kiedy Robin Darcy szarpnął ogromną tafłę szkła na bok, walcząc z tarciami, kiedy usłyszałem zgrzytanie prowadnic i fale bijące o brzeg i wciągnąłem słone powietrze, kiedy otworzyła się przede mną droga ucieczki przed skopaniem na śmierć, zebrałem resztki sił niezartych przez prątki, przeturlałem się pod kopiącą nogą Michaela, odczołgałem się kawałek i zmusiłem osłabione ścięgna do panicznego działania... wypadłem przez szklane drzwi i przebiegłem pół tarasu, zanim zaczęli mnie z krzykiem gonić.

Potykałem się jak pijany, zbiegając po kamiennych schodach do basenu, i niezgrabnie padłem na wodę, bo trudno to było nazwać nurkowaniem. Moja słabość mnie przerażała, mimo starań nie dawałem rady płynąć choćby dwa razy wolniej, niż potrafiłem w swoim naturalnym żywiole.

Jakże się myliłem, myśląc, że jednostronna walka zakończy się w tym momencie. Michael Ford nadał swoim apetytom nowy kierunek. Postanowił nie wskakiwać w ubraniu do wody, ale wyrwał pistolet z rąk Amy i strzelił do mnie - rozbryzgi od gorących kul wykwitły wokół niepokojąco blisko.

Myśl o znalezieniu ciała znanego meteorologa w prywatnym basenie na Florydzie, w dodatku ciała podziurawionego kulami z zarejestrowanego pistoletu, nie powstrzymywała Michaela, a przez grube czaszki jego paczki nie dotarła świadomość, że jego udana akcja skończy się dla nich więzieniem.

Przestałem pływać w kółko, żeby zejść mu z linii strzału. Nie potrafiłem już wyliczyć linii refrakcji. Uczepiłem się, osłabły i ledwie żywy, poręczy biegnącej wzdłuż górnej krawędzi basenu i wcisnąłem się pod obłożony kafelkami, zbyt mały gzyms. Michael zawył żądny krwi, a ponieważ nie udało mu się dosięgnąć mnie z miejsca, gdzie stał, puścił się pędem wokół basenu, żeby dopaść mnie z drugiej strony.

Woda spowolniła kule, ale niewystarczająco. Refrakcja zapewniała tym lepszą osłonę w wodzie, im głębiej znajdował się cel, ponieważ załamane promienie światła dawały złudzenie, że cel jest tam, gdzie go w rzeczywistości nie było. Strzelając do pozornie widocznej ofiary, chybiało się celu. Głęboka woda... Zaczepiłem powietrza, popłynąłem na dół i kule przeszły obok, ale nawet Odyn nie dał się tak we znaki moim płucom.

Tym razem wydawało się, że minęły całe wieki, nim taras i basen zalało ostre światło, nim z krzewów nie wyskoczył rój stróżów porządku w granatowych mundurach, z syrenami, głośnikami, okrzykami i groźnymi pistoletami. Już kiedyś to przeżywałem - trzymając mnie na muszce, kazano mi wyjść z wody, klęknąć, czyjaś ciężka łapa wzięła mnie za kark, w ucho wwiercił się wykrzyczany bełkot, na rękach za plecami szczęknęły kajdanki.

Nie byli to ci sami policjanci co poprzednio. Ci bardziej się bali i w rezultacie byli agresywniejsi. Ponieważ właściwie to ja wezwałem ich, aby ratowali mi życie, nie mogłem narzekać.

Po drugiej stronie basenu Michael, w takiej samej upokarzającej pozycji na klęczkach, próbował wykręcić się z opresji gładką gadką. „Tak żeśmy się tylko zabawiali, to taka gra” - wyjaśniał i powoływał się na przyjaźń z kapitanem, a nawet z komisarzem.

Arnold, podobnie jak Evelyn i Amy, nie mogli zrozumieć, dlaczego tak się ich traktuje. To było oburzające. Zapowiadali, że wszyscy policjanci zostaną zdegradowani.

- Ile dostajecie na rękę? - pytał Michael. - Mógłbym wam zapłacić dwa razy tyle.

W środek tej aż nazbyt dramatycznej sceny wkroczył, ziewając, Robin Darcy w jedwabnym szlafroku, wypatrył najwyższego rangą mundurowego, przeprosił za to, że za sprawą gości wzbudził się cały system alarmowy. „Bardzo przepraszam, poruczniku. Alarm nastawia się według wskaźnika czasowego i automatycznie was wzywa”. Przyniósł, że fałszywy alarm już się więcej nie powtórzy. Wyraził żal, że goście zabawiali się tak żywiołowo, a zawinił on sam, ponieważ zapomniał wyłączyć alarm. Zapowiedział, że z przyjemnością wspomógł, jak zwykle zresztą, Fundusz Balu Policjantów.

Następnie Robin, stawiając drobne nerwowe kroki, poszedł wraz z porucznikiem i rozczarowanym policjantem, który dzierżył klucz od kajdanków, na obchód schwytanych.

Przynieśli wolność Amy, która aż parskała z wściekłości, głośno wyrażającej oburzenie Evelyn (w moim własnym domu!) i Arnoldowi, protestującemu gromkim basem.

Michael też został oswobodzony, chociaż groził wszystkim, co mnie bardzo zaniepokoiło, bliżej niesprecyzowaną, lecz gwałtowną zemstą.

- Moglibyśmy spisać wszystkich pańskich gości za agresywne zachowanie - rzeki porucznik, chowając notes - gdyby nie Sheila.

Darcy przypomniał mi, że ja wciąż jeszcze cierpliwie klęczę, choć tak naprawdę moja cierpliwość była przynajmniej w połowie wielkim obezwładniającym zmęczeniem.

- Kto to jest Sheila? - spytał Darcy. Porucznik uniósł brwi.

- Huragan - odparł krótko. - Nie chcemy zapępiać cel playboyami.

Jego pomocnik zdjął mi kajdanki z rąk, ale Michael tak nadwątlił moje siły, że nie mogłem wstać. Widząc to, porucznik przestrzegł, że nie będzie zważał na huragan i wsadzi pana Forda za kratki, jeżeli znów dojdzie do jakichś ekscesów.

Po wykonaniu zadania policjanci pochowali broń i odeszli, Evelyn zaś, podejmując rolę apodyktycznej hostessy, wprowadziła swoich gości, nie wyłączając Michaela, z powrotem do domu. Mnie obrzuciła tylko wściekłym spojrzeniem i zostawiła na dworze.

Siedziałem na fotelu przy basenie i gapiłem się na spokojne niebo.

Mogłem jakoś wytrzymać z nieprzyjemnym uczuciem, które przepływało falami przez moje protestujące ciało; znosiłbym to lepiej, gdybym coś osiągnął, ale było jeszcze za wcześnie, żeby to stwierdzić.

Gdzieś w głębi domu zadzwonił telefon, ktoś go odebrał. Firma ochroniarska, jak sobie przypomniałem, sprawdzała, czy wszystko w porządku w posiadłości po policyjnym nalocie, który nie skończył się aresztowaniem.

Tylko dzięki Sheili nie doszło do aresztowania.

Robin Darcy, bez towarzystwa, zeszedł z tarasu i usiadł koło mnie.

- Dziękuję - powiedziałem, na co skinął głową.

Siedział przez chwilę w milczeniu, przyglądając mi się, jakbym był okazem żuka. Widział tylko to, jak przypuszczałem, że jestem sztywny i obolały, że każdy ruch sprawia mi trudność, bo taką pamiątkę zostawiły okrutne ciosy i kopniaki Michaela.

Spytałem, czy Michael jest gdzieś w pobliżu, ale odparł, że nie; po ostrzeżeniu policji zmył się jak niepyszny do domu, na północ od Miami, w którym mieszkał razem z Amy.

Jak nakarmiony lew, pomyślałem. Syty.

- Potrafi być brutalny, kiedy zabierze się do rzeczy - rzekł Darcy.

Tak.

Minuty mijały.

- Polecisz ze mną jutro na wyspę Trox? - spytałem.

Wstał raptownie, jakbym wyciągnął na niego nóż, i nerwowym krokiem obszedł basen. Po powrocie usiadł tak jak przedtem i spytał ku memu zdziwieniu:

- Jak mnie postrzegasz? Uśmiechnąłem się mimo woli.

- Kiedy wybrałem się na lunch do Caspara Harveya, Bell Harvey powiedziała mi, że zawsze byłeś sprytny i żebym nie dał się zwieść twojej miłej powierzchowności.

- Bella! Nie sądziłem, że jest taka spostrzegawcza. - To go zirytowało.

- Słuchałem jej, ale tamtej niedzieli nie myślałem, że muszę przywiązywać wielką wagę do jej słów - powiedziałem.

- A mnie się wydawało, że nie jesteś dostatecznie inteligentny, żeby wykonywać swoją pracę.

W jego głosie zabrzmiała rezygnacja, niespodziewany smutek, jakby przegrał jakąś ważną grę. Za bardzo w siebie wierzył, pomyślałem.

- Posłuchałem Bell i podczas naszego pobytu u was i u Michaela i Amy, a potem po katastrofie z Odysem, po której dowiedziałem się o istnieniu Unified Trading Company, widziałem w tobie człowieka, który potrafi osiągać wyznaczone cele, a ponieważ cię lubiłem, bardzo żałowałem, że handlujesz śmiertcionośnymi metalami.

- A teraz uważasz, że nimi nie handluję? - spytał.

- Ależ skąd - powiedziałem. - Jestem pewien, że tak.

- Nie rozumiem.

- Twój cel jest odwrotny.

- Perry... - Poruszył się niespokojnie. - Mówisz zagadkami.

- Ty też. Przesłałeś mi wiadomość, żebym znalazł drogę w labiryncie, no i... znalazłem.

Robin Darcy wyglądał, jakby go piorun trzasnął.

- Jesteś przełożonym Johna Ruperta - dodałem. Czekałem, aż zaprzeczy, ale nie zrobił tego. Był błady.

Przerażony. Bez tchu.

- John Rupert i murzyn konsultują się z tobą - rzekłem. - A ty im mówisz, co mają robić. Są częścią struktury, której jesteś zwieńczeniem.

Robin Darcy wlepił we mnie wzrok, zamrugał, zdjął okulary, zaczął je bez potrzeby czyścić, włożył z powrotem na nos, odchrząknął i spytał, jak doszedłem do takiego wniosku.

Odpowiedziałem, że tego ranka pojąłem działanie instynktu i odruchu.

- Przyszło mi na myśl - ciągnąłem - że skoro, idąc za podszeptem instynktu, polubiłem ciebie, to nie jesteś zły, a jeżeli nie jesteś zły, to nie handlujesz śmiercią. Bardziej prawdopodobne było, że tępisz tych, którzy to robią. Jeżeli tak na to spojrzeć, to oznacza, że doprowadzając do wielu niszczycielskich transferów, zapobiegasz realizacji tych najgorszych, a niektóre gubisz, sam pozostając niezauważony przez kolegów ze spółki. Prowadzisz niebezpieczne podwójne życie. Michael pewnie by cię zabił, gdyby się o tym dowiedział. Dlatego potrzebowałeś kogoś takiego jak ja, kto byłby twoimi oczami, sam o tym nie wiedząc. Wszystko, co powiedziałem Johnowi Rupertowi i murzynowi, szło prosto do ciebie.

- Uśmiechnąłem się smutno. - Lepiej by nam poszło, gdybyśmy porozmawiali wprost.

Robin był poruszony.

- Nie mogłem tego zrobić.

- Nie mieściło się w formule „powinien wiedzieć”? Usłyszał ironię w moim głosie, ale przecież długo kroczył ścieżką podwójnego życia, gdzie „powinien wiedzieć” oddziela życie od śmierci.

- Więc polecisz na Trox? - spytałem ponownie.

- A co z Sheilą?

- Niestety pewnie zabierze się z nami.

- Kto z tobą leci? - spytał.

- Ty i pilot.

- Jaki pilot? Nie Kris?

- Nie.

Siedział dłuższą chwilę w milczeniu, a potem rzekł:

- Nie powinieneś nigdzie się ruszać w takim stanie. Co cię skłania do tej wyprawy?

- Nadzieja.

Nie powiedziałem nic więcej, ale zjawił się na drugi dzień rano, o umówionej godzinie, na ogólnym parkingu dla samolotów na lotnisku Miami.

Pprzedstawiłem go Unwinowi i zaprosiłem do tego samego samolotu, którym leciał już na Trox po wyczarterowaniu w Downsouth.

Unwin uśmiechnął się do mnie wesoło i poklepał mojego towarzysza po plecach. Patrzyłem rozbawiony na niepewną minę Robina po tym bezceremonialnym powitaniu. Wkładając torbę do kabiny, spytałem pilota, jaka czeka nas na tej wyprawie pogoda.

- Lady Sheila zgarnęła spódnicę i wybrała się na północny wschód. Ma kategorię drugą i rozbudowuje się. Gdybym żył na Wielkim Kajmanie, zamawiałbym sobie na dziś odlot z wyspy.

Unwin, od wielu lat zawodowy pilot, poruszał się po samolocie zręcznie i z wprawą, o niczym nie zapominając. Uważałem Krisa za dobrego pilota, ale Unwin pilotował gładko jak marzenie. Kiedy stery były w jego rękach, wyspa Trox wyrosła w miejscu podanych współrzędnych, a wynajęty samolot z dwoma odrzutowymi silnikami usiadł na utwardzonym trawiastym pasie bez przechyłu czy poślizgu. Gdy wyhamowaliśmy przy ruinach kościoła, Unwin zszedł na ziemię sam i poszedł w kierunku wioski, a raczej tego, co z niej zostało.

Wydawało mi się to bardzo dziwne, że znów znalazłem się na tym skrawku lądu, a jeszcze dziwniejsze, że siedzę obok Robina Darcy'ego, za fotelem pilota.

- Słyszałeś, jak Amy mówi, że wyspa należy do niej? - spytałem.

Skinął głową.

- Twierdzi, że jest jej, ponieważ nikt inny od miesiący nie postawił na niej stopy. Podobno jest takie stare prawo.

- Mówiła, że nigdy tu nie byłem.

- Tak, bo nie chce, żeby ktokolwiek podważał jej prawo do wyspy - wyjaśnił Robin.

- Wiesz, wydaje mi się, że ona ma szansę zarobić miliony na metodach pasteryzacji, jeżeli utrzyma stado krów w izolacji od świata. Musisz to wiedzieć, bo pomogłeś jej przegonić mieszkańców radioaktywnymi grzybami. Wróciliście i sprawdziliście stado w ochronnych kombinezonach tego dnia, kiedy przewieźliście mnie i porzuciliście z zawiązanymi oczami na Kajmanie. Stado nie jest radioaktywne i będzie warte kilka fortun. Może.

- Jak to „może”?

- Piłem mleko od tych krów i zaraziłem się nową chorobą o nazwie *Mycobacterium paratuberculosis Chand-Stuart X* - odparłem z rezygnacją.

- A więc dlatego byłeś w tym szpitalu! Ale najwyraźniej się wykurowałeś. Nie będzie dowodu, że byłeś na wyspie.

- Będą antyciała.

- Ach - westchnął, a potem jeszcze raz: - Ach. I pewnie setki płytek z bakteriami.

- To też.

- A więc możesz udowodnić, że byłeś na wyspie.

- Nie tylko to. Amy nie spodoba się choroba, której można się nabawić, jeżeli jakiś chochlik zepsuje pasteryzację. To poważna choroba, najpierw ma ostry przebieg, a potem

długo się utrzymuje. Czeka mnie jeszcze wiele tygodni leczenia, zanim zupełnie wyzdrowieję. - Nie miałem ochoty o tym myśleć, więc zmieniłem temat. - Co się stało z teczką pełną listów w różnych dziwnych językach?

- Tą, którą tu widziałeś, którą udało ci się wydostać z sejfu?

- Właśnie z tą.

- Byłem zdumiony, kiedy John Rupert doniósł, że ją widziałeś.

- Wróciliście po nią. I zabraliście ją tego dnia, kiedy przewieźliście mnie z zawiązanymi oczami na Kajmana, za co wam bardzo dziękuję.

Uśmiechnął się.

- Więc nie dałeś się nabrać.

- Ale uratowałem się od śmierci w morskich odmętach.

- Michael był za tym, żeby się ciebie pozbyć - przyznał Robin ponuro. - Było mu też bardzo pilno do tego, żeby ciągnąć zyski z zamówień zebranych w teczce, ponieważ wiele spraw się przeciągnęło, więc zabrał teczkę, kiedy nie patrzyłem.

Robin miał kłopot ze współnikami, którzy upierali się, żeby robić swoje.

- Wczoraj wieczorem Michael powiedział mi, że niezbyt sobie radzi z językami obcymi, więc dał teczkę Amy, żeby schowała ją do sejfu na wyspie Trox, razem ze swoją krowią dokumentacją, a on obmyśli, co dalej. O ile dobrze wiem, teczka nadal tam jest. I między innymi dlatego, że zrobił z siebie głupca, Michael tak się rzuca do walki z każdym, kto mu się nawinie.

- Chcesz odzyskać tę teczkę? - spytałem.

- Oczywiście. Ale sejf się nie otwiera.

- Kto tak mówi?

- Amy mówi, że sejf się nie otwiera, żeby nikt nie mógł wyjąć jej dokumentacji na temat krów.

- To może już nie mieć znaczenia - powiedziałem. Wyjąłem z torby kopertę ze starannie wykonanymi odbitkami Jasona Wellsa. - Zrobiłem te zdjęcia na wyspie. - Sfotografowałem ogołocone szopy, w których hodowano grzyby, wioskę i stado krów przed huraganem, a po huraganie to ostatnie zdjęcie krów i trzy zdjęcia obcojęzycznych listów.

Robin spojrział zadowolony na te ostatnie.

- Wykorzystam je - rzekł. - Lepsze to niż nic. Otworzyłem tylne drzwi z rozkładającymi się stopniami, poczułem z boku uderzenie wiatru, zszedłem na dół - bez zawiązanych oczu, ubrany i obuty - a Robin zatrzymał się niepewnie, trzymając się poręczy.

- Chodź - zachęciłem. - Nie ma zagrożenia promieniotwórczego. Mieszkańców odstraszało za pomocą czegoś, co miał George Loricraft, małej paczuski z proszkiem wydzielającym promieniowanie alfa, co robiło dużo hałasu, ale nikt od tego nie zachorował.

Robin wzruszył ramionami, zszedł na dół, a potem razem, zmagając się z wiatrem, ruszyliśmy do drugiego bunkra.

Po zrujnowanej wsi chodziły byki, fryzyjskie krowy muczały i ocierały się o mnie, kiedy klepałem je czule, choć sporo przez nie przecierpiałem. Były przecież jedynym na świecie źródłem *Mycobacterium paratuberculosis* Chand-Stuart X. Weszliśmy z Robinem do bunkra, kryjąc się przed zawieruchą, i przyjrzelśmy się sejfowi.

Robin wypróbował kombinację 4373 3673 (HERE FORD) i nic się nie stało.

- Tak jak mówiła Amy - rzekł zawiedziony. - Nie otwiera się.

- Spróbuj 3673 4373 - podsunąłem. - FORD HERE.

Obrzucił mnie straszonym, pełnym powątpiewania spojrzeniem, ale wcisnął odpowiednie cyfry. Wciąż nic, drzwiczki ani drgnęły.

- To beznadziejne - rzekł Robin. - Tak jak mówiła Amy.

- Tak jak mówiła Amy - przytaknąłem. - Ona zna się na wypożyczaniu wideo, może się znać na pasteryzacji i zna się pewnie na sejfach.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Na wyspie nie ma elektryczności - przypomniałem.

- Wiem.

- Więc co zasila drzwi sejfu?

Robin, taki sprytny i inteligentny, ale z brakami w elementarnej znajomości nauk ścisłych, zmarszczył czoło i nie odpowiedział.

- Baterie - wyjaśniłem.

Zsunąłem metalową płytkę pod panelem z cyframi i literami, a tam stały rzędem trzy najzwyklejsze baterie.

- Tu są baterie, a mimo to się nie otwiera - zdziwił się.

- Są trzy baterie, a jest miejsce na cztery. - Pomacałem ręką w torbie, wyjąłem nierozpieczętowane opakowanie z czterema bateriami, które przywiozłem razem z aparatem, wyciągnąłem trzy stare, wstawiłem cztery nowe i zasunąłem płytkę.

Nacisnąłem 4373 3673, usłyszałem szcęknięcie, uniosłem płaską dźwignię i otworzyłem drzwi. W środku stała dokumentacja Amy na temat krów i znajoma teczka. Wyjąłem ją, sprawdziłem zawartość i uroczyście podałem Robinowi.

- Skąd wiedziałeś, jak otworzyć sejf? - spytał zdumiony.

- Spędziłem na tej wyspie cztery samotne dni - odparłem. - Dobrze znam ten sejf. Odkryłem hasło. Sprawdziłem baterie. Nie mogłem tylko odczytać listów w nieznanym mi alfabetach.

- Ja się tym zajmę - rzekł Robin. - Wykorzystam je. Nic, co zrobięś, nie pójdzie na marne.

Epilog

Unwin przeleciał przez cyklon Sheila.

Przeleciał trzy razy w linii prostej przez oko cyklonu na wysokości dziesięciu tysięcy stóp i wyrównał poziom paliwa w silnikach. Dwusilnikowy samolot z Downsouth w jego rękach znosił zmienne ciśnienie i prędkość wiatru huraganu kategorii trzeciej, jakby to były tylko liczby, które Unwin mi dyktował.

Nie zakreśliła mi się w oku łza. Pomiary były dokładne, brakowało ściśniętego serca.

Robin miał zamyśloną minę i zrobiło mu się niedobrze.

Przewiozłem zdobytą teczkę w torbie, a kilka tygodni później Robin pokazał mi kilka krótkich odręcznych notatek po hebrajsku, grecku, rosyjsku i arabsku.

- To podziękowania - rzekł.

Powróciłem do BBC i na zimę przybrałem styl, z jakim prezentowałem się w edwardiańskim płaszczu, a w Kensington John Rupert z przyjemnym zdziwieniem stwierdził, że jego przełożony chce, aby Perry Stuart został podniesiony do rangi „tego, który powinien wiedzieć”.

Ja i murzyn, chudy, siwowłosy starszy pan, wrzucaliśmy pełne wigoru młode burze do ciekawych podręczników, które z czasem podpisywałem w szkołach po sto, a w księgarniach po pięćset egzemplarzy.

Rzadko widywałem Krisa. Przebrał miarę i przed utratą pracy w BBC nie uratowała go nawet uroda nordyckiego boga. Przestał mówić o pociągach, wydał pieniądze z ubezpieczenia za wypadek w Luton na kurs aktorski i zaczął się wyżywać, wcielając się we wspaniałych bohaterów.

Bell, która często dzwoniła do mnie i radziła się jak brata, miotała się wciąż między miłością a zniechęceniem - ślub tak, ślub nie, niekończące się niezdecydowanie.

Za moimi plecami wierna Jett van Els snuła intrygę wraz z moją babunią, żeby mój poniedziałkowy impuls przekształcił się w nieodwołalną decyzję - po pewnym czasie powiedzieliśmy sobie, że się kochamy, dałem jej pierścionek i obietnicę.

Pod maską sukcesu wspomnienie uszkodzeń ciała, jakich nabawił mnie Michael Ford, bardzo mnie bolało, choć starałem się o wszystkim zapomnieć. Wmawiałem sobie, że doznanie ciężkiego pobicia, po którym nie można się ruszyć, nie było wielką hańbą, jedynie drobną życiową przykrością. Tylko jak rzucić to wspomnienie na wiatr!

W niebezpiecznym podwójnym życiu Robina Unified Trading Company odeszła na dalszy plan, a pojawili się nowi rekruci, którzy od początku rozumieli, że najpierw działanie, potem sprawozdanie to zła kolejność.

Unified Trading Company zwiędła, a rozkwitła Select Group.

Evelyn zostawiła Robinowi pożegnalny liścik.

Jett została w domu Darc'ego w Miami, kiedy pojechałem z Robinem Darcym do stolicy Florydy Tallahassee, gdzie miało być rozpatrywane roszczenie Amy do wyspy Trox.

Wystąpiłem jako świadek, przedstawiając na dowód zdjęcia, że tam byłem. Ravi Chand dopełnił dzieła uśmiechami rodem z New Delhi, a Amy przegrała sprawę o prawo własności wyspy, ale zachowała krowy.

Michael przyszedł na rozprawę, zaciemniając mój horyzont.

Jego głód był głodem lwa skradającego się na polowaniu.

Nie zrozumiał wyjaśnień Raviego Chanda na temat przeciwciał, wpadł we wściekłość i zaczął szydzić z hinduskiego pochodzenia i koloru skóry światowej klasy eksperta. Kimże on był, wykrzykiwał, żeby się wtrącać i pomawiać krowy będące własnością żony o to, że są nosicielkami choroby?

Wyszedłem, kiedy Ravi na próżno usiłował wyjaśnić technologie pasteryzacji, i poszedłem do sali, w której wcześniej odbywało się przesłuchanie. Wziąłem bańkę z surowym, niepasteryzowanym mlekiem z Trox - Amy przysięgała, że jest niegroźne - wyniosłem na zewnątrz, postawiłem na stoliku kolo Michaela i chochelką napełniłem szklanekę, którą przed nim postawiłem. Warto było spróbować.

Popatrzył na szklanekę z obrzydzeniem, a na mnie z pogardą jak na pokonanego przeciwnika, który boi się dogrywki.

- Nie pij tego mleka - ostrzegłem Michaela. - Nie jest pasteryzowane. Zachorujesz od niego.

Mówiłem prawdę, ale mi nie uwierzył, jak zresztą miałem nadzieję.

Nie uwierzyłby mi, gdybym powiedział, że słońce piecze, i pełen buty i ślepej odwagi wypił mleko.

‘lego wieczoru Michael, który miał zostać drugim na świecie przypadkiem *Mycobacterium paratuberculosis Chand-Stuart X*, stracił panowanie nad sobą, zastrzelił

intruza i musiał odpowiedzieć na trudne pytanie: dlaczego kula, która utkwiała w intruzie, pasowała do tej, którą usunięto z ciała mężczyzny znalezionej w bagnie Everglades z nogami zjedzonymi do połowy przez aligatory?

Ten dzień nie należał do udanych w życiu Michaela.